

KRYSTYNA BOGLAR

Brent

NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA 1987

© Copyright by Ins Warszawa 1987

„„„ . ■ Masza Księgarnia" tytuł Wydawniczy J

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA TERESA JASKIERNY

Redaktor Wiesława Skład

Redaktor techniczny Janma Saechowska

Korektorzy Grażyna Majewska, Andrzej Masse

W. B

- Nazwisko?
- Brent.
- Imię?
- Paweł.
- Ile masz lat?

Znowu to samo. Który to już raz? Nie pamięta. Najważniejsze  
wydostać się stąd. Być wolnym, wrócić do zielonej ciszy, która wcale  
ciszą nie była, bo warkot zapuszczanych silników, łoskot startujących

i lądujących maszyn raz po raz wstrząsał powietrzem i ziemią. Ale tam był sam. No, powiedzmy, prawie sam. Otaczał go mur zielonych chaszczki i rozłożyste gałęzie starych jabłoni i gruszy. Przestał słyszeć, co do niego mówi ta kobieta za biurkiem, na którym nie było marnego świstka papieru. Nic. Tylko dwie dłonie o wąskich splecionych palcach. Na jednym z nich złote kółko obrączki. „Czy ona też? - pomyślał sennie. - Czy ona też ma dzieci?” Oczy kleiły się. Powieki opadały, choć za wszelką cenę starał się widzieć i słyszeć wszystko. Nie, nie interesowały go słowa. Te znał. Zawsze tu przemawiano do niego tak samo. Jeżeli chciał słyszeć, to tylko te dźwięki, które mogły ofiarować wolność: otwieranie drzwi, kroki, skrzypienie służbowych butów. „Dlaczego te mundurowe buty zawsze skrzypią tak samo?”

Kobieta za biurkiem umilkła. Paweł zamrugał powiekami. Spreżył się. „Jeśli wyjdzie z pokoju, pryskam!” - pomyślał gorączkowo. Nie podnosił głowy, nie chciał, by dostrzegła tę gotowość w jego wzroku. Kobieta wstała.

© Copyright by Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1987

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA TERESA JASKIERNY

Redaktor Wiesława Skład

Redaktor techniczny Janina Ściechowska

Korektorzy Grażyna Majewska, Andrzej Masse

U?. is\u

- Nazwisko?
- Brent.
- Imię?

- Paweł.

- Ile masz lat?

Znowu to samo. Który to już raz? Nie pamięta. Najważniejsze wy dostać się stąd. Być wolnym, wrócić do zielonej ciszy, która wcale ciszą nie była, bo warkot zapuszczanych silników, łoskot startujących i lądujących maszyn raz po raz wstrząsał powietrzem i ziemią. Ale tam był sam. No, powiedzmy, prawie sam. Otaczał go mur zielonych chaszczki i rozłożyste gałęzie starych jabłoni i gruszy. Przestał słyszeć, co do niego mówi ta kobieta za biurkiem, na którym nie było marnego świstka papieru. Nic. Tylko dwie dłonie o wąskich splecionych palcach. Na jednym z nich złote kółko obrączki. „Czy ona też? — pomyślał sennie. - Czy ona też ma dzieci?” Oczy kleiły się. Powieki opadały, choć za wszelką cenę starał się widzieć i słyszeć wszystko. Nie, nie interesowały go słowa. Te znał. Zawsze tu przemawiano do niego tak samo. Jeżeli chciał słyszeć, to tylko te dźwięki, które mogły ofiarować wolność: otwieranie drzwi, kroki, skrzypienie służbowych butów. „Dlaczego te mundurowe buty zawsze skrzypią tak samo?”

Kobieta za biurkiem umilkła. Paweł zamrugnął powiekami. Spreżył się. „Jeśli wyjdzie z pokoju, pryskam!” - pomyślał gorączkowo. Nie podnosił głowy, nie chciał, by dostrzegła tę gotowość w jego wzroku. Kobieta wstała.

3

- Przemyśl to wszystko, Paweł - powiedziała dziwnie zmęczonym głosem. - Jesteś inteligentnym chłopcem.

Paweł nawet nie wzruszył ramionami. I tego się oduczył. Żadnych zbytecznych słów czy gestów. Tak jest najlepiej. Nie wiedzą, co czujesz, co myślisz. A o to chodzi.

Nie usłyszał odgłosu zamykanych drzwi i to wytrąciło go z równowagi. Po minucie, która była długa jak cała wieczność, odwrócił

się. Zrobił to wolno, ostrożnie i jakby od niechcienia. „A może mnie obserwuje?” Ani w pokoju o zakratowanym oknie, ani na korytarzu połyskującym mdłym światłem górnych żarówek nie było żywej duszy.

- Teraz!

Paweł nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to półgłosem. Nie zerwał się jednak, nie pobiegł. Na to był zbyt sprytny i doświadczony. Wiedział, że hałas zwabi natychmiast mundurowego. Albo i paru. Stale się tu kręca, przyjeżdżają, odjeżdżają biało-niebieskimi samochodami.

Obrócił się wolniutko, chwilę czekał. Potem cicho, na palcach - rozlatujące się tenisówki pozwalały poruszać się bezszelestnie - zbliżył się do drzwi. Nikogo. Przed sobą do pokonania miał ciągnący się wzdłuż całego budynku wąski korytarz, pomalowany oliwkowoszarą olejną farbą. Tylko że po obu stronach tego korytarza były drzwi, które w każdej chwili mogły się otworzyć. Mógł ktoś wyjść. Ktoś, kto miał prawo, ba, obowiązek go zatrzymać. A wtedy? Wolał nie myśleć. Ale decyzję podjął i nie mógł się cofnąć. Szedł wolno, choć te powolne kroki powodowały przyspieszone bicie serca. Mijając kolejne drzwi opatrzone numerem i różnymi tabliczkami, żałował, że nie ma również oczu z tyłu głowy.

4

Spocony, z przygryzioną do krwi dolną wargą, dotarł do końca korytarza. Teraz czekało go najtrudniejsze: pchnąć oszklone wahadłowe skrzydła tak delikatnie, by nie huknęły metalem obramowania o ścianę. To też miał zakodowane w mózgu. Pamiętał te cholerne drzwi równie dobrze, jak poprzednie przesłuchania. No, udało się. Paweł aż się zdziwił, ale nie miał czasu, by nad tym rozmyślać. Był teraz wystawiony jak dzika kaczka na strzał. Po prawej gładka ściana z odłupanym płatem tynku, na którym ktoś

wysmarował ołówkiem mało czytelny napis: „Zafajdany los”, po lewej oszklona dyżurka. Powinien w niej tkwić dzień i nocą stolik z kulawą nogą, płatanina jakichś kabli czy drutów, skrzynka z kluczami na ścianie i człowiek. Nie, nieczłowiek: funkcjonariusz. Zmieniali się często i nie należeli do zbyt rozmownych.

„Więcej szczęścia niż rozumu! — przypomniało mu się powiedzonko starego Ruszczyka. - Ale się zdziwi, jak mu opowiem! - pomyślał przemykając na czworakach pod oświetlonym okienkiem dyżurki. I zaraz wyprostował się. -Nie opowiem! Nie ma już komu!”

W innym momencie Paweł byłby się wzruszył. Ale nie teraz i nie tu. Obraz starego Ruszczyka zniknął jak zdmuchnięty. Przed chłopcem ostatnia przeszkoda: zamknięte na klucz drzwi wyjściowe. Bo za tymi drzwiami już tylko noc i ulica. Wspaniała, słabo oświetlona, za to pełna starych drzew o grubych szorstkich pniach. Cudowna ulica dla tych, którzy muszą szybko rozpuścić się w mroku.

Paweł wyciągnął rękę, by sprawdzić, czy klucz nie tkwi w zamku. W ciemnościach taki szczegół mógł dostrzec tylko kot. Albo sowa. Gdzieś na drugim końcu korytarza przeciąg

5

zatrzasnął otwarte okno. Huknęło jak z mózdzierza. Paweł zastygł w bezruchu. Dawniej w takiej sytuacji byłby jedną kupką strachu, ale nie dziś. Pamiętał, mózg pracował jasno i precyzyjnie, że tu są dwa stopnie prowadzące w dół. Raz już się o nie potknął. Dziś mu tego zrobić nie wolno. Już! Ręka maca zamek. Klucza nie ma. „Co teraz? - Paweł zlizuje z wargi słoną kroplę potu. - Spokojnie. Albo klucz jest w służbówce, albo zabrał go strażnik...” Dłoń odruchowo naciska mosiężną klamkę. No, tego w ogóle nie wziął pod uwagę: drzwi były otwarte!

„Trzy dni paki! - pomyślał mściwie. - Dla funkcjonariusza, który nie dopełnił obowiązków!”

Szpara, którą się wyśliznął, z biedą wystarczyłaby dla Maćka. A Maciek nie był przecież tłustym kotem.

Ulica powitała go czernią sierpniowej nocy i mocnym zapachem maciejki płynącym z pobliskiego ogródka.

Był wolny. Znów mógł pójść tam, gdzie chciał.

Nie wiedział tylko o jednym: że wcale nie musiał sunąć oliwkowym korytarzem cicho jak zjawa. Że gdyby tupał i śpiewał pełnym głosem, też by go nikt nie zatrzymał. Bo takie było jego dzisiejsze przeznaczenie, jego los.

Długo przedzierał się, kluczył ulicami miasta, zanim dobrnął do znajomego ogrodzenia z siatki, które pokonał bez najmniejszego trudu. Nie mógł skorzystać z autobusu, bo o tej porze samotny trzynastolatek zawsze był podejrzany. A nuż napatoczyłby się jakiś patrol? Poprzednim razem tak właśnie głupio wpadł. Cóż, brak doświadczenia i chęć komfortu zgubiły już niejednego. On, Paweł, nie da się capnąć. Będzie przebiegły jak lis, chytry... no, przecież to

6

właśnie lis jest chytry. Och, w końcu co za różnica! A więc przebiegły jak lis, chytry jak lis i bezszelestny jak lis. Albo Maciek. A właśnie, co z Maćkiem?

Do znajomej altanki w ogródkach działkowych Paweł dotarł ostatkiem sił. Cóż, nie należy się zbytnio roztkliwiać. Całe szczęście, że nie czuł głodu. Tam gdzie przebywał, nakarmiono go tak, że dłuższą chwilę sapał nad talerzem, zanim do końca spałaszował ziemniaki z porządnym kawałkiem mięsa. Jadł „na zapas”, z myślą o ucieczce. I wiedząc, że następny posiłek będzie już „zdobywany”. W taki czy inny sposób. A sposobów znał niemało. Klucz od altanki wisiał tam gdzie zawsze: na gwoździu pod okapem, tuż przy rynnie. Wewnątrz powietrze stęchłe od upału, zapachu myszy i kiszonych ogórków.

Okienko otwierało się łatwo. „Tyle pożytku z narkomana!” - pomyślał sennie. Rzucił się na posłanie, nie zdejmując džinsów ani koszulki. Tylko tenisówki same z nóg spadły. „Trzeba skombinować jakieś nowe”. Uśmiechnął się, słysząc delikatny szelest wśród chwastów, które już dawno zagłuszyły piękny krzak róży rosnący pod oknem.

- Maciek, to ty?

Nie spodziewał się odpowiedzi. Maciek nawet mruczał dość niechętnie, kiedy go drapał za uchem, co normalnemu kotu powinno sprawiać przyjemność. Ale dachowiec nie był domowym kotem. Przychodził, kiedy chciał, i znikał wtedy, gdy był najbardziej potrzebny do rozmowy. Wtarabanił się dość głośno do środka, a przecież powinien to zrobić bezszelestnie.

Paweł nie widział go w ciemności, ale bezbłędnie wyczuwał, co tamten robi. Znali się jak dwa łyse konie.

7

- Nie ssij ogona, bo cię oddam do milicyjnej Izby Dziecka! - zagroził Paweł.

Maciek wypuścił ogon. Na szarym puchu lśnił wilgotny, porządnie już wyssany ciemny koniuszek.

Na dworze wśród starych drzew owocowych szumiał lekki wiatr, który przyniósł nieco ochłody po upalnym dniu. Nad miastem stała granatowa noc roziskrzona miliardem gwiazd.

„Kiedy w sierpniu spadają gwiazdy, pomyśl o czymś, co chciałbyś, aby się spełniło!” - powiedział stary Ruszczyk tak niedawno temu. Paweł otworzył oczy. Odechciało mu się spać. Obserwował gwiazdy w kwadracie okna, zamyślony, smutny. Jakaś smuga szybowiała w przestworzach.

- Żeby oni wrócili! Żeby oni już wrócili! - wyszeptał suchymi wargami. Ani jedna łza nie spłynęła po wychudzonych policzkach. Nie płakał już od dawna. Od bardzo dawna.

O tym, że był chory, chory z żalu i tęsknoty, sam nie wiedział. Jedno, czego chciał naprawdę, to żeby było jak dawniej,, kiedy mieszkali razem: on, mama, tato i babcia. Już nawet mogłoby nie być Maćka. Należy przecież do świata pełnego napięć, strachu, czarnych nocy, głodu nieraz i samolotów. A samolotów Paweł nienawidził najbardziej na świecie.

- Nie ssij ogona! - wymruczał odwracając się na wznak. Maciek zaszeleścił wiązką suchej kukurydzy, która leżała

w kącie. To oznaczało: „Odczep się, stary nudziarzu, i daj mi spać!

Chłopiec posłuchał. Lecz zanim kojący sen spłynął na dobre, Paweł przebiegł myślami ostatnie dwa miesiące. Jak się to właściwie wszystko zaczęło?

8

- Przecież oni powinni już wrócić, babciu?

Stara kobieta unosi głowę znad kupki porządnie pocerowanych skarpet. Okrągłe okulary zsunęły jej się na czubek nosa. W powykręcanych artretyzmem palcach błyszczy igła z bawełnianą nicią.

- Ano... powinni.

Paweł gryzie ołówek. Zawsze ogryza ołówki, co bardzo denerwuje panią od historii. Nic dziwnego. Trudno jest skupić uwagę na Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która gilotynowała królów, gdy jeden z uczniów wciąż zgrzyta zębami, co rozśmiesza kolegów.



- Wycieczka miała trwać dwa tygodnie... czy trzy? Kobieta nie odpowiada. Igła szybko miga. Coraz szybciej. Powoli zapada zmrok. W pierwszych dniach czerwca dni

są długie. Zbliża się upragniony koniec roku szkolnego. Zawsze go cieszyło rozdanie świadectw, uroczyste miny, czyste koszule i białe bluzki, naręcza kwiatów. W piątej klasie miał same piątki. W tym roku wojuje z historią, pewnie będzie tylko czwórka. Ale tato nic nie powie. Ani mama. Oni wiedzą, że z każdym rokiem jest trudniej. Dochodzą nowe przedmioty, nowe daty do zapamiętania. I wzory. Nie, czwórka z historii nikomu nie będzie przeszkadzała!

- Zapal lampę, Pawełku - prosi babcia. -Ciemno. Oczu szkoda.

Paweł ociąga się. Jemu jest dobrze. I tak już właściwie przestał się uczyć. Od kiedy nie ma go kto popędzać. Mama codziennie pilnowała lekcji. Sprawdziała, czy odrobione i czy

9

wszystko w porządku. Zeszyt do matematyki oglądał tato. Lepiej się na tym znał. Czasem dziwił się, że w szkole tak się komplikuje proste zadania, ale nie oponował. Końcowy wynik musiał być właściwy, a metoda... cóż, metoda na miarę sił i umiejętności.

- Babciu, ile rzek jest w Hiszpanii?

Staruszka metodycznie pakowała do koszyka przybory do szycia. Składała w kostkę naprawioną bieliznę.

- Masz atlas, to zobacz!

Ale Pawłowi nie chciało się wspinać na górną półkę regału, gdzie leżały słowniki i atlas. Zadał to pytanie nie z ciekawości, lecz by pomówić o rodzicach, którzy wyjechali pod ciepłe niebo Andaluzji. Tak się cieszyli na tę wyprawę z biurem turystycznym. Tyle

opowiadali o Almerii, błękitnym morzu, plażach i zabytkach. Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, tato uścisnął go mocno.

- Sprawuj się dobrze, synu, żeby babcia nie miała z tobą kłopotu.
- A co mi przywieziesz?
- Krokodyla.
- Nie żartuj, tato. W Hiszpanii nie ma krokodyli!
- To słonia.

Paweł obraził się. Ale nie na tyle, żeby wyjąkać w końcu swoją wielką prośbę.

- Przywieź... wiesz, co przywieź? Samochód elektryczny! I żeby był niebieski... taki zagraniczny, co?
- Kiedyś będziemy mieć prawdziwy. Najlepiej mercedesa, stalowoszarego, chcesz?

Samolot odlatywał rano. Paweł był w szkole i prawdę mówiąc zapomniał o tym, bo Lutek pokazywał nalepki do

10

wymiany i trzeba było decydować się błyskawicznie: Bruce Lee za wóz straży pożarnej albo dwie nalepki z Marsjanami za radiowóz. Wybrał Marsjan i nie był pewny, czy zrobił dobry interes". Kiedy po lekcjach wrócił do domu, nie zastał już rodziców ani ich licznych bagaży. Pokój był dziwnie pusty, jeśli nie liczyć rozsypanego na dywanie pudełka zapalek. Paweł pozbierał je co do jednej i usiadł na podłodze.

Co wiedział o Hiszpanii? Niewiele. W szóstej klasie mówiło się co prawda o handlu zamorskim w szesnastym wieku, o poszukiwaniach szlaku żeglarskiego do Indii, o zdobyczach kolonialnych Hiszpanii i

Portugalii, ale chłopiec zupełnie nie kojarzył tego z obrazem rozległej plaży w Almerii, gdzie miała odpoczywać polska wycieczka.

Potem była kolacja i życie wróciło do normy. Przecież rodzice wyjeżdżali nie po raz pierwszy. Zwiedzili już Węgry i Bułgarię, a teraz, nareszcie, udali się na Zachód. Ten dziwny i skomplikowany Zachód, o którym tyle mówiono w telewizji i radiu.

\*

Rozdanie świadectw wypadło w piątek. Dwudziestego czwartego czerwca. Paweł po raz pierwszy nie miał z kim podzielić się wrażeniami. Nie licząc kolegów, naturalnie. Ale oni zajęci byli omawianiem bliskich już i długich wakacji. Lutek z dumą donosił, że w tym roku wyjeżdża z rodzicami na kemping.

- Tylko namiot, gaz z butli i konserwy! - cieszył się, jakby to była co najmniej wyprawa na Antarktydę.

- A ten kemping... to chociaż w Hiszpanii? - Paweł potrafił być czasem złośliwy.

11

- Zwariowałaś? - roześmiał się Lutek. - Na Mazurach! Żadnego pensjonatu, żadnych wczasów! Człowiek je, kiedy chce, kąpie się w jeziorze i łowi ryby...

- A my wyjeżdżamy w góry! - pochwaliła się Musia. Ona zawsze musiała wtrącać się do rozmów chłopaków. - Z plecakami!

- Phi! - wzruszył ramionami Paweł. - Wielkie mi rzeczy plecaki!

Musia nie obraziła się. Spojrzała na Pawła tymi swoim wypukłymi oczami i machając cenzurką pobiegła do dziewczyn. W obronie koleżanki wystąpiła wścibska jak zwykły Poldzia. j

- Lepsi rodzice z plecakami niż sam plecak! - wykrzyknęła pokazując język.

Paweł nie skojarzył tego z niczym. Wtedy nie potrafił.

Wracało się głośno, z fasonem. Tylko Baśka mazała się, bo polonistka wlepiła jej troję. Za nie przeczytane lektury. Ale to już tak jest, jak się człowiekowi nie chce czytać. A Baśka stroniła od słowa drukowanego jak od grypy z anginą jednocześnie. Na wszystko miała czas: na skakankę, piłkę, lalki, tylko nie na książkę. A teraz rozmazywała łyżki piętami.

- Głupia baba! - skwitował Marek. Mógł sobie na to pozwolić. On kochał książki. Co prawda wołał o Indianach i kosmonautach, ale czytał wszystko co trzeba. I fantastycznie umiał podpowiadać. To rzadki dar, szczególnie w ich klasie.

W domu było pusto i cicho. Paweł zdziwił się, bo przecież powrót jedynaka ze świadectwem ukończenia szóstej klasy to wielka uroczystość. Zwykle mama piekła tort, tato zawsze

12

coś tam miał schowanego w szafie. To lutownicę do wypalania w drewnie, to miniaturkę samochodu. A babcia, w odświętnym fartuchu w kwiaty, z miną uroczystą wrzucała „papierek” do skarbonki. Na rower albo na deskę z kółkami, na której tak trudno się utrzymać. A dziś?

- Babciu, wiesz, tylko jedna czwórka! Za tych Turków i Tatarów, co ich nie umiałem rozróżnić. No, i ten Chocim. Daty mi się głowy nie trzymają. Co ci... babciu?

Staruszka siedziała na taborecie w kuchni i niewidzącymi oczyma wpatrywała się we wnuka. Splecione dłonie o wykrzywionych palcach targały nerwowo brzeg serwety.

- To... ty?

Paweł zbliżył się. Coś było takiego w jej postawie, w ruchu palców, brzdach na policzkach, że się przestraszył. Niezbyt lubił ludzi starych i chorych. Ale babcia nigdy poważnie nie chorowała. Jej starość też jakoś mieściła się pomiędzy wesołością mamy, wiecznym roztargnieniem taty, kuchnią, łazienką i przedpokojem, gdzie butów było dwa razy więcej niż ludzi. Teraz wyglądała jak osoba, którą opuściło życie, jakby postarzała się o sto lat. Wyciągnął rękę ze świadectwem, lecz jego dłoń zawisła w powietrzu.

- Jesteś chora? Milcząco pokręciła głową.
- Myślę tylko i myślę, co się stało...

Wstała ociężale i szurając nogami w płóciennych kapciach, podeszła do kuchenki.

- Zjesz... zupę?

Usiadł do stołu zupełnie wytrącony z równowagi. Nie umył rąk i nikt nie zwrócił na to uwagi. To też było dziwne. Jadł zupę wolno, wpatrzony w leżące na środku stołu

13

świadectwo, do którego dziś nie miał kto zajrzeć. Usiłował zbagatelizować tę niecodzienną sytuację, pamiętając przestrogi mamy: „Masz słuchać babci we wszystkim. Nawet wtedy, gdy ci się to, co powie, nie spodoba. Starzy ludzie mają swoje przyzwyczajenia, przekonania i bywają uparci. Być może nie zawsze mają rację, ale ty jeszcze jesteś zbyt mały, żeby się przeciwstawiać. Jeśli nawet coś wyda ci się dziwne, zrób, o co prosi. I nie komentuj, że ja lub ojciec postąpilibyśmy inaczej. Zgoda, synku”?

Zgodził się bez szemrania. I teraz jadł nie osoloną zupę, nie pisnąwszy ani słowa. Dla dobra sprawy.

Dwa dni później, wieczorem, zadzwieczał dzwonek.

- Kto to może być? O tej porze?

Paweł pobiegł otworzyć. W drzwiach stała obca pani. Nigdy jej przedtem nie widział. Miała na sobie letnią białą suknię i pachniała perfumami.

- Czy zastałam panią Michalakową? Paweł zrobił w tył zwrot.

- Babciu, ktoś do ciebie.

- Do mnie? - staruszka podniosła się z fotela. Telewizor mruczał cicho jakąś piosenkę, po ekranie sennie spacerowała mucha.

Paweł nie interesował się gościem. Skoro zamknęły się w pokoju rodziców i nikt go tam nie wołał, niczego nie chciał. Wyciągnął z szafki pudło ze skarbami i grzebał w nim nie bardzo wiedząc, czego szuka. Spomiędzy żołnierzy Napoleona Bonapartego, pingpongowych piłeczek, sznurków i gwoździ wygrzebał zepsuty pistolet na kapsle.

- Porywam samolot! - wrzasnął wyskakując za róg stołu. - Niech mi nikt nie przeszkadza, bo strzelam! Panie pilocie,

14

lecimy do Hiszpanii! I proszę nie robić żadnych sztuczek. Zmienić kurs natychmiast! Nie, nie na Mazury ani do Zakopanego, tylko do tej... no, Almerii, słyszy mnie pan?

Chyba słyszał, bo coś zaszumiało głośno w kuchni, to znaczy w części samolotu, gdzie stewardesy przygotowywały posiłek. Potem rozległy się szybkie kroki, brzęk i trzaśnięcie drzwi od kabiny pilotów.

- Niech pani nie płacze - powiedział Paweł-terrorysta, bo dobiegło jego uszu czyjeś szlochanie. - Nic pani nie zrobię. Pozwolę wam wszystkim wrócić do waszych dzieci! -stwierdził łaskawie. - I do wnuków! - przypomniał sobie. Przecież wśród porwanych mogły być i babcie. Albo dziadkowie. Paweł z pistoletem w dłoni przechadzał się wzdłuż foteli. - Ja tylko ich zabiorę z plaży i zaraz wracamy do

Warszawy! Starczy benzyny, panie kapitanie? - zdenerwował się terrorysta nie na żarty. - Wystarczy? - Z benzyną zawsze były jakieś kłopoty. Paweł słyszał o tym nieraz w telewizji. - No, niech pani tak nie płacze! - Szloch dochodził wyraźnie gdzieś zza ściany. - Przecież... - nagle oprzytomniał. Zniknął samolot, stewardesy, piloci. Pozostał tylko żałosny szloch. Paweł z hukiem wpadł do kuchni. - Babcia? Co się stało? Dlaczego płaczesz?

Staruszka siedziała na stołku, z głową opartą na rozłożonej desce do prasowania. Siwy koczek upięty nieporządnie na czubku głowy chwiał się, kosmyki włosów opadały na niewidoczne czoło. Nie odpowiadała, nie zareagowała, nawet gdy Paweł dotknął jej pochylonych pleców. Płakała żałośnie, tak jak płaczą małe dzieci, które nie mogą zrozumieć, dlaczego je skrzywdzono.

Paweł nie wiedział, co ma robić. Nigdy jeszcze nie widział

15

babci w takim stanie. Czasem pochlipywała mama, ale tato zawsze znajdował jakąś radę. A teraz...

Staruszka uniosła głowę. Łzy wyłobiły bruzdy w ciemnej, pomarszczonej twarzy. Niewidzące, jasne, prawie białe oczy wpatrywały się w ścianę, na której nic nie było.

Paweł stał jak przymurowany. Czuł, że za moment coś się stanie, że nie wytrzyma tego straszliwego napięcia, że rozplacze się razem z babcią, choć była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

Stara kobieta przetarła dłonią oczy. Dopiero teraz zobaczyła chłopca. Na jego białej jak papier twarzy odznaczały się jasnobrunatne piegi.

- Dlaczego oni mi to zrobili? Dlaczego? Teraz dopiero odkleił się od podłogi.

- Kto?

- Twój ojciec. I twoja matka.

Paweł przestraszył się. Czuł, jak cierpnie mu skóra na ramionach, na plecach.

- Porwali ich? Powiedz, porwali?

Kobieta oparła głowę na dłoni. Jej oczy nagle nabrały życia.

- Co ty? Co ty wygadujesz! Nikt ich nie porwał! Zostali tam, rozumiesz? Zostali!

Paweł nie rozumiał. Chciał, bardzo chciał, ale nie rozumiał.

- To co, że zostali. Przecież wrócą.

Staruszka przestała płakać. Siedziała skulona na niewygodnym stołku, zapatrzona w pustą ścianę. Z czajnika stojącego na gazie z szumem ulatniała się para.

- Zgaś - powiedziała w przestrzeń - ona nie chciała

16

herbaty. Ta pa... Była na wycieczce razem z naszymi. Wszyscy wrócili. Tylko oni zostali... tam, w Hiszpanii. Dali jej mój adres... I Co teraz będzie? Co będzie?

Paweł czuł, jak mu ślina napływa do ust. Chciał coś zrobić, ale nie wiedział co. Straszna prawda» któr3 Przed chwilą usłyszał, nie docierała do niego. Odpychał Я jak coś obrzydliwego, czego nie znosił, nienawidził- CzeS° się bał. Odruchowo zgasił gaz. Potem wyszedł z kuchni i zaszył się w kącie przedpokoju. Porzucony pistolet leżał obok maminego kapcia.

Minęło parę strasznych dni. Robili wszystko, co trzeba: śniadanie, obiad. Oglądali nawet telewizję. Ale nic ich nie obchodziło. Nic, co dotyczyło zewnętrznego świata. Stara kobieta działała jak automat: sprzątała, prała Pawłowi koszulki i skarpetki, chodziła po zakupy.



Tylko zniknęła gdzieś skarbonka pełna szeleszczących banknotów. A chłopiec nie pytał o nią. Nie chciał roweru ani deski z kółkami. Nie chciał niczego. No, może tylko jednego: żeby nie słyszeć nocą zza ściany rozpaczliwego płaczu.

Któregoś dnia zobaczył w telewizji przyłot ważnej zagranicznej delegacji. Lotnisko ozdobione flagami obu państw, orkiestra gra hymny narodowe, kompania honorowa prezentuje broń. W tle ogromny samolot, opustoszały już i jak gdyby nikomu niepotrzebny; pusta skorupa, z której uszło wszelkie życie. Muszla bez ślimaka.

„Kiedy tato i mama wysiedli z takiego w Hiszpanii - to też stał sobie na płycie lotniska pusty i głuchy - pomyślał Paweł i poczuł skurcz serca. - A potem się zPełnił innymi ludźmi i przywiózł ich tutaj... - To, co przebiegło mu przez myśl,

17

było jak promyk nadziei: - Muszą wrócić samolotem! Inaczej nie można! To znaczy... można pociągami... ale rodzice mają bilety na samolot! Więc?..."

Następnego dnia nie wytrzymał. Wygrzebał z portmonetki kilkadziesiąt złotych i parę biletów autobusowych. Nie pytając o zgodę pojechał na lotnisko. Długo stał z rękami wczepionymi w siatkę ogrodzenia, za którym z hukiem lądowały i startowały ogromne maszyny z błękitną sylwetą żurawia na ogonie. Stał i czekał. Na co? Na cud, zmiłowanie, przypadek? Przyglądał się ludziom, którzy przyjeżdżali i odjeżdżali autobusami i taksówkami, bezwiednie szukając wśród obcych twarzy tych dwóch, które kochał. Wreszcie głodny i zmęczony przysiadł na wózku bagażowym, wpatrzony tępo w swoje nowiutkie tenisówki.

- Złaż stąd, mały! - usłyszał czyjś głos. Był zamyślony, nie sądził, że słowa odnoszą się do niego. - No, długo będę czekał? Wózek potrzebny. Zaraz Paryż ląduje.

Paweł uniósł głowę. Przed nim stał gruby mężczyzna w szaroniebieskim kombinezonie.

Mężczyzna obszedł wózek dookoła i niespodzianie szarpnął rączkę. Paweł zatoczył się i byłby spadł, ale złapał równowagę. Zerwał się jak oparzony i pobiegł do przystanku. Długo czekał na autobus. Jadąc wolno przez most na Wiśle spoglądał na dalekie zarysy budującego się osiedla, gdzie stara Praga na dobre stykała się z nową.

Babcia nie pytała, gdzie był. Z westchnieniem odgrzała mu wczorajszy krupnik i nałożyła kartofli.

- Teraz będzie nam trudniej - powiedziała głucho. - Mam niewielką emeryturę i musi nam wystarczyć na nas dwoje.

18

Paweł nic nie odpowiedział. Było mu zupełnie obojętne. Jadł machinalnie łyżka za łyżką, szczęśliwy, że jest w domu, że może włączyć telewizor i obejrzeć film z Bolkiem i Lolkiem. A że to dobranocka dla przedszkolaków? Cóż z tego, kiedy wesołe. Nikt już nie będzie się z niego śmiał, że jest taki dziecinny. Ci, którzy się czasem dobrotliwie podśmiewali, leżą sobie na plaży w Almerii nie myśląc o domu, babci, o nim.

Zasypiał z goryczą w sercu i mocnym postanowieniem, że nigdy, przenigdy nie zostanie lotnikiem i nie będzie pilotował parszywych olbrzymów, tak łatwo przenoszących tych, których się kocha, którym się wierzy, w inny, obcy świat.

Ale następnego dnia znów jechał w stronę lotniska. Bo może jednak? Zejdą schodkami machając mu na powitanie wysoko uniesioną dłonią. Skończy się wreszcie babciny nocny płacz i zapanuje radość. A potem wszyscy razem wezmą plecaki i pojedą na Mazury. Albo w Tatry.

Znów tkwił przy siatce wpatrzony w autobusy podjeżdżające aż pod same schodki podstawione do samolotów. Zauważył, że na galerijce

dworca lotniczego stoją odprowadzający. „Stamtąd lepiej widać! - pomyślał. - Ale jak się tam dostać? Czy wpuszczą?" Paweł nie był zbyt samodzielny. Wahał się, czy wejść do budynku, czy ktoś go nie zatrzyma. Nie rozróżniał celników od wojskowych. Mieli jednakowo surowe twarze. A i milicjantów zauważył paru. Ponadto pełno zwykłych cywilów, zaaferowanych, objuczonych walizkami i torbami, z dziećmi prowadzonymi za rękę. To go zastanowiło. „Skoro inne dzieci mogą tam wejść, to dlaczego ja nie?" Zebrał całą odwagę i zbliżył się do wejścia. Ktoś go potrącił, ktoś odsunął.

19

- Wchodzisz czy wychodzisz?

Paweł cofnął się. Był zły na siebie za brak zdecydowania. Tuż za wózkiem z górą bagażu przepychała się korpulentna kobieta z dziewczynką. Mysie ogonki małej przewiązane były ogromnymi różowymi kokardami. Miała trójkątną twarzyczkę liska i blisko osadzone, niebieskie oczy.

„Wejść z nimi - pomyślał chłopiec - w razie czego udam, że jesteśmy razem". Szybko minął wahadłowe drzwi. Był w środku. I nikt go nie zatrzymał, o nic nie pytał. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w wysoki oszklony sufit, liczne monitory, ukazujące numery kolejnych rejsów i nazwy miast, do jakich startowały ogromne maszyny. Ludzie podchodzili do stanowisk, przy których ładnie ubrane dziewczyny sprawdzały bilety. Kobieta z dziewczynką ustawiły się w kolejce do stanowiska z napisem „Berlin". „Gdzie jest wejście na balkon? - denerwował się Paweł. Zobaczył szerokie schody. - Pewnie tam!" Wspiął się i rozejrzał. Restauracja z dużymi szybami, za nimi galeria widokowa. Szybko przemknął pomiędzy stolikami zastawionymi szklankami z kawą i herbatą. Już! No, tu było wspaniale! Prawie jak w kinie. Paweł podszedł do samej balustrady i spojrzął w dół. Właśnie odjeżdżał kolejny autobus. Śledził go wzrokiem aż do samego samolotu. Długo trwało, zanim grupa ludzi

zaczęła karnie, jeden po drugim, wchodzić na schodki. „Jak gęsi!” - pomyślał i nie wiadomo czemu zrobiło mu się wesoło. Z głośników co chwila nadawano komunikaty. Nie słuchał, nie sądził, aby podawano w nich coś naprawdę interesującego. A jednak.

- Wylądował samolot z Madrytu, rejs numer trzysta dwa...

20

Paweł drgnął. Jakiś prąd przebiegł mu po plecach. Ma dryt! Przecież to stolica Hiszpanii! Samolot wolno kołował na stanowisko. Potem czekał, aż podjadą schodki. Kiedy tam, wysoko, ukazali się pierwsi pasażerowie, Paweł zagryzł wargi. Niestety, widoczność była słaba. Zbyt daleko.

- Madryt już wylądował! - usłyszał czyjś głos z boku. -Chodźmy do sali przylotów!

„Sala przylotów? - zdziwił się Paweł. - Gdzie to jest?” Na wszelki wypadek pobiegł za innymi. Salą przylotów okazał się trochę z boku stojący oddzielny budynek. I tam kłębił się tłumek oczekujących. Paweł z wypiekami na twarzy postanowił tkwić tak długo, aż wyjdą ostatni pasażerowie. Trwało to godzinę, może dwie.

- Co oni tam robią tak długo? - niecierpliwiła się szczupła brunetka z małym dzieckiem na ręku.

- Czekają na bagaż. Zanim rozładuje się samolot... zawsze tak trwa. A potem kolejka do celników...

Paweł słuchał chciwie. Uczył się lotniskowych obyczajów, obserwował. Wreszcie przybysze zaczęli wychodzić, serdecznie witani przez oczekujących. Padały gorące słowa, wręczano kwiaty. Krzyżowały się okrzyki, szurano walizkami, ktoś zgubił torbę. Ruch i zamieszanie. Paweł chwilami miał wrażenie, że dostanie oczopłasu. Nie nadażał za wychodzącymi, tylu ich naraz. Twarze roześmiane, surowe, ktoś narzekał na celników, inny biegł do taksówki. Gwar,

przepychanka, dziwny świat. „Za dużo ich!” - denerwował się chłopiec bojąc się, że przeoczy tych, na których czekał. Tłum zaczął się przeredzać. Znikali w samochodach, autobusach, wsysało ich miasto. Paweł ciągle nie tracił nadziei. Nawet wtedy, gdy w drzwiach, jako ostatnia, ukazała się obsługa

21

samolotu. Dwóch pilotów w szykownych mundurach, stewardesy w zgrabnych czapeczkach.

- Jak w Madrycie? Pogoda dla bogaczy? - uśmiechnął się mężczyzna w mundurze wojskowym z obsługi paszportowej.

- Człowieku, upał nie do wytrzymania! Czterdzieści pięć stopni w cieniu. Koszula lepi się do ciała.

- Przywiozłeś kogoś ciekawego? Może króla don Carlosa?'

Kapitan roześmiał się głośno.

- Nic z tego. Król hiszpański chwilowo nie ma żadnych spraw do załatwienia w Warszawie. Moi pasażerowie to wycieczka orbisowska. Prawie cały samolot!

Paweł zeszywniał. Wycieczka? Z Madrytu?

- A gdzie oni są? - wykrzyknął, nie zdając sobie z tego sprawy.

Obaj piloci zatrzymali się zaskoczeni. Przystanęły też stewardesy.

- Kto?

- No, ta wycieczka... - Paweł poczuł, że się czerwieni. Pot wystąpił mu na czoło. Otarł je szybko rękawem. - Moi rodzice też pojechali do Hiszpanii i... - zaschło mu w ustach.

Przeraził się, że ci obcy ludzie w mundurach zaczną go wypytywać, a przecież to jego sprawa. Jego i babci. Jeden z pilotów ujął go za ramiona.

- Dziś mieli wrócić? Czekasz sam?

- Tttak - szepnął chłopiec czując, jak mu bije serce. Dorośli wymienili ukradkowe spojrzenia. Wojskowy pokiwał głową.

- Zdarza się. Wiesz co, chłopcze? Spytaj tego pana,

22

o tam! Tego w białej kurtce. To pilot wycieczki. On ci powie wszystko, co i jak.

Paweł nie zdobył się nawet na słowo podziękowania. Wszelkie nauki mamine wyfrunęły mu z głowy. Chciał być już w domu. Z babcią. I żeby ci mundurowi nie przyglądali mu się z takim źle maskowanym współczuciem. Odwrócił się na pięcie i wybiegł z budynku. Jak przez mgłę usłyszał jeszcze słowa jednej ze stewardes:

- Prawie w każdej z tych zagranicznych wycieczek znajdzie się jakiś poszukiwacz „łatwego chleba!”

- Nie taki to znów łatwy chleb! - wzruszył ramionami nawigator. - Spodziewają się tam mercedesów, a potem szorują garnki w nocnej spelunie. Naiwni...

Paweł nie szukał mężczyzny w białej kurtce. Nie chciał już nic wiedzieć. Ale wizja taty szorującego garnki była nie do przyjęcia.

- Stary dureń! - warknął niezbyt głośno. - Sam pewnie gdzieś czyścił rondle! A teraz się mądrzy!

Siedział przy oknie w autobusie i liczył czerwone samochody jadące zatłoczonymi ulicami. „Jak będzie liczba nieparzysta, to mama wróci jutro. - Niestety. Już po dwudziestym szóstym zgubił rachubę. - Nie szkodzi - pomyślał - jutro policzę lepiej!"

\*

- Gdzie byłeś, Pawełku? Tak się niepokoiłam! - Babcia mieszała coś w garnku. - Wychodzisz i nie mówisz, dokąd idziesz! Ja nie mam do tego sił...

Chłopiec zezował na kuchenny stół. Ale nie było na nim talerzy. Poczul głód, a jednocześnie złość na siebie, staruszkę, na cały ten zakichany świat.

23

~ A co, mam w domu siedzieć? - wybuchnął. - Inni pojechali na wakacje, a ja?

Babcia zaszurała patelnią. Rozszedł się zapach smażonej cebuli.

"~ Wakacje? Dziecko, przecież to nie dla nas! Zostaliśmy sami! Ty i ja... nic ich nie obchodzimy... wyparli się nas jak Judasze.

Paweł przetykał łyży. Nie chciał się rozmazać, ale ona powtarzała w kółko jak nakręcona: „Zostaliśmy sami, sami!"

odwrócił się na pięcie i wypadł z kuchni. Zamknął się w swoim pokoju, nastawiając radio na pełny regulator. Wiedział, że przyjdzie, by je przyciszyć. Nie znosiła hałasu, a Już do białej gorączki doprowadzały ją zespoły rockowe. Nie Ornyiił się Decybele, które rozsiewał zespół „Lady Pank"; mogły doprowadzić do szaleństwa nawet umarłego.

- Paweł, zgaś radio! Ja nie wiem, co z tobą robić! Przecież sąsiadka zacznie walić w ścianę. Myślisz, że mam nerwy ze stali? Siedemdziesiąt lat przeżyłam, ale takiego wstydu... takiej Golgoty nie

spodziewałam się na stare lata! I to kto? Własny zięć... ten niecnota! To on jej w głowie poprzewracał. To jego wina, tylko jego! Ewunia nigdy by mnie samej nie zostawiła... - Rozplakała się głośno.

Ale Paweł nie czuł w sercu współczucia. „Dlaczego ona obraża tatusia? Kto jej na to pozwolił? Przecież mnie też zostawili, nie tylko ją! Co z tego, że stara? Czy wiek ma tu jakieś znaczenie?” - Znów przekręcił gałkę regulatora

dźwięku.

~ „Ech, ty, ty głupi! Cały świat ginie, bo ludzie oduczili się kochać!” - łkała refrenistka.

24

Babcia przestała płakać. Siedziała na brzeżku tapczanu i patrzyła na Pawła przestraszonym wzrokiem.

„Jak stara sowa!” - pomyślał.

Zasypiał bez kolacji, z rozdartym sercem i goryczą w ustach.

Przed oczyma migały mu ciężkie srebrzyste maszyny, które w nie wiadomo jaki sposób unosiły się w powietrzu. „Kiedy dorosnę, to nigdy, przenigdy nie będę miał rodziny. Ani domu. Tylko hotel robotniczy i kumpli. A z kolegami to będziemy chodzić na ryby. Albo do lasu. Będę jeździł autobusem albo pociągiem. A samolotem nigdy w świecie!”

Jednak w dwie godziny później znalazł się w jakiś tajemniczy sposób wśród palm i kwitnących oleandrów na plaży w Almerii. I było mu tam dobrze.

\*

Paweł stał oparty plecami o podwórkowy trzepak. Z okien wieżowca, w którym mieszkał, płynęły skoczne tony polki. Tak codziennie



zaczynała się audycja „Lato z radiem”. Z sąsiedniej bramy wybiegła ruda jak marchewka Poldzia. Paweł odwrócił się ostentacyjnie. Znał dobrze Poldzię, bo chodzili do tej samej klasy. Była straszliwą plotkarą nie potrafiącą utrzymać powierzonej sobie tajemnicy nawet przez dwie minuty.

- Czy to prawda, że twoi starzy nawiali?

Paweł głośno wypuścił nagromadzone w płucach powietrze.

- Zjeżdżaj stąd, bo oberwiesz, głupia zołzo!

- Mamooo! - rozdarła się Poldzia na całe gardło. - Paweł się przezywa!

Chłopiec miał tylko jedno marzenie: trzasnąć piekielną

25

Poldzię tak, żeby się turlała przez godzinę. Ale wiedział, że tego nie zrobi. Obrażona Poldzia ulotniła się i znów został sam. „Jechać na lotnisko?” - zastanawiał się. Nie miał już biletów. Ani pieniędzy. Od kiedy zniknęła skarbonka, nie chciał o nic prosić babci. A już w żadnym wypadku o pieniądze. „Pojadę na gapę, może mnie nie złapią!”

Nie złapali. Kontrolerzy w ogóle nie pojawili się na całej trasie, mimo iż Paweł w napięciu oczekiwał ich na każdym przystanku. W lecie nie nosili mundurów, z daleka byli praktycznie nierozpoznawalni.

W hali przylotów wiało pustką. Paweł kręcił się, przysiadł na krzeselkach, aż zwrócił na siebie uwagę młodego mężczyzny w wojskowym mundurze.

- Jeśli czekasz na Moskwę, to ma dwugodzinne opóźnienie. Burza na trasie.

Paweł wytrzeszczył oczy.

- Jaką Moskwę?

Wojskowy spojrzał na niego z ukosa.

- Teraz powinien lądować samolot z Moskwy. Nie ma innych przylotów, więc sądziłem... Jesteś tu sam?

Paweł wzruszył ramionami. Dlaczego dorosłych interesuje jedynie to, czy ktoś jest sam?

- Czy to ważne? - odburknął wstając z twardego krzesła. Był zły, że mu przeszkodzono, że się nim niepotrzebnie interesują.

- Ważne! - roześmiał się niczym nie zrażony porucznik. -Nie zapominaj, kolego, że tu, za tą ścianą, jest granica państwa.

- Granica? - zdumiał się chłopiec. - Jak może być granica... w środku miasta?

26

- A widzisz! Lotnisko międzynarodowe to jedyny taki przypadek. A teraz serio: na jaki samolot czekasz?

Paweł potarł nos. Chętnie by się wykreślił od odpowiedzi, ale ten mundur no i... granica państwa...

- Z Madrytu.

Porucznik przecząco pokręcił głową.

- Dzisiaj Madryt nie ląduje.

- Jak to? - Paweł oparł się o ścianę. Tego w ogóle nie wziął pod uwagę.

Oficer pstryknął zapalniczką i zaciągnął się dymem.

- Wiesz, co to rozkład lotów? Paweł zastanowił się.

- No... jest taki rozkład pociągów, ale... - urwał niepewny.

- Samoloty też mają swój ścisły rozkład. O ile pamiętam, do Madrytu latamy w poniedziałki i czwartki. I wracamy cztery czy pięć godzin później. Musisz to sprawdzić.

- Gdzie?

- W informacji. Słuchaj, czy twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?  
!

O, to był temat, którego Paweł wyjątkowo nie lubił. I choć wojskowy miał sympatyczną twarz, to jednak w niczym nie zmieniało postaci rzeczy. Chłopiec wyduł usta.

- Rodzicom nic do tego. Mam trzynaście lat i umiem sam poruszać się po mieście. Nie jestem dzieckiem. A w ogóle to... gdzie ta informacja?

- W głównym budynku. Tam, gdzie odloty. Nie powinieneś obrażać się, jeśli cię grzecznie pytają. Ktoś, kto się czuje dorosłym, zawsze odpowiada... szczególnie w punkcie granicznym. Jasne?

27

Paweł kiwnął głową. Był zły na siebie, że się zachował tak po szczeniacku.

Ale ciągle nie mógł się pogodzić z tą „śródmiejską granicą państwa”.

- To głupie, że koniec Polski wypada na Ochocie, no nie? Wojskowy nie zdążył odpowiedzieć. Wywołano go za

przepierzenie. Odszedł wyprostowany, gasząc papierosa w dużej metalowej popielniczce pełnej niedopałków.

„Mogliby tu lepiej sprzątać! - przebiegło chłopcu przez myśl. - Granica, a brudno, aż się lepi!”

Do informacji stała długa kolejka. Każdy pytał o taką ilość szczegółów, że Pawłowi mąciło się w głowie. Posuwał się

automatycznie, przelękając raz po raz ślinę, bo z głodu zaczęło mu burczeć w brzuchu.

Rano napił się mleka i zjadł jedną kromkę chleba z serem. Drugą ukradkiem wsunął do kieszeni. Ale i tę połknął już dość dawno. Babcia gospodarowała oszczędnie, a Paweł, pomny na brak pieniędzy, starał się niczego nie wyjadać z lodówki.

- Słucham? - zabrzmiało nagle zza szybki. - No, słucham?

Ktoś z tyłu poklepał chłopca po ramieniu.

- Szybciej, mały, czekamy!

Paweł zmieszał się. Nawet nie zauważył, kiedy nadeszła jego kolej. Ze zdenerwowania zapomniał zupełnie, po co tu stoi.

- Ja... mnie... - jękał się widząc znudzony wzrok pani w okienku informacji. - Chodzi o samolot.

- Skąd? Dokąd?

- Z Madrytu! - Paweł aż poczerwieniał z wysiłku. -

28

Kiedy przylatuje... w które dni! - Spod włosów spłynęły mu dwie krople potu. Otarł je palcami.

- We wtorki i czwartki o jedenastej dwadzieścia pięć.

Odsunął się nawet nie podziękowawszy. Oparł się plecami o ścianę jak po wielkim fizycznym wysiłku. Czuł się tak jak wtedy, gdy z całą klasą sadzili drzewka wokół szkoły. Nie mógł potem ruszyć ani ręką, ani nogą. „We wtorki i czwartki o jedenastej dwadzieścia pięć” - tłukło mu się w mózgu. Już teraz nie zapomni! Do końca życia będzie pamiętał te dni i tę godzinę.

Przez hol przelewała się ludzka rzeka. I ocean bagaży. Ale nic już chłopca tu nie interesowało. Był poniedziałek, przed sobą miał jeszcze

dwadzieścia jeden godzin i cztery minuty. Duży zegar z czarnymi wskazówkami mówił mu o tym wyraźnie, z dokładnością do pół sekundy czasu Greenwich.

\*

Z autobusu musiał uciekać w połowie drogi. Jak na złość w Alejach Jerozolimskich wsiadły dwie kontrolerki. Wsiadły fachowo: z obu stron pojazdu, przednimi i tylnymi drzwiami. Chłopiec ledwie zdążył dać nura, zanim autobus ruszył na dobre. Z bijącym sercem stał na ulicy, przeżywając własną klęskę i... cenę strachu.

Na dodatek zaczął padać deszcz, który po kilku minutach przemienił się w prawdziwą ulewę. Nad miastem płynęły nisko bure chmurzyska, reflektory aut odbijały się od mokrego asfaltu. Pozimniało.

Do domu dobrnął późnym popołudniem. Piechotą. Bał się wsiąść do któregoś z pryskających fontanną błota autobusów. Na dziś miał dość. Wszystkiego: strachu, tłoku, pań z informacji. W ogóle ludzi.

29

Babci nie było. Odebrał klucz od sąsiadki, która mruknęła współczująco:

- Biednyś ty, biedny!

Paweł zaciął zęby. Dwie minuty walczył z opornym zamkiem, który zacinał się od dawna. Tato miał go zreperować, a właściwie wymienić na nowy. Ale nie zdążył przed wyjazdem.

A może nic go w gruncie rzeczy ten zamek nie obchodził? Tak jak Paweł, babcia...

W kuchni pod talerzem znalazł bliny. Były już zimne i takie jakieś nieapetyczne. Ale chłopiec był głodny. Polał bliny sokiem i zjadł. Herbaty nie postawił na gazie. Nie lubił tych kurków, które odkręcały się opornie. Położył się na kozetce i zamknął oczy. Nie słyszał, kiedy

wróciła babcia. Przemoknięty do nitki zapomniał się przebrać, nie zdjął nawet mokrych tenisówek.

- Paweł, ty masz gorączkę?

Ocknął się z jakiegoś koszmarne snu, w którym po lotnisku goniły go autobusowe kontrolerki, a pani z informacji, w balowej sukni, wołała za nim: „Madryt nie przyleci, bo burza na trasie!”

- Co? Kto to?

Babcia pochyliła nad nim zmęczoną twarz o czerwonych obrzękłych powiekach.

- Zmokłeś? Dlaczego się nie przebrałeś? Boże święty, ja nie mam sił do ciebie! Latasz gdzieś, nie opowiadasz się, przepadasz na cały dzień, a potem wszystko na mojej głowie! A jak zachorujesz? Jesteś taki skłonny do angin!

Paweł opędzał się dłonią od tych słów jak od uprzykrzonej muchy. W gardle go drapało. W oczach czuł piasek.

30

- To najwyżej umrę! - chciał krzyknąć, ale z ust wydobył mu się tylko chrapliwy szept.

- Jezus Maria! - pojękiwała babcia splatając i rozplatając dłonie. — Do grobu mnie wpędzisz, ty i twoi rodzice! Chyba wszyscy się na mnie uwzięli! Wstań, pościelę ci łóżko. I dam naparu z malin.

Chłopiec posłusznie dźwignął się z kozetki. Chciał być sam ze swoją chorobą, z myślami, od których siwiałły włosy, z nieszczęściem i bólem, które niosły kolejne dni.

W łazience nie było ciepłej wody. Wyłączyli na całe dwa tygodnie dla okresowej konserwacji. Zimna, początkowo chłodziła przyjemnie rozpalone czoło, potem wzmogła dreszcze. Kładł się do łóżka bezcłowa. Bez cienia odrazy wypił herbatę z syropem malinowym. Z

ulgą usłyszał ciche zamykanie drzwi. „Wreszcie poszła! - pomyślał leniwie. Lecz wzdrygnął się, gdy usłyszał zza ściany jej cichy jednostajny płacz. - Niech ona już przestanie! Niech przestanie! Ja tego dłużej nie wytrzymam!"

\*

Obudził się rozbity, z głębokimi cieniami pod oczyma. W głowie szumiało, skóra dłoni była sucha i wilgotna na przemian. Spojrzał na zegarek. Stary budzik, którego zapomniał wczoraj nakręcić.

Wskazywał szóstą piętnaście. „Niemożliwe! - pomyślał Paweł. - Na pewno jest o wiele później. Kiedy przylatuje dziś Madryt? Prawda, o jedenastej dwadzieścia pięć!"

Z trudem zwłóknął się z tapczanu. Dwa razy odrzucił koc i dwa razy naciągał go z powrotem. Ale czas naglił. W kuchni babcia pobrzękiwała butelkami od mleka. Zobaczywszy go w drzwiach załamała dłonie.

31

- Boże święty, jak ty wyglądasz! Dlaczego wstałeś?

- Która... która godzina? - własny głos wydał mu się chrapliwy jak dźwięk pękniętego dzwonu.

- Dopiero dziewiąta! Wracaj do łóżka. Pójdę tylko po mleko i zaraz...

Chłopiec cofnął się za próg. „Trzeba udać, że posłuchałem, a potem, jak tylko wyjdzie, prędko na lotnisko! Tylko te bilety..."

Stuknęły drzwi wyjściowe. Paweł szybko, choć nie bez trudu, wskoczył w dzinsy. Już wyschły. Koszulka polo też. Z szafy wziął cienką wiatrówkę, którą dostał na imieniny Miała kolorowe pasy i napis: „Madę in Texas". Jeszcze tylko tenisówki, do których przyschło wczorajsze błoto. Co tam, błoto! Ważne, że można się wymknąć. Ale bilety? Może... Drzenie przebiegło mu po skórze. Wiedział, gdzie

babcia trzyma pieniądze. Nikt niczego w tym domu nie chował, nie ukrywał. Ale też i nikt nigdy nie brał bez pytania. Teraz wziął. Całe pięćdziesiąt złotych. Starczy przez jakiś czas na bilety. A co potem? To „potem” było tak odległe, że nie warto sobie nim zaprzętać głowy.

\*

- Wylądował samolot z Madrytu, rejs numer trzysta dwa! - głos w megafonie zacierał się chwilami w niewyraźne zbitki spółgłosek i samogłosek. Taras widokowy zamknięty był z powodu deszczu i chłodnego wiatru, który poruszał firankami sali restauracyjnej na piętrze. W budynku przylotów parowała wilgotna odzież, snuli się ludzie, którzy przyszli tu powitać bliskich.

Paweł kulił się w przemoczonej kurteczce. Wyrzucał sobie, że nie wziął swetra. Ale kto mógł się spodziewać, że po

32

fali upałów, w czerwcu, zapanują takie chłody? Z nosem przylepionym do szyby obserwował, jak ruszyła taśma transportująca bagaże. Pojawiły się walizy, torby, nawet jakiś wiklinowy kosz przewiązany skórzanym paskiem. Widoczność nie była najlepsza. Zasłaniali tłoczący się ludzie, no i ścianka działowa nie pozwalała na dokładniejszą obserwację.

Gdy przyjezdni zaczęli wychodzić, Paweł ustawił się tak, by nie przeoczyć nikogo i niczego.

Trwało to długo i wymagało sporo samozaparcia. I tym razem nie doczekał się swoich. Osowiały, trawiony gorączką, która nie minęła po wczorajszym dniu i nocy, czekał nie wiedzieć na co. Znowu ukazała się obsługa samolotu. Ale byli to zupełnie inni ludzie. Paweł z pewnością poznałby tamtego pilota. I stewardesy. Przełamując nieśmiałość, spytał jedną z nich, gdy przystanąła na moment, poprawiając ciężką torbę na ramieniu.



- Czy... czy dziś lecieli wycieczkowicze? No, tym samolotem?

Dziewczyna przyjrzała się mówiącemu. Uderzyło ją rozbiegane spojrzenie nastolatka i jego pięści zaciśnięte, jakby szykował się do walki z niewidocznym wrogiem.

- Wycieczkowicze? Czekaj... nie bardzo rozumiem... Paweł oblizał suche wargi. „Jak trudno jest o cokolwiek

pytać dorosłych!”

- Proszę pani... - głos miał cichy i niepewny. - Zawsze przecież przylatują te wycieczki... no, ci, którzy pojechali z „Orbisem” albo innym biurem podróży...

Stewardesa uśmiechnęła się. Miała szare oczy, ładnie podkreślone tuszem. Długie rzęsy rzucały cień na policzki.

To była najładniejsza dziewczyna, jaką Paweł widział w życiu.

- Przepraszam, że cię nie zrozumiałam. Nie, nie mieliśmy na pokładzie żadnej grupy orbisowskiej. Wszystko to pasażerowie indywidualni... Czy to dla ciebie takie ważne?

- Chodź już, Irenko! - Druga stewardesa czekała na koleżankę. - Jurek podrzuci nas do miasta. Jest wozem.

Szarooka jeszcze raz uśmiechnęła się do chłopca.

- Naprawdę nie było żadnej wycieczki. Możesz mi wierzyć!

Czy wierzył? Naturalnie! Miała taki melodyjny, ciepły głos.

Uwierzyłby jej nawet, gdyby wyznała, że tę wycieczkę wysadziła po drodze. W powietrzu. Był wrażliwym chłopcem, którego można kupić za miły gest, delikatne słowo, uśmiech pełnych, ledwie muśniętych szminką warg.

Znów został sam ze swymi myślami. Z rozdartym sercem i pulsującą chorobą. Czuł łzawienie oczu, przy przełykaniu śliny bolało go gardło. Był chory i nieszczęśliwy.

Przed budynek dworcowy zajeżdżały i odjeżdżały taksówki. Mokra jezdnia lśniła, pomarańczowe nagietki rosnące kępą na wytartym trawniczku pochylały głowy muskając płatkami bryłki błotnistej ziemi. Powietrze przesycone wilgocią drżało od huku startujących maszyn.

Paweł poczuł zimny dreszcz. Otrząsnął się jak pies po kąpieli, ale złe samopoczucie nie ustąpiło. Bezmyślnie minął przystanek autobusowy, szedł środkiem jezdnii nie omijając kałuż. Tennisówki znów przemokły, ale nie czuł tego. Nie bardzo wiedział, dokąd zmierza. Włókł się z postawionym kołnierzem wiatrówki, która nie chroniła przed deszczem i wilgocią. Ocknął się, gdy jakiś nadjeżdżający samochód

34

błysnął długimi światłami. Uskoczył w bok. Potem zawrócił. Dlaczego? Sam nie wiedział. Bał się tylko jednego: powrotu do pustego domu i cichego płaczu babci, który przeniknąłby chyba najgrubsze mury. Wszystko inne było lepsze. Zapamiętał kryte skórą foteliki w poczekalni na piętrze dworca. Teraz wydały mu się idealnym schronieniem. Tam było względnie ciepło, nie padał deszcz, a przede wszystkim nikt nie płakał. Chyba że z radości, iż ponownie widzi rodzinną ziemię.

- To będzie moje krzesło na granicy państwa! - wymruczał sam do siebie. - Ale śmiesznie!

\*

- Tamten stolik chce płacić! - krzyknęła kelnerka balansując tacą pełną pustych szklanek i zaśmieconych petami popielniczek. - Panie Wacku, już nóg nie czuję!

- Cholerny dzień! Pogoda pod psem, to i wszyscy ciągną do restauracji, żeby choć herbatę wypić na międzynarodowym lotnisku! - rzucił przez zęby kelner.

- Na szczęście już niedługo zamykamy! - pocieszył go szatniarz wydając ostatni płaszcz. - Na dziś starczy.

Kelnerka zmiotła okruchy wprost na podłogę. Wilgotną ścierką od niechcienia przetarła stolik.

- Pani Kulikowa, tu trzeba przelecieć elektroluksem - wskazała sprzątacze wyjątkowo zaśmiecony kąt sali. - Pod tymi paprotkami też!

Kulikowa była starszą kobietą o zniszczonej twarzy i rękach czerwonych i szorstkich. Znała swoje obowiązki i tylko ją denerwowało to wieczne przypominanie, gdzie ma „przelecieć elektroluksem”. Nie odezwała się włączając warczący sprzęt. Myślała o domu, czekającym mężu i synowej, którą

35

choroba od dawna przykuła do łóżka. Każdy myśli o swoich sprawach, nawet w robocie.

Zapadał wczesny zmierzch po dniu ponurym i zachlapanym. Wygaszono lampy w nieczynnej części sali. Za szybami połyskiwały dalekie światła pasów startowych.

- Pasażerowie odlatujący do Bejrutu, rejs numer czterysta piętnaście, proszeni są o przechodzenie do odprawy paszportowej - prosił miękki głos gdzieś spod sufitu.

- Jeszcze tylko ten Bejrut, co? - szatniarz pochylił się nad szufladką pełną bilonu.

- I czarter z Kanady.

Kelnerki na zapleczu przebierały się w swoje „cywilne” stroje. W pracy wszystkie nosiły jednakowe służbowe sukienki. Szefowa lotniskowej gastronomii, kobieta wesoła, o pogodnej czerstwej twarzy, nie mogła sobie poradzić z zamkiem błyskawicznym przy plastikowej torbie.

- Panie Staszku, nie ma pan obczązek? Tu mi się zacięło... Szatniarz raz i drugi szarpnął metalowy koniec zamka.

- Pani poczeka, zobaczę w graciarni. - Zniknął za drzwiami cienkiego przepierzenia. Nie było go może dwie minuty. Wrócił bez obcęgów, za to z wiadomością.

- Tam ktoś siedzi.

- Gdzie? - Kobieta nie bardzo zrozumiała, o co chodzi.

- Tam, w kącie. Jakiś chłopak. Śpi albo co...

Trzy twarze pochyliły się nad fotelikiem, na którym zwinięty w kłębek siedział kilkunastoletni chłopak z głową wciśniętą w oparcie.

- Ty, mały, wstawaj! - szatniarz poklepał go po ramieniu.

- On chyba chory! - zdenerwowała się sprzątaczką. - Tak ciężko oddycha. Zapomnieli o nim czy jak?

36

Obudzenie śpiącego nie było łatwe. Chłopiec mruczał coś bez sensu, ale oczu nie otwierał.

- I co z takim zrobić? - irytował się wezwany na pomoc pan Wacek. - Kogo zawiadomić?

Szefowa gastronomii przestała zajmować się popsutym zamkiem.

- Ogłoś przez megafon. Rodzice pewnie go szukają. Ma gorączkę, to widać na pierwszy rzut oka. Wiem, sama mam takich dwóch w domu...

- Zakończyliśmy odprawę pasażerów odlatujących do Bejrutu - zabrzmiał czysty głos z megafonu. - Opiekunowie chłopca lat około trzynastu proszeni są o zgłoszenie się do informacji. Powtarzam...

Jednakże apel, choć kilkakrotnie powtarzany, pozostał bez skutku. Chłopiec, obudzony w końcu, okazał się tak chory, że nie potrafił niczego wykrztusić. Oficer dyżurny wezwał pogotowie. Karetka przyjechała po dwudziestu minutach. Siwy lekarz uniósł powiekę i uważnie zbadał puls chorego.

- Zabieramy go.

- Gdzie dziś jest ostry dyżur? Muszę to wiedzieć na wypadek, gdyby zgłosili się opiekunowie. -Oficer otworzył notes.

- W szpitalu na Solcu. Czy on ma jakieś dokumenty?

- Nie. Tylko bilety autobusowe.

- Trudno. Zgłosimy na Wiśniową, do Milicyjnej Izby Dziecka.

Karetka z jękiem syreny ruszyła spod budynku. Za chwilę jej błękitne światelko zniknęło za zakrętem.

37

Najpierw była łąka. Zielona, z wysoką trawą. Potem pojawiły się stada ptaków. Obsiadły okoliczne topole i wierzby, które nie wiedzieć kiedy wyrosły nad rowem pełnym wody. Znikły, gdy tylko wzeszło słońce. Duża, pomarańczowa kula, gorąca i migotliwa. Maląła i bladła, aż zmieniła się w lampę. Ta lampa wisiała wysoko pod białym zimnym sufitem.

Paweł uniósł głowę.

- Gdzie ja jestem?

- Śpij - głos dobiegł z prawej strony. Tam był półcień i chłopiec nie widział nikogo.

- Ale gdzie ja jestem? - Był osłabiony i każda kończyna ważyła tyle co beczka deszczówki.

Dziewczyna w białym czepku pojawiła się jak duch.

- Jesteś chory. W szpitalu. Nie mów tyle. Zaraz poproszę lekarza.

Paweł zdziwił się: „Dlaczego w szpitalu? Dokąd prowadzi ten długi lśniący korytarz pełen metalowych łóżek pod ścianami. Co ja tu robię? Skąd się wziąłem?”

Wysięk spowodował ponowne osłabienie i jeszcze głębszy sen.

Lekarz pokiwał głową.

- Proszę mi dać znać, jak się znów zbudzi. Nie wiemy, kim jest, a trzeba koniecznie zawiadomić rodzinę.

- Co mu jest, panie doktorze?

Pielęgniarka kawałkiem wilgotnej gazy otarła spoconą twarz śpiącego.

- Boję się zapalenia płuc. Ten chłopiec nie ma silnego organizmu. Przywieźli go z międzynarodowego lotniska. Co tam robił?

38

- Dowiemy się czegoś, jak się obudzi. Co podać pacjentowi spod siedemnastki? Prosi o środek nasenny.

- Niech mu siostra da... ale to już ostatni raz!

\*

Wróciły ptaki. Tym razem białe jak mewy z żółtymi dziobami. Nadlatywały chmurą i całkiem przysłoniły słońce. Gdy tylko opadły na ziemię, wsiąkały w nią jak krople deszczu. Paweł dziwił się temu, ale nie za bardzo. Potem słońce zmieniło się w pryskający ogniem kawał metalu, z którego kowal wykuwał młotem podkowy albo coś podobnego. Nie wiadomo dokładnie co. Buch! Buch! - walił nie

zginając ramienia, aż iskry szły pod okopcony sufit. Paweł nie mógł zrozumieć, dlaczego nie lubi kowala. Kiedy na niego spojrział, kowal zamiast twarzy miał śmigło. Zwyczajne śmigło, jak samolot. Chłopiec odwrócił się i zaczął uciekać. Ale ciężkie jak kłody nogi odmawiały posłuszeństwa. Wreszcie upadł.

Gdy otworzył oczy, nie było kuźni ani żaru, tylko mgła, przez którą widział ludzkie twarze. Niewyraźne, zamazane, ale ludzkie.

- Panie doktorze, obudził się.

Czyjaś ręka dotknęła czoła. Była chłodna, przyjemna.

- No, chłopcze, jak się czujesz? Paweł zrozumiał, że jest znów na ziemi.

- Ja? - wyszeptał. - Boli. Lekarz przysiadł na brzegu łóżka.

- Co cię boli?

Chłopiec milczał. Z wolna powracała pamięć. „Ktoś mówił, że jestem w szpitalu - przypomniał sobie - ale dlaczego?”

39

Pielegniarka miała na tacce kolorowe pastylki i kubek z wodą.

- Połknij i popij. Słyszysz mnie?

Słyszał. Całkiem wyraźnie. Tylko nie bardzo wiedział, jak się zachować w tej sytuacji.

- Dlaczego tu jestem?

Głos miał słaby, lecz już nie tak chrypliwy. Tylko ten ból pod czaszką. Pulsujący, rozległy.

- Przywieziono cię z lotniska. Co tam robiłeś całkiem sam?

- Czekałem.

Pielęgniarka pochyliła się i zaszeptała coś do ucha lekarzowi.

- Mam nadzieję, że nie jest w mundurze? - spytał głośno, a potem dodał coś jeszcze ściszym głosem, czego Paweł nie dosłyszał. - Oczywiście, może z nim porozmawiać. Tylko niezbyt długo. - Lekarz wstał z łóżka i delikatnie poklepał

π chłopca po policzku. - Już dobrze, kryzys minął.

Kobieta, która weszła, nie wydała się Pawłowi, na pierwszy rzut oka, sympatyczna. Bił od niej jakiś chłód. Ale miała życzliwy uśmiech i bransoletkę z kilku złotych kółek. Taką samą, jak mama.

- Jak ci na imię?

- Paweł.

- A nazwisko? Chłopiec przymknął oczy. „Co to? Przesłuchanie? Już lepiej wrócić do domu, do babci. Zresztą... co tam, powiem!”

- Brent. Paweł Brent.

- Adres pamiętasz?

40

- Czyj... adres?-Paweł naciągnął koc aż pod brodę. Nie, nie było mu zimno. Tylko tak, na wypadek, gdyby trzeba było ukryć twarz.

- Twój naturalnie. - Kobieta wyjęła notes i-długopis. -Gdzie mieszkasz?

- Tutaj. No, w Warszawie.

W korytarzu zapanował ruch. Pielęgniarki wozily na wózkach posiłek: białą kawę i chleb z twarożkiem.

Nieznajoma uważnie przyglądała się bladej twarzy chłopca, głębokim cieniom pod oczyma.



- Pokaż ręce - poprosiła.

Paweł niechętnie wyjął dłonie spod koca.

- Na całą długość. No, ładnie, żadnych śladów ukłucia! Pielęgniarka przecząco pokręciła głową.

- Nic z tych rzeczy, o których pani myśli. Normalne zapalenie płuc przerwane antybiotykami.

- Dlaczego uciekłeś, Paweł? Chłopiec szeroko otworzył oczy.

- Ja nie uciekałem! Po co? Kim pani właściwie jest? Lekarką?

- Nie. To zresztą nie jest takie ważne. Rodzice pewnie cię szukają, co?

Chłopiec znów naciągnął koc aż na brodę.

- Chyba odwrotnie! - mruknął do siebie, zły, że w ogóle wdał się w rozmowę. „Tera/ dopiero popłynie lawina pytań!” - przeraził się. Ale było już /a późno na refleksje.

Nic takiego nie nastąpiło. Delikatnie zabrzczały złote kółka bransoletki. Kobieta chwilę siedziała w milczeniu.

- No, to cześć, Paweł. Życzę ci zdrowia!

Wstała z uśmiechem, który zupełnie odmienił jej rysy.

41

- Aha, nie zapisałam adresu. Więc?

Chłopiec zakaszlał. Popił łyk wody i cichym głosem wyraźnie podał adres. „Trudno. Kłamać nie ma sensu. Jak zechcą, to i tak znajdą!”

- Kto to był? - spytał pielęgniarkę, gdy ta postawiła mu na nocnym stoliku kubek z kawą.

- Dobra ciocia. Zajmuje się takimi samotnymi pisklakami, jak ty. Nic się nie martw, wypij trochę kawy. Dasz sobie radę czy pomóc?

- Dam sobie radę.

\*

Upał musiał być straszny, bo nawet tu, w mieszkaniu na dziewiątym piętrze wieżowca, nie było czym oddychać. Paweł siedział na wersalce jeszcze osłabiony, ale już zdrowy. Zapalenie płuc minęło bez komplikacji. Kiedy do szpitala przyjechała babcia, nawet się nie zdziwił. Popłakała trochę, pobiadoliła i wróciła do domu. Po dwóch tygodniach wrócił Paweł. Nie nawiązywali więcej do tematu lotniska, tym bardziej że chłopiec niczego nie chciał wyjawiać.

- To moja sprawa, tylko moja!

- Jesteś dzieckiem, Pawełku. Powinieneś słuchać starszych! - denerwowała się babcia. I już szklily jej się oczy.

Ale Paweł pozostał nieugięty.

- Nigdy taki nie byłeś, nigdy! - poskarżyła się staruszka wychodząc z pokoju. - Uparty, jak ojciec!

Paweł miał na końcu języka brzydkie słowo, ale się pohamował. „Ona nie ma prawa obrażać tatusia! Na złość jej nigdy niczego o sobie nie powiem!” - postanowił w myślach.

I od tego dnia skutecznie realizował swoją groźbę. Póki

42

leżał chory, nie myślał ani o Madrycie, ani o rozkładzie LOT-u. Teraz, w miarę odzyskiwania sił, obsesyjna wizja lotniska powracała. Jak te sny o ptakach.

W drugiej połowie lipca wyruszył tam znowu. Teraz był mądrzejszy. Nawet w upalny dzień zabierał do harcerskiego chlebaka sweter,

cienki przeciwdeszczowy płaszcz w torebce z folii, parę kanapek, starą finkę i latarkę. Te dwa ostatnie przedmioty leżały w chlebaku od dawna. Od zeszłorocznego obozu w Bieszczadach. Nie wyjął ich. Niech sobie będą.

Jeździł regularnie: w każdy wtorek i czwartek, tak, by tam być przed jedenastą. Już się nie denerwował, gdy tłum pasażerów przeredzał się wsiąkając w miasto. Czekał, aż ukaże się grupa pilotów i stewardesy. Rozpoznawał niektórych. Oni jego też. Potem wsiadał w autobus i jechał do domu. Tak było aż do dnia, kiedy stwierdził, że drzwi mieszkania, z którego wyszła babcia, są zamknięte na klucz. A on tkwi w środku. Szarpał klamką, kopał sapiąc z wysiłku. Wszystko na nic.

- Zamknęła mnie! - powiedział głośno i usiadł na dywanie, by porządnie przemyśleć całą sprawę.

Kiedy klucz zazgrzytał w zamku, nie wypadł z awanturą. Był blady i spokojny.

- Nie chcę, żebyś się sam włóczył po mieście! - powiedziała babcia ze złością.

Paweł nie odezwał się. Milczał podczas obiadu i długo potem, udając, że ogląda telewizję. Stara kobieta też milczała, choć Bóg jeden wie, ile ją to uparte milczenie kosztowało. Od piątku do poniedziałku panowało coś w rodzaju zawieszenia broni. Paweł posłusznie chodził z nią po zakupy.

43

dźwigał ciężkie torby z mlekiem i ziemniakami. Ale nie czuł miłości w sercu. Wprost przeciwnie.

We wtorek obudził się jeszcze przed świtem. Ostrożnie wstał z kozetki, włożył dżinsy, koszulkę, spakował do chlebaka wszystko to, co wydawało mu się niezbędne. Z puszki po herbacie „Assam” wyjął sto złotych. Resztę zwinął porządnie i włożył z powrotem. Nie myślał, żeby szum wody nie zbudził staruszki. Miała lekki sen, ale nad ranem nadchodził ten głębszy. Paweł wiedział, gdzie wiszą klucze. Odsunął delikatnie łańcuch, uważając, by nie brzęknął. Ostrożnie manipulował przy zamkach: najpierw górny, potem dolny. Powiesił klucze na miejscu i wyszedł, cicho zatraskując drzwi. Był wolny.

Nie myślał o tym, co będzie dalej. Niczego nie zaplanował. Chciał znaleźć się w sali przylotów punktualnie.

Postanowił oszczędzać pieniądze. Wiedział, że babcia zauważy ubytek. Liczyła każdy grosz. „Trudno. Będę zbierał butelki albo makulaturę, oddam!” - z tym postanowieniem wszedł do baru mlecznego w Alejach Jerozolimskich. Dokładnie przyjrzał się cenom.

- Piekielnie drogo! - mruknął. - Nie na moją kieszeń. W najbliższym sklepie spożywczym kupił ćwiartkę chleba

i wsunął ją do chlebaka. Zje później. Wlókł się ulicami, po których przechodnie spieszyli do pracy. Jakaś kobieta z trudem pchała podwójny wózek z bliźniakami. Paweł przyjrzał się różowym buziom pod kapturkami w żółte groszki.

- I tak was nie zabiorą z sobą do Hiszpanii! - mrugnął do nich okiem.

Kobieta obejrzała się zdziwiona.

Świeże powietrze łagodnie chłodziło płuca. Po wczoraj-

44

szym upalnym dniem w nocy przysłała burza. Po niej wyraźnie ochłodziło. Było rześko, przyjemnie. Umyte ulewą dachy miasta

błyszczały w słońcu. Tu i ówdzie na jezdni potworzyły się kałuże, w których kapały się zadowolone wróble.

Podobało mu się rodzinne miasto. Nie zamieniłby go na inne. Wsiadł do autobusu spokojny, że zdąży na czas. Ale stało się inaczej. U zbiegu ulic Żwirki i Wigury oraz Bogu-cickiej zdarzyła się awaria. Kierowca wysiadł, zajrzał pod samochód i cicho zaklął.

- Proszę wysiadać. Dalej nie pojedziemy. Hamulce nawaliły.

Ludzie się denerwowali. Szczególnie ci z bagażami. Nie mieli zbyt wiele czasu, a tu taki klops. Ale nie było rady. Część pasażerów przeniosła swoje kłopoty do pobliskiego, na szczęście, przystanku. Poczekają na następny autobus. Reszta złorzecząc na miejską komunikację poszła pieszo. Paweł nie spieszył się. Do lotniska stąd niedaleko. Mógłby nawet pobiec truchtem, gdyby mu na tym zależało.

- Ale pech! - sapnął starszy pan gramoląc się ze stopnia. Ostrożnie trzymał przed sobą coś opakowanego w stary worek. Górą sterczały z niego gałązki jałowca. Potknął się i byłby upadł, gdyby Paweł w porę nie podtrzymał go za łokieć.

- Dzięki, chłopcze. To sadzonki. Na działkę.

- Przecież drzewka sadi się w jesieni? - zdziwił się Paweł, biorąc w objęcia drugi worek.

- Liściaste. Iglaki przesadza się w lecie. Wtedy kończą wegetację.

- Gdzie jest ta działka? Może zdążyłbym panu pomóc.

- Tu niedaleko. O, widzisz, za tym ogrodzeniem. - Stary

45

pan brodą wskazał kierunek. - Na jaki samolot chcesz zdążyć?

- Z Madrytu. Jedenasta dwadzieścia pięć. - Paweł dreptał przed siebie. Gałązki zasłaniały mu pół twarzy. I wcale nie były takie lekkie, jak się spodziewał.

- Donieś mi tylko do furtki, synku. Jakoś potem dam sobie radę.

Rzeczywiście nie było to daleko. Nagle przed nosem Pawła wyrosło wysokie ogrodzenie z siatki. Postawił worek na ziemi koło bramy. Zajrzał ciekawie w głąb ogrodu.

- Ładnie tu. I domki są. Pan tu czasem mieszka? Stary, sapiąc, otwierał zardzewiałą kłódkę.

- Latem. Podczas upałów. W moim wieżowcu jest wtedy nie do wytrzymania. W mieszkaniu temperatura dochodzi do czterdziestu stopni. Człowiekowi wydaje się, że wtapia się w podłogę.

- U nas jest tak samo.

- Wejdiesz? - stary pan uporał się z kłódką. Brama przeraźliwie zapiszcziała. - To ta altanka z zielonym dachem, widzisz?

Paweł przyjrzał się uważnie. Oko zarejestrowało kadr jak w podświetlonym kolorowym slajdzie.

- Muszę już pędzić. Ale... - zawahał się. - Gdyby nie przyjechali, to...

- Zostawię furtkę otwartą - uśmiechnął się nieznajomy. Miał siwe szczeciniaste włosy, pobrużdżoną twarz i spojrzenie, które napawało otuchą.

Paweł aż się zdziwił, że tak bardzo podoba mu się ten człowiek. A przecież, przynajmniej tak sądził, nie lubi starych ludzi.

46

- Nazywam się Paweł Brent - powiedział szybko i cokolwiek niewyraźnie.

Л

Stary odsłonił w uśmiechu zbyt białe zęby.

- A ja Leon Ruszczyk. To cześć, Pawle. Dziękuję.

Chłopiec podpierał ścianę w sali przylotów. Nie miotał się wśród podróżnych, nie wybiegał im wprost pod nogi. Mijali go obojętnie, jakby był przedmiotem, plakatem na brudnej ścianie. Obce głosy, obce twarze wśród uśmiechów i uścisków.

Jeżeli zdarzyło się coś niezwykłego, to chyba tylko to, że poznała go szarooka stewardesa.

- Znowu tu jesteś?

- Ttak - wyjąkał czerwieniąc się jak burak.

- Nie było z nami wycieczki! - rzuciła sama, choć jej o to nie pytał.

- To nic. Dziękuję.

Pożegnała go miłym skinieniem głowy w zgrabnej służbowej czapeczce.

- To ten chłopiec, o którym wam opowiadałam - powiedziała przyciszonym głosem do kolegów. - Czeka tylko na Madryt. Już go tu widziałam kilkakrotnie.

- Myślisz, że... Kiwnęła głową.

- Pieski los! - Pilot w randze kapitana zrobił nieznaczny gest dłonią. - To najgorsze, co się może dzieciakowi przytrafić.

Odeszli równym krokiem. Tacy ładni w swoich eleganckich mundurach.

47

Paweł postać jeszcze chwilę dla przyzwoitości. Może się tam jeszcze ktoś zaplątał wśród celników? Może nie dowieźli bagażu? Ale chłód koło serca mówił wyraźnie, że to kolejny wtorek straconych złudzeń. Wyjął chleb i starą harcerską finkę, którą dostał na swoje dziewiąte urodziny. Kromka kruszyła się i miała smak słomy. Przysiadł na

wózku bagażowym, zagapiony w rząd taksówek, jedna po drugiej ruszających z postoju.

Dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach przysiadło z drugiej strony. Jedli grube pajdy razowca z boczkiem. Paweł nagle poczuł, że mu ślina napływa do ust. Musiało coś być w jego wzroku, bo jeden z mężczyzn nagle znieruchomiał.

- Co tak zasuwasz suchy chleb? To dobre dla konia -stwierdził dziwnie niskim głosem.

Paweł zmieszał się.

- Ttak... wyszło.

Mężczyzna sięgnął do papieru. Pogrzebał w nim i nieproszony położył na kromce gruby, pachnący wędzonką plaster.

- Podzielimy się. Dziś ja tobie, jutro ty mnie. Chłopiec nie wiedział, jak się zachować. Spoglądał to na

boczek, to na czarne wąsy ofiarodawcy.

- Ale ja jutro... też nie będę miał!

Obaj mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem, co jeszcze bardziej stropiło Pawła.

- Nie martw się. To takie powiedzonko! - drugi też miał wąsy, ale jasne. Prawie rude. - Jedz, nie krępuj się. Kolega ma teściową na wsi. A tam zawsze tłuką jakiegoś prosiaka. Nie zbiednieje!

48

Paweł żuł z przyjemnością. Takich rarytasów od dawna nie było w domu. W każdym razie od wyjazdu rodziców.

Obaj mężczyźni przyglądali mu się z uśmiechem. Byli to młodzi ludzie, weseli.



- Panowie tu pracują? Na lotnisku? - zagadnął, gdy już uporał się z drugim kawałkiem, który jakoś tak niepostrzeżenie znalazł się na jego chlebie.
- A jakże. Bez nas żadna maszyna nie ruszy w świat. Trzeba ją przejrzeć śrubka po śrubce.
- Odpowiedzialność za ludzkie życie! - dodał ten rudy poważniejąc.
- Też bym chciał! - wyrwało się chłopcu.
- Dorośniesz, wyuczysz się, to przyjmujemy na kumpla, co, Waldek?
- Ma się rozumieć! - zgodził się brunet wstając. - To cześć, dobrego dnia!
- Cześć! - Paweł schował finkę do chlebaka. Był rozluźniony, dziwnie spokojny. Jeszcze nikt nie życzył mu dobrego dnia. - Dobrego dnia! - krzyknął za odchodzącymi. -Dobrego!

Chciał, żeby tak było.

Łatwo trafił do żelaznej bramy zamykającej teren działek nie opodal lotniska. Szedł wolno zwirowaną dróżką rozglądając się na boki. Był to teren typowy dla ogródków pracowniczych. Małe, najwyżej czterystumetrowe poletka odgródzone wysokimi żywopłotami. Za nimi drzewa owocowe, kwitnące krzaki, warzywniki. Gdzieniegdzie altanki porośłe żółtymi kielichami wiciokrzewu. Prawie wszędzie pracowali ludzie, kopiąc coś lub pieląc. Altanka z zielonym dachem stała na czwartej, może piątej działce. Rosły na niej

49

śliwy i jabłonki. Małe, karłowate, ale pełne owoców zwieszających się prawie aż do ziemi. Gęste krzaki dzikiej róży broniły dostępu, kolczaste i nieprzebyte. Furtka zazgrzytała, gdy ją delikatnie popchnął.

- Jestem - powiedział zwyczajnie, gdy stary człowiek w słomkowym kapeluszu uniósł głowę znad łopaty.

- To dobrze. Widać mam więcej szczęścia niż rozumu! O nic nie zapytał i Paweł był mu za to serdecznie wdzięczny.

- Nie najlepiej się dziś czuję. Pomoc bardzo się przyda. Potrzymam jałowiec, a ty podsyp trochę ziemi. O, tak!

Chwilę pracowali razem, bo tych wykopanych dołków było z pięć czy sześć.

- Co teraz? - spytał gorliwie Paweł, bojąc się, że nic więcej nie znajdzie tu do roboty.

- Obiad. Zasłużyłeś sobie na talerz zupy. Poczekaj na ganku. Mój domek jest maleńki, dwie osoby wygodnie się nie zmieszczą.

Ganek. Może to za dużo powiedziane. Na małym podeście z surowych sosnowych desek stał turystyczny stolik i dwa krzeselka z kretonowymi oparciami w żółto-zielone pasy. Paweł usiadł ostrożnie. Słońce grzało poprzez liście starej gruszy. Rozleniwiło. Z odrętwienia wyrwało go stuknięcie. To stary Ruszczyk ustawiał talerze.

- Mam tu tylko butlę gazową - powiedział - trochę to trwa.

Jedli zupę jarzynową mrużąc oczy od słonecznych błysków.

- Tu można mieszkać całe lato - powiedział Paweł odkładając łyżkę.

50

- A pewnie. Altanka zbudowana porządnie, nie przecieka nawet podczas największej burzy. Ale ja wracam na noc do mieszkania. Złodzieje się rozzuchwalili, trzeba pilnować. Szczególnie latem, gdy pół miasta wyjeżdża na urlopy.

- A pan... ma urlop? Stary uśmiechnął się.
- Jestem już od pięciu lat na emeryturze. Ostatnich czterdzieści przepracowałem tam! - wskazał dłonią na lotnisko.

Zahuczało. Ryk silników wzmógł się. Paweł zasłonił uszy.

- Ale warczą. Pan jest... to znaczy był pilotem?

Stary nie odpowiedział. Czekał, aż startujący samolot zniknie daleko na horyzoncie. Teraz i tak nikt by nic nie usłyszał.

- Nie - wrócił do zaczętej rozmowy, gdy znów w powietrzu zapanowała cisza i odezwał się ptak. - Pracowałem w obsłudze stacji naziemnej. Rozmawiałem sobie z pilotami tam w górze.
- Przez telefon? - zdumiał się Paweł. Mężczyzna otarł spoconą twarz.
- Nie, przez radio. Wieża kontrolna ma radiowe połączenie z każdą z lądujących i startujących maszyn. Prowadzimy je jak po sznurku. Teraz, w lecie, to żaden problem. Ale niech się zdarzy mgła albo, nie daj Boże, śnieżycy...

- I nie żal panu?

- Czego? Życia? - mruknął stary oddychając głęboko. -Tych przepracowanych lat?

Paweł pochylił się nad stolikiem.

- No... tego, że już pan nie prowadzi maszyn... jak po sznurku.

51

Mężczyzna pokiwał głową w słomkowym kapeluszu, z którego sterczały na boki długie, rozplecione pasemka.

- Teraz już nie. Zbliżam się do grobu. Ale na początku miejsca sobie znaleźć nie mogłem. Gdyby nie ta działka...

- Ma pan rodzinę? - chłopiec chciał wiedzieć wszystko. Nie zdawał sobie sprawy, że być może zadaje trudne pytania. Bolesne.

- Syna. Daleko... rzadko tu przyjeżdża.

Paweł podparł twarz dłońmi. Przed oczyma stanęła mu nieznana plaża nad Morzem Śródziemnym i grupa palm kołysanych podmuchem południowego wiatru.

- W Hiszpanii?

Leon Ruszczyk odwrócił głowę. W jego wzroku było coś, co speszyło chłopca.

- Dlaczego w Hiszpanii? Hmm... tak... Nie, syn mieszka w Szczecinie. Marynarz. Więcej na morzu niż na lądzie. A ty masz kogoś za granicą?

Paweł spuścił wzrok. Żałował, że wyrwało mu się to głupie pytanie. Teraz trzeba się będzie tłumaczyć.

- Przyjmą się te jałowce?

Ruszczyk otarł spocone czoło. Jego oczy znów były przyjazne.

- Mam nadzieję. Tylko... że ja już tego nie zdążę zobaczyć - wymruczał niewyraźnie. - Musiałbym mieć więcej szczęścia niż rozumu.

Paweł usłyszał, ale nie podjął tematu. Starzy ludzie zwykli mówić o śmierci, choć wcale jej nie oczekiwali z radością. Żyli latami w jej cieniu, spodziewali się, ale trochę tak, jakby to ich osobiście nie dotyczyło.

- Pójdę już - powiedział chłopiec, nie ruszając się z miej-

52

sca. Czekał, że może stary go zatrzyma. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Ociągając się, szurając krzesłem, wstał. - Bo widzi pan...

rodzice wyjechali, a babcia... - zastanowił się szukając słów. Co powiedzieć o babci? Że go zamknęła w mieszkaniu na dziewiątym piętrze wieżowca, gdzie „temperatura dochodzi do czterdziestu stopni, a człowiekowi wydaje się, że się wtapia w podłogę”? No, co powiedzieć? Najlepiej skłamać. Ba, ale do tego nie był przyzwyczajony. Nie musiał nigdy kłamać, bo i po co?

- No, co z babcią? - Ruszczyk nachylił się nad stolikiem, zdmuchując jakieś źdźbło.

- Jest w szpitalu! - wysapał Paweł czerwieniąc się po czubki włosów. Czuł, że twarz mu płonie, ale miał nadzieję, że stary tego nie zauważy.

- Gdzie?

- Na... Solcu! - przypomniał sobie w ostatniej chwili. Nie zna innych szpitali poza tym, w którym sam leżał nie tak znów dawno.

Ruszczyk przyglądał mu się spod zmrużonych powiek. Nic nie uszło jego uwagi. Ani rumieniec, ani to westchnienie ulgi, którym skwitował kłamstwo. Pomarszczone wargi drgnęły uśmiechem.

- To zostań tu ze mną. Do wieczora. Potem razem wrócimy do miasta.

Paweł znów się zaczerwienił. Tym razem z ogromnej radości.

- Mogę? Naprawdę mogę?

\* Chłód wkradał się już pomiędzy krzaki malin, gdy skończyli pracę. Góra chwastów wyrwanych spomiędzy rzędów

53

truskawek leżała pod siatką. Teraz trzeba było jeszcze podlać spopielala ziemię.

- Potrzyjmy węża, a ja odkręcę kran.

Paweł spełniał ochoczo każde polecenie. I to nie tylko dlatego, że nie miał co ze sobą zrobić. Podobał mu się ten człowiek, który pytał tylko tyle, ile było trzeba. I oszczędzał słów, jakby były na wagę złota.

Podlali obficie cały ogródek. Ziemia piła wodę prosząc o jeszcze. Potem myli ręce w białej plastikowej miednicy.

- Jeszcze chwilę - westchnął Ruszczyk siadając na ławeczce pod gruszą. - Muszę... odpocząć. - Twarz mu dziwnie pobladła, usta drżały.

Paweł niczego nie spostrzegł. Oglądał altankę przypominającą wewnątrz jego mały, całkiem porządnie umeblowany pokój. „Ale bomba! - pomyślał przygryzając usta. - Tu można spędzić całe życie i nikt człowieka nie znajdzie!”

Był to zaledwie cień myśli.

Pożegnali się na przystanku. Ruszczyk jechał w lewo, Paweł w prawo. Ale tylko jeden z nich dojechał do swego domu. I nie był to chłopiec.

\*

Paweł wysiadł z autobusu w śródmieściu. Włóczył się ulicami, popatrywał na wystawy sklepowe. Pomału dojrzewało w nim postanowienie: nie wróci na dziewiąte piętro wieżowca. Nie chce być więźniem. Tam, wśród starych drzew, będzie i wolny, i swobodny jak ptak mieszkający w gnieździe na gruszy. O babci, jej strachu, łzach, nie myślał. A jeśli nawet pomyślał przez ułamek sekundy, to zaraz stanęła mu przed oczyma jej czarna plastikowa torba, na dnie której pobrzękiwała para kluczy.

54

- Nie wrócę, i już! - postanowił przystając w pobliżu sklepu spożywczego. Wszedł do środka, wziął druciany koszyk i spokojnie, jak człowiek, który ma na wszystko czas, oglądał niezbyt zasobne

półki. Kupił pół ciepłego jeszcze chleba, kawałek białego sera, pomedytował nad paczuszką herbatników. Po głębszym namyśle włożył ją do koszyka.

- Czterdzieści osiem - kasjerka pracowała jak automat. - Nie mam wydać dwóch złotych.

Ale Paweł nie ruszał się z miejsca. „Dla niej dwa złote to drobnostka, ale dla mnie? To więcej niż połowa biletu autobusowego!”

Kasjerka zacięła wargi.

- Proszę wydać chłopcu, co mu się należy! - powiedziała ostro kobieta z koszykiem wyładowanym po brzegi. -Jakieś dziwne obyczaje panują w tym sklepie!

Kasjerka już otwierała usta, żeby coś odburknąć, ale zrezygnowała. Ze złością szperała w metalowych przegródkach kasy. Drobnymi, po dziesięć i dwadzieścia groszy, wydała Pawłowi resztę. Schował ją do kieszeni i nie oglądając się wyszedł.

Jedno zwycięstwo miał za sobą. Teraz czas na drugie. Chlebak ciążył mu na ramieniu. Kiedy dojechał do przystanku, jak na zamówienie nadjechał potrzebny autobus. Chłopiec stanął w przejściu, bacznie śledząc drogę. Wysiadł tu/ za kempingiem. Okazało się, że zbyt wcześnie. Mógł przejechać jeszcze jeden przystanek. „Zapamiętam to” - pomyślał. Pierwsze zdziwienie, raczej nieprzyjemnej natury, przeżył przed bramą prowadzącą na teren działek. Była zamknięta. Paweł obejrzał dużą zardzewiałą kłódkę. Nic z tego. Sama się nie otworzy. Gdyby tu był baśniowy Ali Baba

S5

z czterdziestoma rozbójnikami! O, ten wypowiedziałby tylko jedno magiczne zaklęcie: „Sezamie, otwórz się!”

- Sezamie, otwórz się! - wymruczał oparłszy się o siatkę. Cień uśmiechu przemknął mu przez twarz. „Do diabła z Ali Babą!” - Zlustrował wzrokiem bramę z płatami odłóżonej zielonej farby. Nie była aż tak wysoka. I żadnych drutów kolczastych. Szkopuł w tym, że ulicą chodzili ludzie, jeździły autobusy. „Przyjdę, jak już będzie całkiem ciemno!” - postanowił.

1 pomaszerował ku lotnisku.

\*

Długi srebrzysty ptak z wizerunkiem żurawia zapuszczał silniki z rykiem, jakiego nie powstydziliby się sztorm na Morzu Barentsa. Kadłub drżał, okrągłe iluminatory połyskiwały światłem. Wewnątrz wygodnie oparł się w fotelach siedzieli ci, którym się poszczęściło. Będą mogli obejrzeć dalekie wspaniałe kraje: ciepłe morza i skute lodem góry.

- Przecież nie lecą na biegun! - Paweł głośno się roześmiał z własnych myśli.

- No, chyba, że nie! - odezwał się za nim cienki drwiący głos.

Chłopiec obejrzał się spłoszony. Tuż obok, tak samo przylepiona do ogrodzenia, stała dziewczynka. Miała bardzo jasne włosy upięte w koński ogon i sukienkę w różyczki.

- Nawet nie wiesz, że nie latamy na biegun?

Paweł nie odpowiedział. Jego kontakty z rówieśnikami były ograniczone. Jeśli nie liczyć wścibskiej Musi i tej piekielnej Poldzi, omijał je szerokim łukiem. Szkolne koleżanki miały swoje, dziewczyńskie sprawy. O byle co ryczały

56

i latały na skargę. Nie, stanowczo nie należało dopuszczać ich do komitywy. Po prostu: nie rozumiały chłopaków. Jednak ta, obok,



drażniła go w jakiś niezrozumiały sposób. Zerknął od niechcienia. Zadarty nos i trochę wysunięta górna warga nadawały jej wygląd królika.

Milczeli. Daleko, jeszcze wielkości ważki czy też jaskółki, pojawił się w powietrzu inny samolot. Rósł, hałasował, nareszcie siadł gdzieś tam na pasie.

- Tatuś! - w głosie dziewczynki zabrzmiało tyle radości i wzruszenia, że Paweł odwrócił się zdziwiony.

- Skąd wiesz?

Podskakiwała jak wróbel na gałęzi.

- Bo wiem. Jest pilotem. Dziś przyleciał z Frankfurtu. „Frankfurt? - spłoszył się Paweł. - Duże miasto, ale

gdzie? W jakim kraju?" - nie chciał się wydać nieukiem temu Królikowi z mysim ogonkiem.

- Nie bujasz? - tyle tylko wykrzesał z siebie, bo z tym Frankfurtem tak prędko sobie nie poradził.

Wydęła usta.

- Poczekaj, to zobaczysz, jak mnie przywita!

Paweł wzruszył ramionami. Ani myślał przyglądać się takim czułym scenkom. Co mu z tego, że facet w mundurze zacznie publicznie obcałowywać Królika? I pewnie zaraz otworzy swoją służbową elegancką torbę, by wyjąć z niej prezent. Z Frankfurtu! A w nosie!

Kołyszącym się krokiem, bez słowa, oddalił się w kierunku sali przylotów. Nie mógł przyznać się sam przed sobą, jak bardzo chce zobaczyć powitanie ojca z córką.

Długo czekał wciśnięty w kąt za sporą grupą rozbawionej młodzieży. Dziewczynka z końskim ogonem gdzieś zniknę-

ła. Było już dobrze po dziewiątej, kiedy wyszła obsługa „Frankfurtu”. Trzy śliczne stewardesy, nawigator i dwóch pilotów. Paweł śledził obydwu. „Ten z brodą jest za stary, to pewnie drugi, wyższy, opalony, jakby wracał wprost z plaży w Almerii.”

Sukienka w różyczki pojawiła się tak nagle, że aż zaskoczyła chłopca. Z okrzykiem radości rzuciła się w objęcia pilota... z brodą. Podniósł ją wysoko, jakby chciał pokazać całemu światu.

- Zuzanka!

- Tatko!

Paweł przygryzł wargi do krwi. Nienawidził ich. W jego sercu szalała burza. Zbyt bliska była pamięć o własnym ojcu. Jakże chciałby tak go tu powitać, wtulić się w szorstki sweter z owczej wełny pachnący tytoniem. Czuć palce na swoich włosach i widzieć ten jeden jedyny radosny błysk w oczach. Tak bardzo chciałby. Tak bardzo... Nie mógł patrzeć dłużej na przywitanie, które przeciągało się, bo dziewczynka dygała grzecznie przed pozostałymi. Wymknął się bokiem. Na dziś miał dość rodzinnych wzruszeń. I czekało go trudne zadanie sforsowania bramy.

Ściemniło się znacznie. Wysokie topole odcinały się od szarogranatowego nieba długimi kleksami. Gdzieś daleko szumiało wielkie miasto. Autobusy przemykały rzadziej, prawie puste. Jeszcze tylko parę taksówek i prywatnych wozów zmierzających z cichym szelestem opon w kierunku śródmieścia. To wszystko.

Chłopiec zmierzył wzrokiem wysokość ogrodzenia. Nie wyżej niż dwa metry. Brama zespawana z grubych metalowych prętów ułożonych pionowo i poziomo. Te poziome

nadadzą się znakomicie na stopnie, po których wdrapie się na szczyt.

Zamachnął się i przerzucił chlebak. Pacnął w zarośla. „I bardzo dobrze! - pomyślał Paweł. - Teraz tylko bez nerwów. Przyda się zeszłoroczny trening w łażeniu po drzewach". Na obozie w Bieszczadach okazał się w tej sprawności jednym z lepszych.

Bramę pokonał dość łatwo. Już po drugiej stronie zaczepił sznurowadłem o pręt. Trzasnęło. Trudno. Wyjął chlebak z wielkich liści łopianu i klapiąc tenisówką pobiegł skulony przed siebie. Był bezpieczny. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Furtkę prowadzącą bezpośrednio na działkę Ruszczyka pokonał w ten sam brawurowy sposób. Wydało mu się przez moment, że jest ściganym trampem, na którego uwziął się sam szeryf ze złotą gwiazdą na piersi. Lecz kiedy oddalił się stukot kopyt szeryfowego konia, Paweł wrócił do rzeczywistości. W ciągu dnia zapamiętał wszystkie, niewielkie zresztą, ścieżki, którymi teraz starał się poruszać bezszelestnie. Altanka była zamknięta, ale wiedział, gdzie jest klucz. Na gwoździu pod okapem, koło rynny. Ruszczyk zostawiał go, stwierdzając filozoficznie: „Złodziej z kluczem czy bez okradnie jednakowo łatwo. A ja o kluczu często zapominam". Zapewne była w tym głęboka racja.

Paweł otworzył nieskomplikowany zamek i wszedł do środka. W dusznym powietrzu błąkał się jakiś nieokreślony zapach kurzu, myszy i pęków ziół rozwieszonych na ścianach. W takim upale nie zmruży oka, ale z drugiej strony, gdyby go zauważono... a nuż ktoś tu nocuje w pobliżu? Sąsiad lub strażnik? Postanowił niczego nie ruszać. Na razie.

59

Noc nadchodziła powoli, jak to w lipcu przed świętą Anną. W pokoiku już nie można było odróżnić sprzętów.

Paweł zdał sobie sprawę, że życie bez elektryczności nie przedstawia się zbyt łatwo. Jakie to proste: podchodzi człowiek do ściany - pstryk! - i jasność zalewa wnętrze. A tutaj? Uderzył się boleśnie w kolano, chcąc przenieść chlebak na stolik, który wsiąkł w ciemność.

- Do diabła! - zaklął. Jego własny głos zabrzmiał mu w uchu śmiesznie cienko.

Coś trzasnęło na zewnątrz. Jakby czyjeś kroki. Paweł znieruchomiał struchlały. Ale hałas więcej się nie powtórzył. „Czeka, aż się ruszę - pomyślał i lodowaty pot zrosił mu czoło. - Kto? Ruszczyk? Bez sensu! Może szeryf z gwiazdą na piersi?!“ - usiłował rozbawić samego siebie. Niestety, bez specjalnego skutku. Długą chwilę siedział na brzegu polowego łóżka, aż mu ścierpły łydki. A potem przypomniał sobie o latarce. Wysupłał ją ostrożnie z dna chlebaka, badając palcami, czy szkło nie rozbiło się, gdy przerzucił chlebak przez bramę. Na szczęście było całe. Długi snop światła wyrwał z ciemności dzbanek na wodę, miednicę i plastikowy kubek. Potem omiótł ściany, zatrzymując się na każdym przedmiocie.

Znów coś trzasnęło. Paweł błyskawicznie zgasił latarkę i rzucił się na ziemię. Serce biło mu jak oszalałe, w głowie legły się straszliwe myśli o mordercach, złodziejach i innych okropnościach, których tyle naoglądał się w telewizji. Od wyjazdu rodziców nie przeoczył żadnego horroru w nocnym kinie, filmów o duchach i upiorach. Teraz wszystkie te postaci przyszły tu, by wziąć odwet za nieprzestrzeganie

60

maminych zakazów. Protestów babci, popłakującej za ścianą, od dawna nie brał pod uwagę.

Poruszył się. Nie mógł przecież przeleżeć całej nocy rozplaszczony jak żaba na lekcji anatomii. Wstał ostrożnie i porządnie zamknął drzwi na zasuwkę. Dla pewności zastawił je jeszcze skrzynką z narzędziami. Była potwornie ciężka, toteż zasapał się solidnie. Nie, musi otworzyć

okienko. Chociaż uchylić, bo udusi się tu, jeśli nic innego złego go nie spotka. Przez chwilę walczył z haczykiem i zawiasami. Coś tu było popsute. Łokciem pchnął szybę. O mały włos nie wypadła. Powiało delikatnym zapachem maciejki. Chciwie łykał powietrze. Umocował zewnętrzną okiennicę, żeby wiatr nie uderzał nią o rynnę. Wszystko to w atramentowej ciemności i ciszy pełnej tajemniczych szelestów.

Poczuł głód. Wrócił do stolika. Zapalona latarka rzucała tyle tylko światła, ile było trzeba. Nóż. Gdzie jest nóż? Znalazł siekierę i piłkę do ścinania gałęzi. Nie pamiętał, gdzie właściciel trzyma sztucce. „Rano sprawdzę”. Musiała wystarczyć stara tępą finka. Pokrojony chleb w niczym nie przypominał zgrabnych kromek, ale dał się zjeść, bo był świeży i smaczny. Ser miał konsystencję gumy do żucia. Popił wodą z dzbanka. Resztki schował do znalezionej plastikowej torebki, zawiązał na węzeł i wepchnął do chlebaka. Na jutrzejsze śniadanie.

Nie zdejmując spodni ani koszuli wyciągnął się na łóżku. Do dyspozycji miał jasek w kraciastej poszewce i ładny zielono-brązowy koc. Nie skorzystał z przykrycia. Noc była wyjątkowo ciepła. Zasypiał w błogim przeświadczeniu, że za dwa dni, w czwartek, albo w przyszły wtorek skończy się jego tułaczka.

61

Cóż mu zostało prócz nadziei?

Obudził go hałas. Wydawało się, że coś lub ktoś miota się wśród żelastwa. Z mokrym czołem i włosami do sufitu usiadł na łóżku. Przewróciło się plastikowe wiadro, po podłodze toczyła się pokrywka. Paweł przestał oddychać. Strach sparaliżował mu ruchy. Nie mógł podnieść ręki ani nogi. Coś buszowało pomiędzy dzbankiem a skrzynką na narzędzia. Wizja upiora o bladej nieziemskiej twarzy i długich kłach poraziła mu umysł. Wszystkie wilkołaki, wampiry, duchy zmarłych zbiegły się, by straszyć go ciemną nocą. Szczękając zębami przemógł się, by sięgnąć po latarkę, starym harcerskim

zwyczajem umieszczoną pod poduszką. Drżącymi palcami macał w poszukiwaniu przycisku. Długa smuga wycięła z czerni przewrócony dzbanek, kałużę wody i szary ogon, który natychmiast zniknął.

— Szczur! - wrzasnął zrywając się z połówki. Nie wiedział, co robić. Tych gryzoni bał się panicznie. Ludzie mówią, że potrafią rzucić się na człowieka.

Zwierzę też się bało. Przyczaiło się w jakimś zakamarku, nastroszyło. Paweł miał tylko jedno marzenie: znaleźć się daleko stąd, w bezpiecznym miejscu, najlepiej na dziewiątym piętrze wieżowca. Ale na to było już za późno. Sam wybrał sobie to miejsce. I teraz należało o nie walczyć. Znów zapalił latarkę, kierując strumień światła w punkt, gdzie jeszcze drgała kretonowa zasłonka kryjąca butlę gazową i stertę kuchennych naczyń.

Ostrożnie odchylił nogą materiał w kwiatki. Oczy człowieka i zwierzęcia spotkały się po raz pierwszy. Te drugie były żółtozielone, z lekka ukośne, przerażone.

- Kot! - wykrzyknął chłopiec z ulgą. - No, zwykły kot!

62

Zwierzę sprężyło się. Długim susem wyprysnęło spod zasłonki, odbiło się od taboretu i zniknęło za oknem. Paweł poczuł, że mu drżą nogi. Usiadł na łóżku i nagle sam się temu dziwiąc zapłakał. Łkał głośno i żałośnie, bo pękła tama, którą tak pracowicie zbudował. Płakał ze strachu, wielkiego nieszczęścia, złości i z czego tam jeszcze płacze człowiek. Łzy wsiąkały w poszewkę i koc, rozmazywały się po brudnych policzkach i choć ścierał je dłonią, były jak morze w czasie przyływu, które musi swe fale wylać na brzeg, bo takie są prawa natury.

Długo to trwało, bardzo długo. Ale i morze kiedyś się uspokaja, grzebienie opadają łagodnie, zaczyna się odpływ. Zmęczony usnął

głęboko, a ptaki nadleciały nieproszone, sadowiąc się na starej gruszy. Złotymi dziobami postukiwały w korę jak dziecioty: stuk-stuk, stuk-stuk. Ale to tylko okiennica uderzała rytmicznie o rynnę.

A potem nastał świt i dziwna cisza ogarnęła przyrodę. Zawsze tak jest, zanim obudzą się ptaki. Także te srebrzyste, dolnopłatowe, z wielkimi skrzydłami i znakiem żurawia.

Słońce wstało jaskrawe i palące. Poprzez gęste gałęzie starej gruszy, co rosła po wschodniej stronie koło żywopłotu, przeciskały się długie jasne strzały. Rosa perlila się na trawie, przekwitłych stożkach łubinu i delikatnych mackach płożącego się jałowca. W powietrzu pachniało piołunem, wilgotnymi liśćmi i nikłą wonią rozkwitłych maków. Zaczajony w gałęziach kos pogwizdywał swój poranny apel.

Pawła obudził ryk startującego samolotu, a zaraz potem usłyszał jakieś głosy. Może już była ósma albo jeszcze później, bo zaczęli nadciągać właściciele ogródków. Emerycy wstają wcześnie, na działkach pracy tyle, że nie wiadomo.

63

w co najpierw włożyć ręce. Chłopiec zerwał się z łóżka przerażony, że zastanie go tu stary Ruszczyk. Tego nie chciał. „Jeszcze mnie wypędzi albo zawiadomi milicję!” — pomyślał ze strachem. Nie myjąc się, bo ani czasu na to nie było, ani nie miał ochoty, zebrał cały swój dobytek do chlebaka, nakrył łóżko kocem, ustawił dzbanek i miednicę poprzewracane w nocy przez kota niecnotę.

- Ale się przestraszyłem! - roześmiał się półgłosem. Teraz w jasnym świetle poranka wszystkie nocne strachy wydały mu się dziecinnie śmieszne. - Głupiego kota!

Omiótł wzrokiem wnętrze altanki. Było tak jak wczoraj, gdy się tu zjawił. Żadnych śladów. Nawet okruchy z chleba zmiótł pod zasłonkę. Tam ich stary nie dojrzy, a jeśli nawet, to pomyśli, że sam naśmiecił.

Przerzucił chlebak przez ramię i ostrożnie wyjrzał z kryjówki. Głosy dochodziły wyraźnie spod furtki. Jakieś dwie nieznanym kobietom wymieniały poglądy na temat sadzenia czy też przesadzania georginii.

- Trzeba je jakoś przepędzić! - szepnął przestępując z nogi na nogę. Schylił się, podniósł mały kamyk i wycelował w okolice furtki. Pacnęło. Rozmowa umilkła. Obie kobiety rozglądały się wokół niepewnie.

- Jabłka spadają? - spytała jedna z nich pobrzękując motyką.

- E, jeszcze za wcześnie. No, idę plewić buraki. Chwasty takie wyrosły, że do kolan sięgają! Ale będzie niezły zbiór.

- Do roboty, pani Kulikowa! Do widzenia!

- Nareszcie! - wyrwało się Pawłowi spod serca. Bał się, że mijające minuty pracują na jego niekorzyść. Nie wiedział przecież, o której zwykł tu pojawiać się Ruszczyk.

64

Gdy już umilkły kroki i nastąpiła upragniona cisza, chłopiec na czworakach podpełzł do furtki. Gęste krzaki malin i agrestu zasłaniały widoczność. Niby to drobiazg przeleźć przez furtkę, ale w biały dzień, kiedy pełno ludzi...

Uff, udało się! Teraz zwirowaną ścieżką do głównej bramy. Tu już nie ma się gdzie schować. Gdyby nadszedł stary - no, Paweł wolał nie myśleć.

Na szczęście brama była otwarta. Nie musiał przełazić górą. Gdy już się znalazł w pobliżu przystanku - odetchnął. „Nic złego nie zrobiłem - pomyślał - a czuję się, jakbym co najmniej obrabował bank!”

\*

Co może robić uciekinier? Trzymać się z dala od miejsca zamieszkania. To pierwsza zasada. A druga? Chyba... chyba nie



wpadać w oko „stróżom porządku”, jak zwykle się elegancko nazywać milicjantów. Pierwsze było wykonalne, bo warszawskie dzielnice są rozległe i oddalone od siebie

0 wiele kilometrów. Żeby się trzymać z dala od praskiego brzegu, wystarczy nie przekraczać Wisły. Drugie - z biedą także. Patrole milicyjne są w dzień prawie niedostrzegalne.

1 nie łowią trzynastolatków w dzinsach, z chlebakami na ramieniu. W końcu są wakacje i każdy ma prawo łązić ulicami, gdzie mu się podoba.

O tym, że babcia mogła jego zniknięcie zgłosić w najbliższym komisariacie, w ogóle nie pomyślał. Już tak to jest, że raz z trudem zdobyta wolność oszalała, odbiera resztę zdrowego rozsądku, tłumi instynkt samozachowawczy. I zdarza się to wszystkim. Nie tylko małym chłopcom z chlebakami.

Paweł poczuł głód. Był przyzwyczajony do obfitych śnia-

65

dań. Tato mawiał zawsze, że poranna kawa i chleb z masłem to jak ładowanie akumulatora. Żeby mieć energię aż do obiadu. Mama znowu celebrowała niedzielne mleczne zupy i mocną herbatę. Do tego drożdżowe bułeczki z konfiturami z wiśni. W sobotni wieczór całe mieszkanie pachniało świeżym ciastem.

Chłopiec obliznął się na samo wspomnienie. Przeliczył kasę. Miał niecałe czterdzieści złotych i parę biletów. „Gdzie się podziała reszta? Zgubiłem?” -przeraził się nie na żarty. Ale szybko ochłonął. Obliczył wczorajsze wydatki. Zgadzało się.

Problem zdobycia pieniędzy urastał do gigantycznych \ rozmiarów. O dwóch sposobach wiedział od dawna: zbiera- j nie makulatury, butelek. Reszta była tajemnicą nie do rozszyfrowania. Makulaturą parał się od roku. Była taka akcja w szkole. Butelki wyszukiwali

koledzy, by je spieniężyć na lody i gumę do żucia. Teraz należało wykorzystać nabytą wiedzę i umiejętności.

W śródmieściu zjawił się koło południa. Duże osiedle wysokich piętnastopiętrowych bloków. W każdym z nich ponad czterysta mieszkań. A ludzi? Chyba z półtora tysiąca.

Zaczął od wyciągnięcia ze

śmietnika dużej plastikowej

torby. Nawet nie była specjalnie zniszczona, z wygodnymi uszami do trzymania, zagraniczna.

Pierwszą butelkę odkrył pod kaloryferem na jednej z klatek schodowych. Potem przypomniał sobie o zsypach na śmieci. Mieściły się na każdym piętrze w tym samym piśmie, za lakierowanymi drzwiami. Tam już było prawdziwe butelkowe Eldorado. Brał tylko takie, jakie łatwo sprzedać. Objuczony jak dwugarbny wielbłąd, bo i w chlebaku upchał

66

parę, zmierzał w kierunku sklepu. Wywieszka z najbliższym adresem wisiała w holu budynku.

Hala targowa była prawie pusta. Mało ludzi, niewielu sprzedawców. Widać, że co najmniej pół miasta wyjechało na urlopy, a drugie pół szykuje się do opuszczenia wygrzanych ulic. W kolejce do ciemnego magazynku stało kilku kiwających się osobników. Wionęło od nich zapachem browaru. W rogu targowiska, swobodnie oparty o ogrodzenie, zastygł z ogarkiem papierosa między wargami chłopak starszy o parę lat od Pawła.

Ogonek posuwał się sprawnie. Jeszcze chwila i Paweł pozbył się ciężaru. Skrupulatnie przeliczył złotówki. Mało. „Trzeba będzie obrócić jeszcze raz” - pomyślał kierując się do wyjścia.

- Hej, ty! - zabrzmiał mu nad uchem nieprzyjemnie schrypnięty głos.

Paweł zatrzymał się zdziwiony. Chłopak z papierosem nawet nie zamierzał odlepić się od ogrodzenia.

- Co?

- Nie rób z nas durni, dobrze? Oddaj dołę i spływaj!

Paweł nic nie rozumiał. „O jakiej doli on mówi?” Wzruszył ramionami i postąpił krok dalej. Więcej nie mógł. Czyjeś silne ramiona oplotły go potężnym chwytem zwanym wśród zapaśników podwójnym nelsonem. Serce podeszło mu pod gardło.

- Nowy? - głos był inny, ale to niczego nie zmieniało. -No, odpowiadaj. Nigdy cię tu przedtem nie widziałem.

Paweł poruszył szyją. Ucisk zelżał.

- Ja... ja nie wiem, o co wam chodzi. Przyszedłem sprzedać butelki.

67

- Jasne. A skąd je wzięłeś?

Paweł przestraszył się. Istotnie, nikogo o pozwolenie nie prosił. To, co ludzie wystawiają do zsypu, jest przecież niczyje. Butelki też.

- Z... z domu - skłamał.

Niestety, nie umiał kłamać. A i ci, którzy go zatrzymali, nie należeli do naiwnych.

Ucisk na gardle wzmógł się. Ból ostry i przenikliwy doszedł do uszu, krtań paliła żywym ogniem.

- Bo... boli - wycharczał.

- Puść go, Zadra, już zrozumiał! - chłopak z papierosem w kąciku warg odlepił się od siatki. Wolno, kołyszac się jak marynarz na pokładzie żaglowca, podszedł do Pawła.

- Słuchaj no, koleś. Tu jest nasz teren. My tu rządzymy i nie należy się wychylać, rozumiano?

Paweł pocierał bolący kark. Kątem oka widział swego oprawcę. Miał bicepsy jak mistrz wagi półciężkiej i spojrzenie debila.

- Jak to: wasz teren? Prywatny?

Chłopak nie był zbyt rozmowny. Uważnie przyglądał się Pawłowi spod współprzymkniętych powiek.

- Jesteś na gigancie? - spytał po chwili, która dłużyła się w nieskończoność.

Paweł szeroko otworzył oczy.

- Na... czym?

Zadra wybuchnął śmiechem. Brzmiał tak, jakby gulgotało całe stado indyków. Przestał, gdy drugi zrobił jakiś jednoznaczny ruch dłonią. Widać było wyraźnie, że panuje tutaj hierarchia ważności. Ten z papierosem stał o szczebel wyżej.

- Dobra, gnojku. Twoja sprawa. Zapamiętaj tylko jed-

68

no: możesz zbierać butelki, szmaty, co tam chcesz. Sprzedać też możesz. Ale pięćdziesiąt procent forsy leci dla nas. Jasne?

- Dlaczego? - oburzył się Paweł. Tyle się nabiegał po piętrach, tyle nadźwigał. - Jakim prawem?

- Dołożyć mu, Ganges? - spytał Zadra miękko, przeciągając zgłoski. Czuło się, że lubi swoją nieskomplikowaną robotę. I zapewne wykonuje ją z całym poświęceniem.

Ganges wypluł peta, otarł usta dłonią.

- Nie próbuj sztuczek, mały. My tu mamy swoich ludzi.

- W całym śródmieściu? - wyrwało się Pawłowi.

Po twarzy Gangesa przemknęło coś na kształt uśmiechu.

- Niekoniecznie, synku - powiedział dziwnie łagodnie. -Ale tutaj akurat jest teren Ryżego. Zapamiętaj i nie podskakuj. Możesz stracić te swoje śliczne ząbki...

- Dołożyć? - denerwował się opryszek.

Paweł zaciął usta. „Trzeba to wszystko rozważyć -pomyślał - nie miałem pojęcia, że takie rzeczy zdarzają się w mieście". Wyjął z kieszeni cały utarg. Spokojnie, choć czuł na palcach ciężkie spojrzenia obu złodziejasków, odliczył połowę.

- Proszę.

- Serdeczne dzięki! — Ganges błyskawicznie schował pieniądze do kieszeni. - Polecamy się na przyszłość! Zadra, już jest następny małolat!

Paweł oddalał się szybkim krokiem. Nie zamierzał nigdy więcej się tu pokazywać. W kieszeni miał drobną kupkę brzęczącego bilonu. Wystarczy na mleko i bułkę. Tylko na tyle. A ma przecież dług do oddania. Nie, nie może zrezygnować. Coś trzeba wymyślić, ale co?

69

- Ruszczyk! - wykrzyknął radośnie., „Tak, pójdę w towarzystwie Ruszczyka! W obecności dorosłego człowieka te męty Ryżego nie będą miały odwagi zaczepiać!"

Na działce pojawił się po trzeciej. Liczył na to, że starego może dziś nie będzie. Ale był. I to nie sam. Pomiedzy krzakami malin przemykała jakaś nieduża postać z blond ogonkiem spiętym gumką. „Po kiego licha przywłókł tu jakieś dziewczynisko!" -zżymał się Paweł zwalniając kroku. Altankę na działce traktował już jak własną

zdobycz. Niechętnie dzielił się nią nawet z prawowitym właścicielem, a co dopiero z jakąś frygą.

- O, Paweł! - ucieszył się Ruszczyk zsuwając pleciony kapelusz na tył głowy. - Już myślałem, że o mnie zapomniałeś!

„Akurat! - pomyślał chłopiec. - Jest to jedyne miejsce na ziemi, o którym w obecnej chwili trudno zapomnieć!”

- Dzień dobry! - powiedział głośno. - Trzeba przystrzyc żywopłot, bo już powyłaziły z niego jakieś nieproszone gałęzie! - Chciał być użyteczny, pomocny. Byle tylko nie musieć się włóczyć po upalnym mieście w smugach spalin.

- Mamy gościa - stary zwrócił się do dziewczynki w sukience jak kawałek nieba: zielonoblękitnej.

Paweł nie widział nigdy morza, dlatego kolor sukienki skojarzył mu się z odcieniem nieba po burzy, gdy już odpłynęły chmury i zajaśniało słońce.

Dziewczynka wysunęła głowę ukrytą dotąd w gąszczu malin.

- Królik! - zdziwił się Paweł.

- Jaki królik? - Ruszczyk nie mógł wiedzieć, że te dzieci

70

już się kiedyś spotkały. -To jest Zuzanka, córka pilota. Z jej ojcem znamy się... - stary przerwał licząc w myślach - ze trzydzieści lat. Kiedy go poznałem, był chłopcem chyba w twoim wieku...

- Cześć! - powiedziała Zuzanka pakując do ust garść rozmiękłych owoców. - Poznaję cię. Byłeś na lotnisku.

Paweł skinął głową. A potem szybko, bez namysłu spytał:

- Czy twój tato lata do... Madrytu? Zuzanka oblizwała wargi.

- Pewnie! Lata wyłącznie na trasach zagranicznych. Zawsze mi coś przywozi... tę sukienkę! - okręciła się wdzięcznie ruchem baletnicy.

Chłopiec miał ochotę potarrosić ją za ten koński ogonek. Pociągnąć tak, żeby zabolalo. Denerwowało go to kobiece krygowanie się, pewność w głosie i kompletna obojętność na wszystko, co nie jest przywiezione „stamtąd”.

- Głupi Królik! - wymamrotał odwracając się na pięcie.

Dziewczynka nie dosłyszała epitetu. Ruszczyk tak. Spojrzał uważnie na szczupłą sylwetkę chłopca z chlebakiem i zamyślił się.

- Weź sekator i przystrzyż żywopłot - powiedział po chwili, wachlując się kapeluszem. - Mnie już sił nie starcza na tę całą robotę! Zuzanko, gdzie jest kompot, który dała nam twoja mama?

- W koszyku. Przynieść?

- Tak. I trzy szklanki.

- Dla niego też? - Zuzanka zatrzymała się w pół kroku. - Mama nic nie mówiła...

- Jest naszym gościem - spokojnie odparł stary, przysiadając na ławce w cieniu gruszy.

71

Dziewczynka odeszła podskakując.

Mężczyzna oparł głowę o chropowaty pień. Przymknął oczy.

Wiedział, że jego tygodnie są policzone. Tygodnie, a może dni? Kto wie? To jest straszna choroba, która go zżera, straszna. Ale nie wolno niczego po sobie pokazać. Póki sił starczy, będzie tu przyjeżdżał, choć coraz trudniej. Później zostanie tam, w bloku, sam jak palec. I trzeba się z tym pogodzić. Słyszał szczęk sekatora równy, miarowy.

„Dlaczego podoba mi się ten chłopiec? - zastanawiał się leniwie. - Oszukuje mnie, to pewne. I najwyraźniej nocował w altance.

Gospodarz zawsze pozna, że coś jest nie tak: przesunięty dywanik, koc złożony zieloną stroną do góry i kubek po lewej stronie drzwi. Tak to już jest. Gospodarz pozna. Ale dlaczego oszukuje? Uciekł? Zapewne... tylu jest teraz uciekinierów..."

- Dziadku Leonku, kompot! - wesoły głos rozbił gąszcz niewesołych myśli, rozpedził chmurę smutku. - Z brzoskwiń!

- Gdzie mama teraz dostała brzoskwinie? Dziewczynka postawiła trzy szklanki. Dwie duże i jedną

mniejszą, po musztardzie.

- To z puszek. Tato przywiózł. Pilotował wycieczkowy czarter na Majorkę.

Stary wolno otwierał ciężkie powieki. Ból powracał nieuchronnie.

- Majorka?

- Baleary, Hiszpania! - Zuzanka ostrożnie rozlewała gęsty płyn pachnący słońcem południa.

Szczęk sekatora umilkł. Paweł zastygł z narzędziem w dłoni. Słyszał wesoły szczebiot Królika. Każde słowo. To obce-

72

„czarter” - też. Teraz dopiero przypomniał sobie, kiedy padło z ust ojca. To było wtedy, gdy oglądali prospekty wycieczek. Mama wołała: „Chcę tam, gdzie nie będzie straszliwego ruchu samochodowego, gdzie jest tylko plaża i słońce! Może na Majorkę, Stachu?” Spojrzał wtedy na nią zamyślony i powiedział: „To jest niewygodny przelot czarterowy, tylko na wyspę. Chcę być na kontynencie, potrzebny mi choć dzień w Madrycie, stolicy kraju”. Paweł na chwilę przestał oddychać. Wtedy nie interesowała go ta wymiana zdań. Co go obchodziła jakaś Majorka, o której nawet nie wiedział, gdzie leży. A teraz?



- Paweł! - rozległo się wołanie. - Chodź tu, mamy pyszny kompot!

Najchętniej by odmówił, ale już od dawna czuł ssanie w żołądku. Był zwyczajnie głodny. Podchodził niechętnie, jakoś tak bokiem, noga za nogą.

Zuzanna siedziała na leżaku. Jej koński ogon sięgał pleców. Z głową odchyloną do tyłu łykała słodki płyn.

- Masz - powiedziała podając mu szklaneczkę po musztardzie.

- Nie, to jest dla mnie - sprostował Ruszczyk. - Dla Pawła jest duża.

Zuzanka ze złością odstawiła musztardówkę.

- Jak sobie chcecie! - powiedziała wstając. I już jej zielonomorska sukienka migiała wśród szpaleru malin.

Paweł ociągając się zajął opróżnione miejsce. Sekator odłożył na stolik.

- Proszę pana... co to znaczy „czarter”? Ruszczyk odstawił szklaneczkę.

- Czarter to określenie handlowe. Inaczej wynajęcie

73

lub... wydzierżawienie czegoś. Przeważnie dotyczy statków i samolotów. Na przykład jakieś biuro podróży chce przewieźć dużą ilość osób do miejscowości, gdzie nie latają samoloty rejsowe. Wtedy wynajmuje, czyli czarteruje samolot z obsługą. Jasne?

- Tak. Czy pan zna wszystkich pilotów z Okęcia? - Paweł nie umiał uporać się z owocem brzoskwini zajmującym dno szklanki.

- Kiedyś znałem, dziś jest wielu nowych. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym poznać... takiego, co lata do Hiszpanii.

- Ojciec Zuzanki czasem tam lata, on... - grymas bólu przemknął przez przeoraną zmarszczkami twarz. - Proszę cię - głos starego brzmiał obco, chrapliwie - przynieś mi z altany taką granatową saszetkę... z zamkiem błyskawicznym.

Paweł odstawił szklanę. Przestraszył się. Twarz starego przypominała teatralną maskę. Na czoło i odkrytą szyję wystąpiły mu grube krople potu.

- Co panu jest?

- Proszę... przynieś...

Paweł poderwał się jak oparzony. Wpadł do altanki, z rozpędu przewracając kubel. Wzrokiem ogarnął wnętrze. „Gdzie jest ta saszetka?” Przerzuczał jakieś łachy, stare spodnie, przepoconą koszulę. Wreszcie dostrzegł. Leżała koło umywalni. Chwycił dziwiąc się, że jest taka ciężka. Palcami namacał szkło. Jakieś szklane rurki czy fiołki.

- Zostaw mnie samego... na chwilę - usłyszał szept pana Leona, gdy kładł ostrożnie na stole granatowy kawał satyny brzęczący delikatnie, jak brzęczy mucha.

74

Paweł nie ruszał się z miejsca.

- Ale... może ja...

Oczy Ruszczyka były straszne: mieszało się w nich zniecierpliwienie, ból i przeogromne cierpienie.

- Powiedziałem...

Paweł odwrócił się gwałtownie i pobiegł w najdalszy kąt ogrodu. Już nigdy, przenigdy nie chciałby oglądać takich oczu. Siedział przykucnięty pomiędzy kępami maku o wrzosowych płatkach. Ich kolor przywodził na myśl maminy szal. Długi, jedwabny, z frędzlami.

Nosiła go rzadko, w uroczystych chwilach. Otulała nim szyję, a wtedy kontrastował wspaniale z jej jasnymi włosami. Miała takie miękkie, delikatne włosy. Jak przedza. Paweł zdumiał się, że użył w myśli słowa „miała”. Więc jak to? Tak mówi się o umarłych, o ludziach, którzy odeszli na zawsze i nigdy już nie powrócą.

- Przecież ona wróci! Boże święty, wróci! We wtorek lub czwartek. Musi wrócić! — szeptał z ustami wtulonymi w jasny fiolet płatków. - Inaczej być nie może... nie zostawi mnie samego! Dlaczego miałyby mnie zostawić? A ja ją tak kochałem, tak kochałem...

Z ponurych jak mrok myśli wyrwał go szelest. To Zuzan-ka. Stała obok z pobladłą twarzą przestraszonego Królika.

- Co... co stało się dziadkowi Leonowi?

Paweł powoli wracał od wspomnień. Puścił łądygę maku. Zakołysała się gubiąc płatki.

- Chyba jest bardzo chory... nie wiedziałaś? Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy.

- Boję się.

- Chodź! - Paweł wstał i wziął ją za rękę. Sam zdziwił się

75

tym nieoczekiwanym gestem. Zuzanna nie protestowała. Szła posłusznie wąską ścieżyną wzdłuż ściany liści dzikiej róży, dziecinna i przestraszona. -Trzeba go zapytać... może co trzeba...

Stary siedział pod gruszą, tam gdzie go zostawili. Kolory wróciły, twarz przestała być maską arlekina. Tylko oczy miał przymknięte.

- Jesteście... - Pomachał słabo dłonią, ale oczu nie otworzył.

Paweł skreślił w stronę altany. Wziął kubeł, już pusty, i pobiegł po wodę. Kran był na zewnątrz. Nieomal biegiem wrócił z pełnym

wiadrem. Ostrożnie niosąc porcelanowy kubek, który przyjemnie ziębił palce, podszedł do Rusz-czyka.

Przyjął z wdzięcznością. Długo pił nie bacząc, że krople spływają mu na koszulę.

- To lepsze niż kompot - powiedział normalnym głosem. —  
Przestraszyłaś się?

Zuzanka wydeła wargi.

- No... trochę.

- Idź, pobiegaj.

Oddaliła się chętnie. Paweł został.

- Pójdzie pan do lekarza? - spytał. Stary uśmiechnął się kątem warg.

- Są choroby, na które nie ma lekarstwa. Ta moja jest właśnie z tego gatunku. Nie mów o tym Zuzance. Nie mów nikomu...

Paweł skinął głową. Było mu smutno. Nie poprosi Rusz-czyka o pomoc przy sprzedaży butelek. Nie ma sensu. Bezmyślnie dłużył patykiem w trawie.

76

- Proszę pana... - zaczął i urwał.

- Chciałeś o coś spytać? Masz problemy? - Ruszczyk pochylił się nad blatem. Był to drewniany stół na krzyżakach, własnej roboty. Szary od deszczu, pełen zadziórów i sęków. - Nocowałeś tu w altance, prawda?

Paweł czuł, jak mu krew uderza do skroni. Poczerwieniał, nie mógł złapać tchu. Milczał.

- Słuchaj, chłopcze. Nie wiem, jakie masz kłopoty, ale możesz mi zaufać. Razem znajdziemy wyjście. W życiu trzeba komuś wierzyć. Choćby jednej jedynej osobie. Nawet zupełnie obcej, jeśli tylko

poczujesz, że nie jest ci obojętna. I że twój los nie jest jej obojętny. Pamiętaj, zawsze taki ktoś się znajdzie...

Chłopiec przygryzł wargi. „Powiedzieć? Nie, to zbyt ryzykowne. Zacznie mnie przekonywać, że należy wrócić do domu. Jest tak stary jak babcia i zapewne myśli w ten sam sposób. Chociaż...”

- Może... kiedyś panu powiem. Dzisiaj jeszcze nie. Ruszczyk znów oparł głowę o pień. Stadko wróbli zerwało

się do lotu. Podziobana gruszka pacnęła obok na trawę.

- Dobrze. Jak chcesz. Nie ponaglam, nie mam do tego prawa. Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie jesi tak, żeby nie było wyjścia. Nigdy. A może... potrzebujesz pieniędzy?

Paweł drgnął. Jeszcze jak potrzebował. Głód mocno dawał mu się we znaki. A dwie brzoskwinie, nawet z Majorki, niewiele polepszyły sytuację. Do ssania w żołądku przyznać się nie honor. A do braku pieniędzy?

- Zbierałem butelki - wymruczał, bo czuł, że staremu należy się choć cień wyjaśnienia. - Ale tam jest taka mafia

77

sycylijska, która odbiera połowę zarobku. Zęby ich! -zmełł w ustach brzydkie słowo.

Ruszczyk uśmiechnął się. Wyglądał już zupełnie normalnie, tylko ten cień w kolorze popiołu spływający bruzdami od nosa do podbródka...

- Mafia, powiadasz? Lepiej ich zostaw w spokoju. W końcu milicja się nimi zainteresuje. Jak chcesz, mogę cię polecić do pomocy bufetowej na lotnisku. Na dwie, trzy godziny...

Paweł ucieszył się.

- I tak muszę bywać na Okęciu. W każdy wtorek i czwartek, kiedy ląduje Madryt. -Powiedział więcej, niż chciał, ale tak jakoś wyszło. Trudno.

Ruszczyk kiwnął głową. Przyjął wyznanie chłopca jakby nigdy nic.

- Bufetowa ma kłopoty z pomocnikami. Trzeba pozmywać, wytrzeć talerze, takie tam zajęcia... nieoficjalne. Wiesz chyba, że dzieci w twoim wieku nie wolno zatrudniać.

- Wiem. Ale muszę oddać stówę. I to szybko. Dług honorowy, pan rozumie?

Rozumiał. To i wiele innych spraw. Na życie patrzył z perspektywy, jaką daje nieuleczalna choroba, o której się wie, że zabija.

\*

Uciekał. Bardzo szybko, choć nogi ledwie się poruszały. Czuł na plecach oddech ścigającego. Chyba to był Ganges. A może nawet sam Ryży. Napastnik znajdował się tuż-tuż. Paweł parł naprzód z determinacją. Tak się walczy o życie. Jeszcze jeden krok, jeden zwód i brama rosnąca w oczach zbawczą plamą. Tam jest bezpiecznie, tam nic złego spotkać

78

go nie może. Nagle... jakiś łoskot przeszywa powietrze. To startujący samolot. Lekka sylweta z niebieskim żurawiem na uniesionym w górę ogonie. Paweł czuje, że nogi mu miękną, że nie ruszy ani stopą, ani kolanem. Paraliż. Znów hałas. Sypie się szkło. Paweł siada na łóżku z sercem łomoczącym całą perkusją. „To był sen! Tylko sen!” Oczy z trudem przebijają ciemność. Ktoś jest w altance. Zaczaił się w kącie, nie rozświetlonym nawet płomykiem zapałki. Jest tam, oddycha, szeleści. Chłopiec czuje, jak mu włosy przylepiają się do spoconej skóry. To strach. Przemóżny strach paraliżujący mózg i serce. Nogi i ręce. Wszystko.

Coś trzasnęło i zaraz rozległ się dziki wrzask. Obły cień zaczął tańczyć w słabym świetle księżyca. To coś było walcowate, śliskie i błyszczące. Jeśli włosy rzeczywiście stają dęba, to to właśnie przydarzyło się Pawłowi. Czuł suchość w ustach i mokry pot na rzęsach. Siedział jak sparaliżowany. Nowy dziki wrzask przeszył uszy. Coś wrzeszczało krótko i dziko, miotało się i tańczyło objijając o stół, wywracając sprzęty. Paweł przełknął ślinę i sięgnął po latarkę. Palec nie mógł trafić na przycisk, ślizgał się po metalu bezradnie, nieprecyzyjnie. Wreszcie! Snop światła wyłowił ów miotający się kształt. To plastikowy kubek przewrócony dnem do góry. A w jego środku uwięzło coś żywego.

- Szczur! - Paweł podkulił nogi. Ale w tym samym momencie przypomniał sobie zdarzenie z ubiegłej nocy - Albo kot! Przewrócił na siebie wiaderko i teraz, siedzi uwięziony! - Chłopiec wstał. Nogi miał jak z waty. Przykucnął i delikatnie poskrobał plastikową powierzchnię kubka.

- Kici, kici...

79

- Miauuu! - wrzask był taki, jakby w środku siedział nie jeden, ale jedenaście zdziczałych kotów.

Paweł położył latarkę na łóżku tak, by światło z niej padające oświetlało część podłogi, ramę okienną i czerń nocy za otwartym fragmentem lufcika. Ostrożnie uniósł kubek. No, tak. To był wczorajszy gość. Szary dachowiec z ciemniejszymi pręgami na głowie. Zjeżony, przerażony i zapewne głodny. Ku zdumieniu Pawła nie uciekł. Siedział z podwiniętym ogonem, czujnie nastawionymi uszami i szeroko otwartymi żółtymi oczami.

- Masz zamiar mnie straszyć co noc, Maciek?

Kot ani drgnął. Piękny posąg starożytnego Egiptu. Tylko oczy zmieniły barwę na zielonkawą.

Paweł ostrożnie rozwinął papier z rybą. Tą smażoną, którą zostawił mu z obiadu Ruszczyk. Nie był pewny, czy to jest to, co koty lubią najbardziej. Ale mleka nie było nawet na lekarstwo.

Kot nie rzucił się na jadło. Ostrożnie powąchał, ruszył łapą, odsunął i znów przybliżył. Jego ogon koloru popiołu poruszał się jak wahadło. Paweł przesunął latarkę tak, by nie świeciła wprost w oczy zwierzęcia. Sam znalazł się w półcieniu. Czekał. Wreszcie usłyszał delikatne mlaskanie, szelest

papieru.

- Wcinaj stary, wcinaj! Ja też bywam głodny!

Kot chyba nie lubił, jak się do niego mówiło. Przestał tarmosić rybę i spojrzał na Pawła. „W jego żółtych jak nagietki ślepiach widniał wyrzut.

- W porządku, Maciek, ja też nie lubię, kiedy mnie babcia pyta podczas obiadu, czy mi smakuje. Gdyby mi nie smakowało, tobym nie jadł, no nie?

80

Kot raz czy dwa potarmosił rybi szkielet i rozdziawił paszczę, ukazując rząd ostrych jak szpileczki zębów.

- Śpimy, Maciek?

Trudno było oczekiwać odpowiedzi. Zwierzę nie pozwoliło zbliżyć się do siebie. O żadnym głaskaniu popielatej jak dym z papierosa sierści nie mogło być mowy. Kot zwinął się w kłębek, wsunął do pyszczka koniec ogona i wyraźnie czekał, by człowiek wreszcie zgasił to piekielne światło.



Paweł domyślił się, o co chodzi. Szczęknęła latarka. Nastąpiła cisza. Przez jakiś czas obaj wsłuchiwali się we własne oddechy - potem zmorzył ich sen.

Kiedy rano Paweł otworzył oczy, kota już nie było. Jedynie przewrócony kubeł i resztkę rozlanej wody wskazywały, że nie był to tylko sen. Chłopiec nie spieszył się. Nie musiał uciekać z altanki jak złodziej. Ruszczyk milcząco przystał na jego nocowanie, choć uprzedził, iż nie jest to dobrze widziane przez surowe kierownictwo ogródków działkowych. Ale wszelkie obostrzenia są po to, by je w razie konieczności omijać.

Burza rozszalała się na dobre. Nad szklanym dachem lotniska raz po raz przelatywały ostre błyski, a tuż po nich rozlegał się trzask, huk i głucho dudnienie. Ludzie zbici w gromadkę koczowali na walizkach. Przerwano odprawę pasażerów do Kolonii, głośnik chrząkał coś o opóźnieniach Moskwy i Pragi. Prawdziwy kataklizm. Zbliżała się jedenasta dwadzieścia i należało przebiec kilkadziesiąt metrów do pawilonu przylotów. Paweł obserwował przez szybę, jak fale deszczu chluszczą w błękitniały asfalt. Tak chyba wygląda tajfun albo tornado.

81

- Przyłot samolotu z Madrytu rejs trzysta dwa jest opóźniony. Następny komunikat podamy za czterdzieści pięć minut! - głos spikerki był miły i melodyjny, jakby to, co działo się za szerokimi oknami, zupełnie jej nie dotyczyło.

Znowu huk wstrząsnął szybami. Gdzieś w górze, na pięterku, z chrzęstem posypało się szkło. Jakiś przez zapomnienie pozostawiony lufcik.

Paweł rozejrzył się dookoła. Co robić przez ten czas? Aha, prawda. Ma się zgłosić w bufecie. Ale gdzie ten bufet?

Z bufetem był większy problem. Znajdował się już za przejściem dla pasażerów, w części niedostępnej dla człowieka bez biletu i paszportu. Przystojny mężczyzna w mundurze wojsk ochrony pogranicza na uporczywą prośbę Pawła wywołał bufetową Wronkową.

- Jestem Paweł - powiedział ściskając kurczowo chlebak, jakby ktoś zamierzał mu go odebrać. - Pan Ruszczyk

powiedział...

Tęga kobieta z dołeczkami na policzkach zasepiła się nie na żarty.

- Chłopcze, mnie pomoc potrzebna, ale tam nikt cię nie wpuści, chyba...

- Chyba że co? - niecierpliwił się Paweł. Liczył na jakiś poczęstunek lub choć niewielką sumkę za obiecaną pracę. W brzuchu orkiestra grała mu marsza i aż dziw, że nikt tego nie słyszał.

- Chodź i niczemu nie zaprzeczaj, cokolwiek byś usłyszał.

Paweł przywarł do boku bufetowej. Rodzinnie objęci przeciskali się między pasażerami oczekującymi na odprawę paszportową. A nad szklanym dachem szalała ulewa. To

82

i może przysłowiowy łut szczęścia osłabiły czujność mundurowych.

- Panie poruczniku - wdzięczyła się Wronkową ukazując najpiękniejsze dołeczki - pozwoli pan siostrzeńcowi przejść? Tylko mi szklanki pomyje, powyciera... Zośka od wczoraj na urlopie, a ja sama, urwanie głowy, goście w kolejce czekają...

- Ale tylko raz, pani Lusi, tylko raz. I na pani odpowiedzialność. Nie tak dawno wyławialiśmy takiego samego z luku bagażowego do Tunisu. Zachciało się synkowi dalekich podróży...

- Co też, panie poruczniku! - uśmiech bufetowej był rozbijający. - Toż to rodzina! Piotruś wcale nie ma interesu w Tunisie, prawda, Piotr?

Paweł zrobił grymas, który w niczym nie przypominał uśmiechu.

- Ale ja się nazywam Paweł - zaprotestował, gdy już oboje znaleźli się po drugiej stronie przejścia.

Bufetowa niedbale machnęła dłonią.

- Co tam, wszystko jedno! Tu jest zaplecze: woda, brudne szklanki, ścierki... ja lecę do kontuaru, bo klienci się niecierpliwią!

Paweł niechętnie zabrał się do pracy. Zmywanie nigdy nie było jego ulubionym zajęciem. W domu wymigiwał się, jak umiał. W końcu zawsze robiła to za niego babcia. Kiedy jeszcze była mama - walczyła o to, by pomagał w pracach domowych. A potem...

Mama. Znów zobaczył jej jasne włosy... i nic więcej. Walcząc z wrzątkiem, płynem do zmywania i stertą brudnych kufli, usiłował wywołać z pamięci jej rysy: oczy. nos.

83

usta. Nic z tego. Zniknął obraz kobiecej twarzy, dotyk dłoni, echo głosu. Pustka. „Czy to możliwe?” - przeraził się topiąc róg ścierki. Ale na kliszy pamięci pozostał tylko cień. Negatyw.

Po dwóch godzinach nie było już śladu brudów.

- Wylądował samolot z Madrytu, rejs trzysta dwa! - megafon ucichł, by za moment powtórzyć informację.

Paweł w jednej chwili cisnął ścierkę na stos czystych naczyń. Spod zlewozmywaka chwycił chlebak i wpadł do bufetu.

- Ja już muszę... proszę pani...

Bufetowa parzyła kawę. Ze zręcznością kuglarki napełniała aromatycznym płynem małe filiżanki z grubego porcelitu.

- Ty co, Piotruś?

- Ja do sali przylotów. Wylądował Madryt. Mój tato i mama, pani rozumie?

Zatrzepotała krótkimi palcami jak serdelki.

- Teraz, kiedy najwięcej roboty? Poczekaj, sam nie przejdiesz, co ja mam z tymi pomocnikami! - Podała kawę inkasując sprawnie należność. - Masz tu dwieście... - odliczyła dwa stułotowe banknoty. - Leć! Pokaż się porucznikowi, który cię tu wpuścił. Nie zapomnisz?

Skinął głową, pospiesznie chwytając pieniądze. Nie spodziewał się takiego zarobku.

Ale nie to było w tej chwili najważniejsze. Przecież wylądował Madryt!

\*

Burza przeszła. Tylko gdzieś na zachodzie błyskało jeszcze i przetaczały się dalekie, cichnące grzmoty. Deszcz

84

z ulewy zmienił się w jednostajny szeleszczący grad kropel. Paweł sprintem pokonał niewielką odległość, ale i tak wpadł do hali przylotów z mokrą głową i ciemnymi plamami wilgoci na ramionach.

Pasażerów z madryckiego rejsu jeszcze nie było. Za to oczekujących sporo. Plątał się pomiędzy nimi podskakując, by lepiej dojrzeć, co

działo się za ochronną szybą. Każdy by dziś zwrócił na niego uwagę. Nie tylko tych dwóch mundurowych. Stali u wejścia przeczesując ludzką ciżbę uważnym zawodowym spojrzeniem.

- Ten?

- Podobny. - Milicjant ukradkiem zerknął na małą fotografię wyjętą z kieszeni mundurowej bluzy.

Paweł nie widział nikogo i niczego. Zdenerwowany do najwyższych granic, uwagę skupił na tym, co działo się po drugiej stronie oszklonej górą ściany.

- Dokumenty poproszę - czyjś suchy głos wyrwał go z kontemplacji. Właśnie ruszyła taśma podająca bagaże.

- Co?

- Masz legitymację?

Paweł zamrugał powiekami. Nie był przygotowany na taką sytuację. Nie pomyślał, że należy się zabezpieczyć, opracować jakąś wiarygodną wersję. Był nowicjuszem. To wszystko. Grzebał w chlebaka, zupełnie nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji. Legitymację miał, naturalnie.

Plutonowy uważnie przejrzał tekturkę z pieczęcią szkoły podstawowej imienia Stefana Jaracza.

- Ten?

- Tak. Pójdiesz z nami.

Paweł teraz dopiero poczuł suchość w ustach.

85

- Ja? Dlaczego? Czekam tu na przylot rodziców. Samolotem, z Madrytu.

Milicjanci wymienili spojrzenia.

- Poczekasz gdzie indziej.

Paweł szarpnął się, próbując dać nura w największą ludzką ciżbę.

Silna ręka udaremniła ucieczkę.

- Spokojnie, mały! - głos funkcjonariusza był jakby mniej uprzejmy. Za to chwyt sprawny, wyuczony, niezawodny.

Paweł oczyma pełnymi łez przesuwiał po twarzach, włosach, sylwetkach wychodzących. Prowadzony do radiowozu, już się nie wyrывał. Tylko wciąż odwracał głowę. Może stanie się cud, ojciec porzuci bagaż i wyratuje syna z opresji. Ale nikt podobny do ojca nie przyleciał.

Wóz ruszył błyskawicznie. Paweł siedział pomiędzy milicjantami, a łzy jak groch spływały mu po policzkach. Nie niepokoił go. O nic nie pytali. Wieźli tam, dokąd nakazywał obowiązek.

W tym dniu po raz pierwszy w swym trzynastoletnim życiu Paweł zaznajomił się z wnętrzem Milicyjnej Izby Dziecka.

\*

- Nazwisko?

- Brent.

- Imię?

- Paweł.

- Ile masz lat?

Wzrok omiata prawie pusty pokój. Jasno pomalowane ściany, zakratowane okno. Przy stoliku siedzi kobieta w mundurze z dystynkcjami kapitana. Ma zmęczoną twarz,

kurze łapki wokół oczu i włosy koloru kasztana, mocno przetykane siwizną.

- Dlaczego uciekłeś z domu?

Paweł milczy. Co ma powiedzieć? Przecież sam dobrze nie wie, dlaczego opuścił dom. Babcia go zamknęła na klucz. Czy to jest dostateczny powód?

Kobieta cierpliwie czeka. Przez ten pokój przewinęły się już setki tak samo milczących chłopców i dziewczyn. Mali złodziejaskowie dopiero startujący w tym fachu, początkujące narkomanki o szklistych oczach i leniwych ruchach, dziewczyny z pijackich rodzin szukające na ulicach wytchnienia od domowych awantur, poszukiwacze przygód i skarbów. Uciekinierzy.

- Czy wiesz, że babcia odchodzi od zmysłów?

- I dlatego zamknęła mnie na klucz? - wybuchnął ze złością.

- Nie mogła dać sobie z tobą rady. Wciąż znikales na długie godziny. Dlaczego?

Milczał ze spuszczoną głową. Przecież i tak nie zrozumie. Dorośli niczego nie rozumieją. Dla nich najważniejsze są pozory: uporządkowany dom, posiłki o stałej porze, czyste uszy i skarpetki. A co w środku człowieka? W duszy? Co to kogo obchodzi. Można konać z tęsknoty za ciepłem czyjejś dłoni, za dotykiem ust. Można świra dostawać od czekania, nie, to nie jest ważne. Byle być w domu o oznaczonej porze. Wtedy gra. Wtedy jest O.K.

Kobieta nie spuszczała oka z płowej głowy chłopca. Wiedziała, co szaleje pod tą wąsko sklepioną czaszką. Jakie treści galopują, jakie sądy wydaje zbuntowany umysł. Nie ponaglała, cierpliwie czekając, aż opadną pierwsze

- Ja? Dlaczego? Czekam tu na przyjazd rodziców. Samolotem, z Madrytu.

Milicjanci wymienili spojrzenia.

- Poczekasz gdzie indziej.

Paweł szarpnął się, próbując dać nura w największą ludzką ciżbę.

Silna ręka udaremniła ucieczkę.

- Spokojnie, mały! - głos funkcjonariusza był jakby mniej uprzejmy. Za to chwyt sprawny, wyuczony, niezawodny.

Paweł oczyma pełnymi łez przesuwiał po twarzach, włosach, sylwetkach wychodzących. Prowadzony do radiowozu, już się nie wyrywał. Tylko wciąż odwracał głowę. Może stanie się cud, ojciec porzuci bagaż i wyratuje syna z opresji. Ale nikt podobny do ojca nie przyleciał.

Wóz ruszył błyskawicznie. Paweł siedział pomiędzy milicjantami, a łzy jak groch spływały mu po policzkach. Nie niepokoili go. O nic nie pytali. Wieźli tam, dokąd nakazywał obowiązek.

W tym dniu po raz pierwszy w swym trzynastoletnim życiu Paweł zaznajomił się z wnętrzem Milicyjnej Izby Dziecka.

- Nazwisko?

- Brent.

- Imię?

- Paweł.

- Ile masz lat?

Wzrok omiata prawie pusty pokój. Jasno pomalowane ściany, zakratowane okno. Przy stoliku siedzi kobieta w mundurze z dystynkcjami kapitana. Ma zmęczoną twarz,



kurze łapki wokół oczu i włosy koloru kasztana, mocno przetykane siwizną.

- Dlaczego uciekłeś z domu?

Paweł milczy. Co ma powiedzieć? Przecież sam dobrze nie wie, dlaczego opuścił dom. Babcia go zamknęła na klucz. Czy to jest dostateczny powód?

Kobieta cierpliwie czeka. Przez ten pokój przewinęły się już setki tak samo milczących chłopców i dziewczyn. Mali złodziejaskowie dopiero startujący w tym fachu, początkujące narkomanki o szklistych oczach i leniwych ruchach, dziewczyny z pijackich rodzin szukające na ulicach wytchnienia od domowych awantur, poszukiwacze przygód i skarbów. Uciekinierzy.

- Czy wiesz, że babcia odchodzi od zmysłów?

- I dlatego zamknęła mnie na klucz? - wybuchnął ze złością.

- Nie mogła dać sobie z tobą rady. Wciąż znikalesz na długie godziny. Dlaczego?

Milczał ze spuszczoną głową. Przecież i tak nie zrozumie. Dorośli niczego nie rozumieją. Dla nich najważniejsze są pozory: uporządkowany dom, posiłki o stałej porze, czyste uszy i skarpetki. A co w środku człowieka? W duszy? Co to kogo obchodzi. Można konać z tęsknoty za ciepłem czyjejś dłoni, za dotykiem ust. Można świra dostawać od czekania, nie, to nie jest ważne. Byle być w domu o oznaczonej porze. Wtedy gra. Wtedy jest O.K.

Kobieta nie spuszczała oka z płowej głowy chłopca. Wiedziała, co szaleje pod tą wąsko sklepioną czaszką. Jakie treści galopują, jakie sądy wydaje zbuntowany umysł. Nie ponaglała, cierpliwie czekając, aż opadną pierwsze

emocje. Miała czas, doświadczenie i niezbędną wiedzę psychologa.

Sekundy mijały, wlokły się minuty. Lecz między nimi nie wytworzyła się żadna wspólna nić porozumienia.

Wreszcie nie wytrzymał Paweł.

- Długo tu będę siedział?

- Dopóki nie przyjdzie po ciebie babcia. Już ją zawiadomiliśmy. Wie, gdzie jesteś.

Chłopiec przygryzł wargi. „Oczywiście babcia zabierze mnie do domu. Znów zamknie...”

- Ale ja i tak ucieknę! - wysapał ze złością. - Ucieknę!

- Możliwe. - Kobieta nie wydawała się specjalnie zmartwiona tym szczerym wyznaniem. - Bardzo możliwe.

Paweł zdziwiony podniósł głowę. Spotkały się szare, rozgorączkowane oczy chłopca i bladoniebieskie, zmęczone, chłodne.

- Znów mnie złapiecie?

- Naturalnie. Za to nam płacą.

Paweł po raz pierwszy się uśmiechnął. Podobała mu się ta odpowiedź. I ta kobieta.

- Dużo płacą w milicji?

- Tak sobie. - Kapitan Szczucka westchnęła. - Jak dorośniesz, zapraszamy w nasze szeregi.

- Uciekinierów też bierzecie?

- Byłych uciekinierów! - uśmiech opromienił zmęczoną twarz. - Za dziesięć lat sam będziesz się śmiał na wspomnienie przygód z dzieciństwa.

Tak, mogła w ten sposób rozmawiać z chłopcem siedzącym naprzeciwko. Jest najwyraźniej jednym z tych piskląt, które zbyt wcześnie wychyliło się z gniazda. Właściwie

88

pokierowane wyjdzie na ludzi. Ma charakter, to pewne. Na razie zbuntowany, przekorny i nieufny. Biała karta, na której los wypisze wielkie TAK lub wielkie NIE. Nad tym warto popracować.

Wszedł niższy szczeblem funkcjonariusz. Miał okrągłą twarz podobną do futbolowej piłki.

- Obywatelko kapitanie, melduję się z babcią.

Usta kobiety drgnęły. Chyba było jakieś drobne potknięcie w tym służbowym meldunku. Nie zwróciła jednak uwagi.

- Prosić.

Babcia była chyba jeszcze mniejsza. I bardziej siwa. Zapłakane czerwone oczy i ta sama stara wysłużona torba na zakupy. Pawłowi ścisnęło się serce. W pierwszym odruchu chciał pędzić, przytulić się do szarej bluzki, wtopić, posłuchać spokojnego rytmu serca, jak wtedy, gdy był malutki. Odwrócił się na stołku i zamarł. Drobne dłonie staruszki uniosły się w górę. Z oczu lunęły łzy. Przerywanym głosem wykrzykiwała piskliwie:

- Za co pan Bóg mnie tak pokarał? Paweł, czy ty nie masz rozumu? Ludzie, co ja takiego zrobiłam, żeby mnie tak karać? Za jakie grzechy...

Kapitan Szczucka lekko uniosła się z miejsca. Jeden rzut oka w kierunku chłopca upewnił ją, że sytuacja stracona. Miała za złe

staruszcze jej niewczesne biadolenie. Nie tak należy pozyskiwać czyjąś miłość, zaufanie. Lecz z drugiej strony... czegoż można wymagać od nieszczęsnej starości, tak samo porzuconej i skazanej na wieczny strach o życie wnuka. Dwa życia, dwa nieszczęścia, dwie tragedie. Ale ona musi walczyć o chłopaka. I nie dlatego, że jej za to płacą.

89

Taki wybrała zawód: nawracanie grzeszników na właściwą drogę. Jedenaste przykazanie: pomóż bliźniemu swemu, o zapłatę nie proś.

- Paweł, wyjdź na chwilę na korytarz, dobrze? Chłopiec wolno podnosił się ze stołka. Wbił wzrok

w drzwi. W głowie zaświtała myśl.

- Nic z tego! - uśmiechnęła się Szczucka. - Stąd nie zwiejesz, pilnują.

Paweł wściekle błysnął okiem. „Mózg mi przeświała czy jak?” Minął płaczącą staruszkę i bez słowa wyszedł na

korytarz.

- Proszę, niech się pani uspokoi - poprosiła milicjantka, podsuwając staruszcze szklanekę wody z syfonu. Upiła jak ptak. Małeńki łyczek. Za oknami wciąż stał upał. W zmatowiałym powietrzu unosiły się drobiny kurzu. Wielka stara akacja zwieszała smętnie umęczone słońcem liście. Ciszę przerywało brzęczenie muchy. - Trzeba zrozumieć

chłopca.

Staruszka otarła oczy mokrą chusteczką. W jej wzroku

było morze smutku.

- Zostawili go. Rodzice. Co ja mam robić? Co robić?

- Tak, wiem. Ale widzi pani... oni mają jeszcze ważne paszporty, mogą w każdej chwili wrócić. Notujemy coraz częściej takie wypadki. Zaczepią się gdzieś, popracują i wracają-

- To zięć! Jego wina! Córka nigdy by... - znów łzy płyną ciurkiem po pomarszczonych policzkach.

\_ Nie czas teraz szukać winnego, to nam nic nie da. Chłopcu potrzebny jest dom. I proszę go nie zamykać na klucz. To ogranicza jego wewnętrzną potrzebę swobody.

90

- Toż on ma za dużo tej... jak pani mówi, swobody! Całymi dniami gdzieś się włóczy, na noc do domu nie wraca...

Kapitan Szczucka wzdycha. Ileż ona już tu widziała takich samych zmaltretowanych, zapłakanych twarzy.

- A jednak proszę zaufać i dać chłopcu drugą parę kluczy. Poza tym należałoby go czymś zająć, zainteresować. Jest w mieście akcja, która się nazywa „Nieobozowe lato”. Mógłby tam grać w piłkę, chodzić na basen. Możemy w tym pomóc...

- Czy ja wiem? I pieniędzy nie ma... tylko ta moja renta...

Milicjantka tłumaczy, przekonuje. Stara kobieta potakuje, siąka w chustkę. Ale nie zmienia zdania. Rozstają się przyjaźnie, ale bez porozumienia.

Gdy wychodzą, Paweł podnosi się z ławki. Nie zwiął. Nie miał cienia szansy.

- Do widzenia, Paweł! - Kapitan Szczucka podaje mu rękę. - Mam nadzieję, że tu nie wrócisz.

Chłopiec przestępuje z nogi na nogę. Chce stąd jak najszybciej wyjść. Jutro piątek. Potem sobota, niedziela i poniedziałek. We wtorek o jedenastej dwadzieścia pięć znów musi być na lotnisku. I będzie.

Do domu wracają w milczeniu. W kuchni bałagan, nie sprząnięte ze stołu po porannym posiłku. Paweł wyjmuje z kieszeni sto złotych. Kładzie obok pęczka pietruszki.

- Oddaję, co pożyczyłem. Na razie tyle. Więcej nigdy nie wezmę.

\* Na działce cicho i jakoś smutno. Doszczętnie objedzone krzaki malin. Gruszki jeszcze nie dojrzały, mają zielonosza-

91

wą skórkę. Jest ciemny ponury ranek. W powietrzu wisi deszcz i pajęczne nici rozciągnięte pomiędzy gałązkami berberysu. Chwasty, dawno nie plewione, zarosły północną stronę altany, gdzie złotokap puka rozcapierzonymi palcami gałęzi do zakurzonego okna.

„Gdzie jest Ruszczyk? - dziwi się Paweł przysiadając na pieńku pod gruszą. - Czyżby nie było go od ostatniego spotkania?”

Za plecami coś szeleści. Ostrożne łapy miękko roztrącają kępy traw. Szary cień materializuje się na ścieżce. Popielate futro gładko wylizane, puszysty ogon kołysze się leniwie.

- Cześć, Maciek! - mówi Paweł cicho.

Kot nie ucieka, słucha. Jedna łapa w powietrzu, ogon zamiata ścieżkę. Przysiadł.

- Zostaliśmy sami czy jak?

Zwierzę podnosi się, robi parę kroków. Jest tuż koło Pawiowej nogi. Kładzie się na trawie zwinięte w kłębek. Koniec ogona trafia do pyszczka.

- Nie wolno ssać ogona! - mówi Paweł ostro.

Kot wypuszcza ogon. Jego koniuszek jest ciemniejszy, wilgotny, porządnie wyssany.

- Mnie też nie pozwalali ssać palca, kiedy byłem mały - tłumaczy Paweł wyskubując drzazgi z pieńka. - Tato smarował mi go musztardą i jodyną, żebym tylko nie pakował do buzi. Wiesz, co to musztarda, Maciek?

Kota opowieść chyba niezbyt zainteresowała. Jego błękitne rozleniwione oczy nagle robią się żółte. To ptak. Siadł na łodydze georginii, która aż się ugięła. Nieświadom niebezpieczeństwa huśta się poćwierkując coś z przejęciem. Kotu prąd przebiega przez grzbiet. Wolno wypręża się, rozplasz-

92

cza w trawie. Jest tylko wzrokiem utkwionym w małym szarym kłębuszku. Pazury bezszelestnie skrobą ziemię. Jak wypuszczona strzała spada na gałązkę, która łamie się z suchym trzaskiem. Łopot skrzydeł oznajmia tryumfującą ucieczkę wróbla.

Kot zawiedziony i zawstydzony kołuje, krąży, przysiada. Gdy wraca, puszysty i miękki, jakby nic się nie stało, Paweł mówi zniechęcony:

- Jesteś mordercą, Maćku!

Kot liże łapę. Już zapomniał o nieudanym polowaniu. Teraz obwąchuje chlebak.

- Wyczułeś rybkę? To dla ciebie. No, masz!

Kot łyka surową rybę, szeleści papierem. Skończył. Błękitne oczy mrużą się, zostały już tylko szparki.

- Wystąłem ją dla ciebie w kolejce, ty bandyto!

Ale bandyta już śpi. I zapewne śnią mu się tłuste wróble. Setki tłustych, smakowitych wróbli.

Paweł odchodzi zostawiając słodko uśpionego Maćka. Chętnie by go ze sobą zabrał. Ale babcia nigdy się na kota nie zgodzi. Tak jak niegdyś nie chciała się zgodzić na psa. Autobus sunie wolno przez most na Wiśle. Po ostatnich opadach woda przybrała, zniknęły piaszczyste łąchy. Nurt toczy się wolno, ma kolor wypranej ścierki. W przybrzeżnych krzakach rozłożyli się wędkarze. Środkiem, porykując, płynie barka.

Na przystanku tłum ludzi. Już zaczęły się powroty z pracy. Paweł z ulgą wysiada. Bawełniana koszulka lepi się do pleców. Dwóch chłopaków toczy wózek pełen starych gazet. Niezręcznie pociągnięty zderza się ze słupem latarni. Na bruk sypią się związane sznurkiem paczki staroci, brudna

93

tektura, jakieś pudła. Paweł tknięty odruchem rzuca się na pomoc. Znosi, zbiera, ładuje bez słowa. Kiedy otrzepawszy zakurzone dłonie unosi chlebak, widzi stojącego w rozkroku wyrostka z tatuażem na dłoni.

- Ty co, koleś? Bezinteresowny? Paweł mruga rzęsami.
- Bo co?
- Nic. Skąd jesteś?
- Stąd.

Tatuowany marszczy nos. Podchodzi drugi, młodszy, za to cały w piegi. Nawet szyję ma piegowatą.

- Mogę wziąć cię do spóły. Gra?

Paweł wzrusza ramionami. Pewnie znów jakaś mafia sycylijska.

- Już zbierałem butelki. Ale mi taki jeden kazał oddać połowę zarobku.



Piegowaty śmieje się głośno. W śmiechu ukazuje różowe dziąsła.

- Ale gangrena!

- On się nie nazywa Gangrena, tylko Ganges. A drugi Zadra.

Tatuowany macha pogardliwie dłonią.

\_ Wiem, Śródmieście. Po co się tam pchałeś, koleś, skoro tu mieszkasz?

- Tak wyszło. - Paweł nie ma ochoty spowiadać się na środku ulicy.

Wózek tarasuje przejście, trzeba go popchnąć. Wędrują we trójkę. Przed starą kamienicą pamiętającą jeszcze czasy sprzed pierwszej wojny światowej tatuowany zatrzymuje się.

94

- No, dobra. To tutaj. Chcesz zostać - zostań. A nie, to spływaj. Nazywają mnie Złotowa. Bo za złotówkę pójdę na kolanach do Częstochowy. Ten piegus to Haczyk. No?

To „no” było znakiem zapytania i stosunkiem do świata z praskiego brzegu.

Paweł wahał się. Pieniądze są konieczne. Choćby na bilety autobusowe. Stąd na Okęcie trzeba się przesiadać. Część zarobku odda babci, część wyda na rybę, dziś nie śmierdział groszem.

- Dobrze. Chętnie z wami popracuję. Gdzie zbieracie tę makulaturę? Po ludziach?

Złotowa skrzywił się.

- E, tam! Ludzie dziś nieużycki, nic nie dadzą. Nawet starej gazety żałują. Trzeba kombinować.

- Najlepiej uprzedzić śmieciarzy, bo jak wywiozą, to już możesz się, bracie, pożegnać. - Haczyk był fachowcem w branży. To widać na pierwszy rzut oka. - Czas masz?

- Mam.

- To zasuway po śmietnikach, byle raniutko. Wózek jakiś masz? A taczki... no, cokolwiek...

- Babcia ma taką torbę na kółkach... może... Złotowa zręcznie wykręcił wózkiem. Brama starej kamienicy obłaziła rdzą.

- Twoja sprawa. Słuchaj... jak cię nazywają?

- Paweł.

Złotowa lekceważąco pokiwał głową. Postukał się palcem po czole.

- U nas, koleś, imiona niepopularne. Trzeba mieć jakąś ksywę...

95

Paweł zatrzepotał rzesami. „Co to takiego ksywa? Zapytać?”

Wybawił go Haczyk.

- On nie wie, co to znaczy! To, bracie, w złodziejskim języku... przewisko!

- Aha. - Paweł był pojętny. Już nie zapomni. A że żargon złodziejski? Cóż to szkodzi? - To jak się mam przedstawiać?

Złotowa mrugnął okiem. Przyjrzał się Pawłowi od stóp do głów.

- Bo ja wiem? Może... Ulizany? Takie masz uczesane włoski, i w ogóle...

- Już lepiej Ulzana, jak wódz Apaczów! - bronił się Paweł.

Roześmieli się głośno. Obaj byli na tym filmie.

- Nie rozśmieszaj mnie, koleś. Taki z ciebie wódz, jak ze mnie baletnica! Będziesz Ulizany, i koniec.

Nie było dyskusji. Przewiska na ogół padają znienacka i przylegają do człowieka ciasno jak druga skóra. Albo jak rzep.

- Gdzie was znajdę? Mieszkam tam, w tych nowych blokach.

- A my tu. Pod szóstym. Składowisko jest na podwórku koło szopy. Jakby cię o coś zahaczał, to mów, że jesteś od Złotowy. I jeszcze jedno: forszę dzielimy sprawiedliwie. Co nie znaczy po równo. Ale i tak trzeba się naharować, uprzedzam.

- Dobrze. Zacznę od jutra. Cześć.

- Cześć, koleś.

Edukację śmieciarza zaczął Paweł przed szóstą rano. Jeszcze zanim babcia wstała. Ubrał się szybko, o myciu

96

zapomniał. Był kolejny wtorek, należało więc zjawić się na lotnisku punktualnie. Wziął torbę z kółkami i wyruszył windą na poszukiwanie papierowego szczęścia. Miał fart. Przed domem dozorca zamiatał chodnik.

- Co tak wcześnie? - zagadnął.

- Zbieram makulaturę - pochwalił się Paweł. - Może pan wie, gdzie najwięcej starych gazet?

Dozorca miotłą wskazał schowek. Tam właśnie stały metalowe kubły napełnione śmieciami wybranymi ze zsyków.

- Możesz wziąć. Tato już wrócił? Miał do mnie jakąś sprawę. Chyba kran przeciekał czy coś.

- Niedługo wróci - Paweł był tego prawie pewny. -A kran rzeczywiście cieknie. W łazience.

Sporo czasu zmitrężył, zanim spenetrował wszystkie kubły. Nie najprzyjemniejsze zajęcie wśród fetoru rozkładających się odpadków. Było trochę gazet, jakieś pogniecione pudła. Ułożył to wszystko równo w torbie. Mało. Ruszył więc dalej. Na trzecim podwórku pachniało ciastem. Paweł poczuł głód. Ostatnio stale był głodny, a przecież babcia gotowała, co mogła. Kiedy przetrząsał kolejny schowek, dopadła go Poldzia.

- Cześć, Paweł! W co się bawisz?

„Głupia zołza. Wydaje jej się, że to zabawa!” - pomyślał ponuro.

Poldzia gryzła ciepłą drożdżówkę. Chłopiec przełknął ślinę.

- Masz jakieś gazety?

Poldzia przecząco pokręciła głową.

- Po co ci?

97

- Jak nie masz, to spływaj!

Ale Poldzia była dziś nastawiona pokojowo. Połknęła ogorrriny kęs drożdżówki z jagodami i pokazała czarny język.

~ A ja wiem, gdzie było malowanie!

Paweł wzruszył ramionami. Cóż go może obchodzić jakieś malowanie. Na pomocnika malarza się nie nadaje. Oddalał się ciągnąc jU2 solidnie wypchaną torbę. Dziewczynka dogoniła go

~ Nie stój mi na drodze! - wrzasnął zły, bo widok drugiej drożdżówki, która nie wiedzieć skąd pojawiła się w Poldzi-neJ ^Ioni, doprowadził go do furii.

~ Tam, gdzie malują, jest sporo papierów - oznajmiła łaskawie \_ Nie  
^jarzysz?

Ojarzył. Teraz już kojarzył. Ludzie zawsze ochraniają podłogi  
gazetami, żeby ich nie zabrudzić farbą.

- No? - przystanął.

\_ U Nowaków. Na pierwszym piętrze. Rodzice nie wrócili. aQ c[oc[a  
jak rozmawiała z twoją babcią, to babcia jej 0P0Madała...

Włęczę powiedzieć nie zdążyła. Paweł puścił wózek i przyskoczył ^0  
niej z zaciśniętymi pięściami.

\_ Ty plotkaro! Jak nie przestaniesz, to ja ci...

\_ Mamooo! - zaniósła się Poldzia dzikim wrzaskiem. -0n 8IŁ bije!

^aweł ochłonał. A taką miał ochotę sprać Poldzię na

kwasne jabłko właśnie „na kwasne jabłko”. Tak mawiał

Ale po Poldzi nie było śladu. Pociągnął wózek pod

sąsiedni blok. Rzeczywiście. Stos gazet pochlapanych farbą

zwinny w nieporządnym rulon wskazywał, że malarze szczę-

98

śliwie opuścili mieszkanie. Załadował rulon. Ponieważ nie mieścił się  
w torbie, przywiązał go sznurkiem. Tak objuczony zjawił się przed  
drzwiami mieszkania. Zadzwoił. Szuranie kapci wskazywało, że  
babcia już jest na nogach.

- Paweł? Co to wszystko ma znaczyć? Dokąd ciągniesz te brudy?

- To nie są brudy, babciu, tylko makulatura.

- Nie pozwalam! Nie pozwalam wnosić tego do mieszkania! Czy ty wiesz, ile mnie zdrowia kosztuje codzienne sprzątanie? Żebyś chociaż raz sam wziął szczotkę do zamiatania...

- Wezmę - wykrztusił Paweł. - Co nabrudzę, to pozamiatam. A makulatura jest na sprzedaż.

Babcia nie ustępowała.

- Nie pozwalam! Czy nie widzisz, że już siły tracę?

- Muszę zarobić pieniądze.

Paweł ominął ją. Też nie zamierzał ustąpić. Zresztą bardzo spieszył się na lotnisko.

Staruszka lamentowała głośno. Za chwilę w ruch poszła chustka do nosa.

- Niewdzięczne dziecko!

Paweł postanowił nie dyskutować. To prawda, że zostali sami. Że są na siebie skazani. Ale niedługo rodzice wrócą. Na pewno wrócą. Wtedy wszystko się zmieni.

- Dostanę śniadanie? - spytał, gdy już opróżnił torbę. Po południu odstawi gazety. Albo lepiej jutro rano.

Staruszka chlipała jeszcze pobrzękując łyżeczkami.

- Ty mnie do grobu wpędzisz!

Szybko łykał gorące mleko przegrywając chlebem z powidłami. Pewnie, drożdżówki lepsze, ale co robić? Dawniej

99

poprosiłby babcię. Umiała je piec. Jeszcze jak umiała. Ale dziś...

- Daj mi klucze od mieszkania - poprosił. Głośniej szcęknięła pokrywka.

- Jeszcze zgubisz...

- Nie zgubię. Nie jestem dzieckiem. Muszę teraz pojechać na Mokotów. Do kolegi.

Nie odezwała się. Myła kubki pod kranem z ciepłą wodą. Mała, zasuszona, nieszczęśliwa. Pawłowi zrobiło się jej żal. Podeszedł z boku i jak dawniej objął ją wpół. Przyłgął policzkiem do rękawa spranej bluzki.

- Babciu... Zapłakała cicho, żałośnie.

- To przez niego... przez twego ojca...

Paweł zeszywniał. Prysł gdzieś nastrój. Zapiękła nienawiść do człowieka, który był jego ojcem, nie mogła stanowić pomostu do porozumienia. Nienawiść to straszne uczucie, które gdy raz omota człowieka, nie puści. I nie jest ważne, czy jest się dorosłym, czy tylko trzynastoletnim dzieckiem.

.

- Nigdy więcej nie mów tak o nim! - krzyknął odskakując na środek kuchni. - Ja kocham tatę! Kocham, rozumiesz?

Wybiegł trzasnąwszy drzwiami. Płakał biegnąc do autobusu. Łzy przesłaniały mu wzrok, zacierały kontury, rozmazywały świat, który nie był mu życzliwy.

\* Na Okęciu panował wyjątkowy ruch. Odprawiano trzy pięćdziesięcioosobowe grupy turystyczne.

Czarter do Aten - poinformował mechanik z rudymi

wąsami, którego Paweł poznał przed miesiącem. - Nasze lotnisko zaczyna pękać w szwach.

- Trzeba budować nowe! - skonstatował Paweł ustępując z drogi objuczonemu bagażowemu.

- A pewnie. Trzeba. Są już nawet plany.

- To kiedy zaczynamy? - Słowo „zaczynamy” Paweł zaakcentował specjalnie. Czuł się tu współgospodarzem, prawie współwłaścicielem pasów startowych i wieży kontrolnej. Choć dla lotniska zrobił niewiele, ot, umył parę szklanek, kufla i talerzyków. I to nielegalnie.

Mechanik podciągnął nogawki kombinezonu. Był wyraźnie za obszerny na średni wzrost rudowąsego.

- Jak się dorobimy trochę więcej pieniążków - mruknął.

- Na razie klops, figa i piwko.

- Wylądował samolot z Madrytu, rejs numer trzysta dwa

- głos w megafonie falował jak upał za oknem.

- To ja lecę! Cześć!

- Dobrego dnia!

\* Oczekujących było tak mało, że Paweł natychmiast dostrzegł blond ogonek Zuzanki. Stała obok wopisty, ze wzrokiem wbitym w wyjście. Paweł ulokował się w drugim kącie, ale stale zerkał, co robi Królik. „Zapytać teraz czy później? - myślał przypatrując się własnym brudnym tenisówkom. - Ruszczyka tak dawno nie było na działce... może ona coś wie? Teraz!” - zdecydował.

- Cześć! - powiedział zaszedłszy ją z boku. Odwróciła głowę. Miała niebieskie roześmiane oczy.

- To ty? Co tu robisz?



- Czekam na Madryt. A ty?

101

- Też. Tato pilotuje. Lubię tu po niego przychodzić. Wszyscy mnie znają...

- Co słyhać u Ruszczyka? No... pana Leona? Oczy dziewczynki przygasły.

- Jest bardzo chory. Tatuś mówi, że umrze. Paweł przełknął ślinę.

- Co ty gadasz za bzdury? Dlaczego miałby umrzeć? Ja też byłem w szpitalu i nie umarłem!

Zuzanka potarła palcem nos.

- No... tatuś tak mówił...

Paweł już się nie odezwał. Skoro ojciec wyznał jej tak okrutną prawdę... dlaczego miałby kłamać?

Zaczęli wychodzić pasażerowie. Jak zwykle na tej linii był komplet; opalone twarze i dekolty, kolorowe suknie i stosy bagażu, plastikowe torby z hiszpańskimi napisami, przezroczyste siatki wyładowane owocami południowymi, słomkowe kapelusze. Cały blichtr dalekiego, nieznanego świata. Zamajaczyła szczupła sylwetka, wspaniałe włosy koloru pszenicy. Paweł poczuł skurcz serca. Suche wargi szepnęły:

- Mama!

Rzucił się jak oszalały tratując ludzi i ich bagaże. Dopadł ją w samych drzwiach. Szarpnął za rękaw haftowanej kasty-lijskiej bluzki.

Spojrzały na niego chłodne, zielone oczy obcej kobiety.

Paweł skamieniał. Na pobladłe czoło wystąpiły grube krople potu. Nie potrafił wykrztusić ani jednego sensownego słowa. Wargi drżały, jakby za moment miał wybuchnąć płaczem. Wycofał się dziwiąc, że nogi nie odmawiają mu posłuszeństwa. Czuł się straszliwie oszukany.

- To on, tatusiu, Paweł.

102

Głos Zuzanki docierał do niego jak poprzez szum ulewy. A przecież tam, na zewnątrz, świeciło słońce. Stał niczym drewniany pajacyk, popychany przez ludzi, którym się nie usuwał z drogi. Krew pulsowała mu w skroniach; nieznośnie ciążył na ramieniu chlebak.

- Co ci jest, chłopcze? Jesteś taki blady - ojciec Zuzanki w mundurze pilota pochylał nad nim ciemną brodę.

Paweł wracał z dalekiej podróży.

- Ja? Nie... tylko tak gorąco...

- Zabierzemy go z sobą! — kapitan mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Janek, masz tu swojego rolls-roy-ce'a? Podrzucisz nas?

Drugi pilot skinął głową.

- Naturalnie.

Rolls-royce okazał się maluchem w kolorze zupy pomidorowej. Zuzanka nie chciała za nic puścić ojca, więc Paweł usiadł z przodu. Nie jechali daleko. „Osiedle pilotów”, jak je nazywali, wznosiło się wieżowcami nie opodal lotniska. Paweł czuł się dziwnie odrętwiały. Pozwalał sobą sterować temu brodaczowi o stanowczym głosie, jakby nie był żywym chłopcem, lecz maszyną z niebieskim żurawiem na ogonie.

Mieszkanie było wygodne, trzypokojowe, z dużą loggią ocienioną pnącym powojem.

- To ten chłopiec, o którym wspominał wujek Leon -szepnął kapitan Lenkiewicz całując na powitanie żonę. -Ten... z lotniska. Chyba dziś przeżył jakiś szok albo jest chory...

Mama Zuzanki była drobną brunetką o twarzy w kształcie serca. „Duży Królik” - pomyślał Paweł leniwie- Nie wiedział, czego właściwie od niego chciał, dlaczego znalazł się

103

w tym przytulnym, ze smakiem urządzonym mieszkaniu. Posadzony w fotelu tkwił tam nie poruszywszy się i tylko wzrokiem notował szczegóły świadczące, iż właściciel tego gniazdka podróżuje po całym świecie. Afrykańskie maski, holenderskie kafle, włoskie reprodukcje światowego malarstwa i puszki duńskiego piwa.

- Chcesz posłuchać zespołu Rock-River? - Zuzanka już zakładała taśmę do magnetofonu.

Za chwilę błogą ciszę przerwały rytmiczne synkopy ostrej muzyki. Paweł nie słuchał. Znów przed oczyma stanęła mu zdziwiona twarz obcej kobiety o pszenicznych włosach. Tej z lotniska. Nawet nie wiedział, że płacze.

- Co ci jest? - chłodna dłoń dotknęła rozpalonego czoła. - Masz gorączkę?

Paweł wstydził się i płakał. Nie potrafił się opanować. To było silniejsze od niego. Odwracał oczy od zatroskanej twarzy Dużego Królika.

- Robert - powiedziała pani Lenkiewiczowa wchodząc do łazienki. — Może ty z nim porozmawiasz, dowiesz się, o co chodzi?

- Dobrze. Dajcie mu coś do jedzenia. I wyłączcie tę muzykę!

Zuzanka ze złością nacisnęła klawisz magnetofonu. Była zła, że sprowadzono tu obcego chłopaka. Teraz ojciec zamiast nią zajmuje się tym płaksą!

Paweł odmówił zjedzenia obiadu. Nie mógłby przełknąć niczego. Z przyjemnością pił ostry, cierpki sok pomarańczowy. „Madę in

Spanish" — przeczytał napis na puszcze. Hiszpania. Nienawidził tego kraju. Wyszedł na balkon. Widok z siódmego piętra był wspaniały. Tuż za wąską uliczką

104

ciągnęły się ogrody obsypane kępami róż. Na horyzoncie, trochę w lewo, majaczyły małe i cienkie niczym ważki samoloty. Słysząc było ich start i lądowanie. Gdzieś tam, hen, za kępą grusz czy jabłoni sterczała jak pudełko zapalek wieża kontrolna lotniska.

- Przyglądasz się samolotom? - spytał kapitan Lenkiewicz stając obok. Nie wyglądał już na takiego surowego jak przedtem, w mundurze ze złotymi paskami na rękawie.

- Tak. Lubię lotnisko. Zacząłem tu przychodzić już w czerwcu.

- Na imię masz Paweł? Czy tak?

- Tak.

- Czekasz na kogoś tam... na lotnisku? - głos kapitana był normalny. Pytanie nieobowiązujące. Można odpowiedzieć lub nie.

Paweł odwrócił się. Spoglądał wprost w oczy koloru kasztana.

- Czekam na rodziców. Gdzieś... zapodziali się w Hiszpanii. Ale na pewno wrócą. Będę chodził tam tak długo, aż...

- Rozumiem - odparł kapitan zapalając fajkę. Dym pachniał dziwnie korzennie. - Mogę ci w czymś pomóc?

Paweł szurał tenisówką po betonie loggi.

- Pan... lata do Madrytu. Mógłby pan o nich zapytać? Nazywam się Brent. Mój tato Stanisław. A mama Ewa. Mógłby pan?

Dym z fajki zwijał się w pierścienie, rozpływał w drgającym od upału powietrzu.

- Spróbuję. Skontaktuję się z konsulem polskim w Madrycie. Może coś wiedzą. Ale... nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Będę tam najprawdopodobniej za dwa tygodnie.

105

- Od tego czwartku? Od dziś?

- Tak wypada z harmonogramu lotów. Oczywiście, może się coś zmienić... bywają nagle zastępstwa na innych trasach. Jedno mogę ci obiecać: nie zapomnę.

- Dziękuję. - Paweł chciał już wyjść. Ta rodzinna atmosfera była zbyt bolesna. Oba Króliki, duży i mały, obracały się wyłącznie wokół spraw mężczyzny - władcy tej króliczej jamy. Jeszcze raz zerknął na ogrody rozciągające się u stóp wieżowca.

- To działki pracownicze?

- Tak. - Lenkiewicz postukał wygasłą fajką o skrzynkę na kwiaty. - Tak.

- Dlaczego powiedział pan, że pan Ruszczyk umrze? Kapitan przygryzł wargi.

- Skąd o tym wiesz?

- Od Króli... od Zuzanki.

- To prawda. Nie ma dla niego ratunku. Jeszcze raz czy dwa może poczuć się lepiej... ale to koniec. Na tę chorobę świat nie wynalazł jeszcze lekarstwa.

- To straszne - wymruczał Paweł. Śmierć była dla niego dotąd pojęciem mglistym, znaczeniem słownikowym. Nigdy nie zetknął się z nią bezpośrednio. - Idę już - powiedział. - Babcia nie dała mi kluczy, a ja...

- Poczekaj, zejść i wsadzę cię do taksówki.

Paweł przerażony zatrzepotał rękami. „Taksówka? Skąd ja wezmę tyle pieniędzy!” - Spłoszony zaczął protestować:

- Nie, naprawdę, ja autobusem, o, mam bilet, widzi pan? Kapitan stropił się. Niezręcznością byłoby wręczyć pieniądze, nie chciał chłopca urazić.

■ Doniu, Zuzanko! Paweł już wychodzi!

106

Zjawiły się w przedpokoju obie. I nie umiały ukryć ulgi, jaką sprawiło im pożegnanie gościa.

- Przyjdź, kiedy zechcesz.

- Dziękuję - Paweł zatrzaskał drzwi i odetchnął. Zbiegał po schodach nie czekając nawet na windę.

\*

Zadzwoił jak zwykle, trzy razy, ale nikt nie otwierał. Zabębnił pięścią.

- Babciu, to ja!

Cisza. Przyłożył ucho do futryny, Nie słyhać było charakterystycznego szurania kapci. Usiadł na półpiętrze i zamyślił się głęboko. Układał plany na najbliższą przyszłość. , Jutro odwiozę makulaturę, we wtorek pojedę na lotnisko wcześniej. Może spotkam panią Lusię. Przydałoby się znów zarobić parę groszy. Kupić nowe tenisówki, bo te już... -spojrzał na nogi. Po półgodzinie wstał ze schodów. - Klucze są pewnie u sąsiadki, niepotrzebnie tu tkwię!" - pomyślał zasmucony własnym gapiostwem.

- Przepraszam, czy...

- Babcia pojechała do okulisty. - Sąsiadka zdjęła z wieszaka klucze. -  
Masz.

W pokoju nie było śladu makulatury. Ani w kuchni. W łazience wisały czyste ręczniki i nie kapało z kranu. Zebrany z takim trudem majątek ulotnił się jak kamfora. Paweł ze złością tupnął nogą.

- Wyrzuciła! Jak mogła mi to zrobić!

Złość zalała mu serce i duszę. Z wściekłości byłby w stanie zdemolować ten uładzony porządek, potłuc kryształ i serwis ze złotym paskiem. Ale nie zrobił tego. Wyjął z szafy sweter, plastikowy płaszcz od deszczu, kawał kiełbasy z lo-

107

dówki i pudełko margaryny. Odkroił porządny kęs sera. Wszystko to metodycznie upchnął do chlebaka.

- No, to cześć! - wymruczał. - Nie będę żył w takim domu! I niech ona o tym wie!

Wyrwał kartkę z zeszytu i nabazgrał: „Nie dałaś mi kluczy, wyrzuciłaś makulaturę, więc odchodzę. Nie szukaj mnie - Paweł”.

A potem dokładnie zatrzaskał za sobą drzwi.

\*

Na działki zdążył jeszcze przed zamknięciem bramy. Sąsiedzi Ruszczyka znali go z widzenia. Nie musiał się ich bać. Nie należało tylko przyznawać się, że tu nocuje. Póki było widno, zrobił nieco porządku wokół altanki: oplewił róże, wygrabił opadłe liście, podlał krzaczki poziomek. Potem usiadł na trawie i cichym głosem przywoływał Maćka.

Nic nie zaszeleściło w pobliżu. Widocznie popielaty da-chowiec polował gdzieś daleko. Wieczorem Paweł zjadł połowę kiełbasy i cały ser. Resztę przeznaczył dla Maćka. Ale kot się nie pojawił.

Po zachodzie niebo zachmurzyło się. Powiał chłodny wiatr. Słońce zapadło w krzaki dzikiej róży. Paweł zamknął drzwi altany,

zabezpieczył haczykiem okiennicę. Nie zdejmując džinsów ani koszulki otulił się kocem. Zasypiał w poczuciu totalnej klęski.

Nocą wiatr wzmógł się. Targał gałęziami gruszy, mocował się z okienkiem. W kątach coś gwizdało, szeleściło. Paweł budził się często. Nie znał jeszcze tych odgłosów, które dobiegały z zewnątrz. Każde mocniejsze trzaśnięcie okiennicy, każdy szelest konara przyprawiał go o mocniejsze bicie serca. „Żeby choć Maciek tu był!” - pomyślał naciągając

108

koc na uszy. Do rana nie zmrużył oka. Świtało, gdy zapadł w krótką drzemkę, która nie przyniosła odpoczynku.

Z łóżka wstał z głową jak cebrzyk. Ogromną, bolącą i pełną złych myśli. Nie chciało mu się jechać na Pragę, ale obiecał przecież Złotowie, że dostarczy stare gazety. Nie honor tak zniknąć bez słowa wyjaśnienia. Zjadł resztę kielbasy i przeliczył kasę: trzynaście złotych i cztery bilety. Piekielnie mało, by przeżyć dzień. Włożył sweter i dokładnie zamknął altankę. Klucz powiesił tam gdzie zawsze.

Siąpiło, gdy wsiadł do autobusu. Nie miał żadnego pomysłu. Smieciarze zapewne wszystko już wywieźli. Włókł się ulicami Targową i Brzeską senny i głęboko zamyślony.

- Ty, mały! - Dziewczyna, która go zaczepiła, mogła mieć siedemnaście lub najwyżej dwadzieścia lat. W ciasnych spodniach, pranych pewnie ostatni raz ze dwa lata temu, w obszernej, zbyt obszernej bluzie sprawiała wyjątkowo niechlujne wrażenie.

Paweł obejrzał się zdziwiony.

- Ja?

- Tak, ty. - Szkliste oczy błyszczały tępym blaskiem. Cera blada, tylko usta mocno czerwone, obrzmiałe. - Możesz coś dla mnie zrobić?



Paweł obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

- Co?

- Wejdź do tego domu, na drugim piętrze są drzwi obite blachą.

- I co?

- Nie przerywaj! - pocierała dłonie, jakby jej było bardzo zimno. - Zapukasz raz, a potem jeszcze dwa. Zapamiętałeś?

109

- No, jasne! - Paweł był wyraźnie zniecierpliwiony. - I co?

- Powiesz, że Gienka czeka na dole. I żeby przynieśli, co trzeba.

- A co trzeba? - Pytanie było z gatunku retorycznych. Mówiąc prawdę, zupełnie go to nie obchodziło.

- Nie twój zakichany interes! - wymruczała rzucając na boki ukradkowe spojrzenia, jakby czegoś się bała. - Leci stowa. Idziesz?

Stowa to był argument nie do odparcia. Wdrapał się na schody, równie stare i brudne jak cała kamienica. W umówiony sposób zastukał do obitych blachą drzwi. Wyjrzała starucha z opuchniętą twarzą.

- Czego?

- Gienka czeka na dole. I kazała, żeby jej przynieść, co trzeba.

W szparze drzwi ukazało się męskie oblicze. Ręka zaciśnięta w kułak wygrażała, sypały się ostre, nieznane słowa.

- ...i powiedz tej dziwce, że jak jeszcze raz tu przylezie... Szybkie kroki na schodach zwały się z głośnym trzaśnię-

ciem drzwi. Szpara znikła.

Paweł już się miał odwrócić, gdy poczuł nagle na ramieniu czyjś mocny chwyt. Zamajaczyły szare mundury. Ostry głos krzyknął:

- Otwierać, milicja!

Paweł szarpnął się, ale chwyt nie puścił.

- Nie próbuj zwiewać! - I do kogoś, kto stał na dole: -Zabrać go do radiowozu!

Chłopiec był tak oszołomiony szybkością rozgrywającej

110

się sceny, że nie bronił się, gdy go wepchnięto do biało-nie-bieskiego wozu z dwoma głośnikami na dachu. Tuż obok siebie dostrzegł szklanooką Gienkę.

- Nie zdążyłem, naprawdę - wyszeptał. • Milicjant siedzący na przednim miejscu odwrócił się.

- Za to myśmy zdążyli! Mam nadzieję, że dziś całe towarzystwo znajdzie się za kratkami.

Kątem oka chłopiec dostrzegł, że z bramy wyprowadzają staruchę i młodego człowieka o brzydko zarośniętej twarzy. Za chwilę radiowóz z wyciem ruszył z miejsca.

- Nazwisko?

- Brent.

- Imię?

- Paweł.

- Ile masz lat?

Paweł rozpoznał długi korytarz pomalowany olejną farbą, pokój o zakratowanym oknie i drzewo, którego zakurzone liście umył deszcz. Tylko kobieta była inna. Też w mundurze, ale o wiele młodsza.

Sucha, wąska twarz, kasztanowe włosy spięte złotą klamerką. Dłonie o paznokciach polakie-rowanych na perłowo. Za to głos nie pasujący do całości: niski, głuchy, nieprzyjemny. Kiedy mówiła, wydawało się, że dudni zapowietrzony kaloryfer.

- Więc ile masz lat?
- Trzynaście.
- Wcześniej zacząłeś.

„Co? Co zacząłem wcześniej?” - dziwi się Paweł w myślach. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

- Odwiń rękawy swetra.

111

Spełnia dziwne polecenie bez szemrania. Kobieta uważnie przygląda się jego przedramionom.

- Brałeś kiedyś?
- Co?
- Nie udawaj, mówię o „kompocie”.

Chłopiec wytrzeszcza na nią oczy. „Milicjantka, a gada od rzeczy! Jaki kompot?”

Kobieta puka ołówkiem w pusty blat biurka. Ten chłopiec ją zastanawia. Żadnych śladów użycia strzykawki. Czyżby był zamieszany w tę sprawę zupełnie przypadkowo?

- Co robiłeś w mieszkaniu na Brzeskiej?

No, wreszcie jakieś sensowne pytanie, na które można odpowiedzieć z całkowitą szczerością.

- Tę Gienkę... no, tę dziewczynę spotkałem na ulicy. Obiecała stowę, jeśli pójde na drugie piętro...

- Taak. - Kobieta przechyliła głowę do tyłu. Jest zmęczona. Wszyscy tu są zmęczeni. To siódma dziś rozmowa z młodocianymi, którzy przewijają się przez Milicyjną Izbę Dziecka. „Chyba mówi prawdę”. - A zatem nie macie nic wspólnego z narkomanami?

Paweł kiwa głową ze zrozumieniem. „Jasne! Że też o tym nie pomyślałem! Te szklane oczy Gienki...” O narkomanach słyszał wielokrotnie: w domu, szkole, w telewizji. Pani wychowawczyni przestrzegała dzieci przed próbą kontaktu z groźną trucizną. A przecież byli w szkole i tacy, którzy z głupoty, z ciekawości próbowali wachać jakieś zakazane świństwa. Nawet jedni drugim robili zastrzyki z brudno wyglądającej cieczy. On, Paweł, nie interesował się tym w ogóle. Nie ulegał modom ani namowom. Miał swoje zdanie. I bał się strzykawki. Zwyczajnie się bał.

112

- Nigdy nawet nie widziałem narkotyku - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Wierzę ci. - Telefon na biurku dzwoni, aż w uszach brzęczy. Milicjantka słucha ze zmarszczonymi brwiami. Odkładając słuchawkę mówi patrząc Pawłowi prosto w oczy: - Nie wspomniałeś, że byłeś już raz zatrzymany.

Paweł wzrusza ramionami.

- Nikt mnie o to nie pytał.

- Zostaniesz tu na razie.

- Jak to? - chłopiec zrywa się z krzesła. - To nie mogę iść do... do domu?

- Nie. Musimy sprawdzić, czy znowu nie uciekłeś. „Do tego nie wolno dopuścić. Znowu sprowadzą babcię.

Nie wymigam się tak łatwo! Przecież zostawiłem kartkę: »Nie szukaj mnie«. A to jest dowód". - Paweł myśli gorączkowo. Milicjantka coś pisze na jakimś blankiecie. Nie patrzy w jego stronę. „Trzeba wiać! Jednym skokiem do drzwi, a potem..."

Chłopiec zrywa się, biegnie. Otwarte! Teraz długim korytarzem, mijając kilkoro drzwi. Dopadł oszklonych wahadłowych skrzydeł. Gwałtownie rozwarte huknęły niczym z armaty. I to był koniec ucieczki. Pod oszkloną dyżurką czekało już na niego dwóch funkcjonariuszy. Złapany wpół wywinął się jakimś nadludzkim wysiłkiem. Zrobił krok i potknął się o dwa stopnie prowadzące w dół. Nie uchwyci! równowagi. Długim szczupakiem przeleciał na brzuchu aż pod ścianę.

Teraz go już mieli. I Paweł to zrozumiał. Pocierając guz na głowie wracał pokornie, bez oporu.

\*

113

Spełnia dziwne polecenie bez szemrania. Kobieta uważnie przygląda się jego przedramionom.

- Brałeś kiedyś?
- Co?
- Nie udawaj, mówię o „kompocie".

Chłopiec wytrzeszcza na nią oczy. „Milicjantka, a gada od rzeczy! Jaki kompot?"

Kobieta puka ołówkiem w pusty blat biurka. Ten chłopiec ją zastanawia. Żadnych śladów użycia strzykawki. Czyżby był zamieszany w tę sprawę zupełnie przypadkowo?

- Co robiłeś w mieszkaniu na Brzeskiej?

No, wreszcie jakieś sensowne pytanie, na które można odpowiedzieć z całkowitą szczerością.

- Tę Gienkę... no, tę dziewczynę spotkałem na ulicy. Obiecała stowę, jeśli pójdę na drugie piętro...

- Taak. - Kobieta przechyla głowę do tyłu. Jest zmęczona. Wszyscy tu są zmęczeni. To siódma dziś rozmowa z młodocianymi, którzy przewijają się przez Milicyjną Izbę Dziecka. „Chyba mówi prawdę”. - A zatem nie masz nic wspólnego z narkomanami?

Paweł kiwa głową ze zrozumieniem. „Jasne! Że też o tym nie pomyślałem! Te szklane oczy Gienki...” O narkomanach słyszał wielokrotnie: w domu, szkole, w telewizji. Pani wychowawczynie przestrzegała dzieci przed próbą kontaktu z groźną trucizną. A przecież byli w szkole i tacy, którzy z głupoty, z ciekawości próbowali wachać jakieś zakazane świństwa. Nawet jedni drugim robili zastrzyki z brudno wyglądającej cieczy. On, Paweł, nie interesował się tym w ogóle. Nie ulegał modom ani namowom. Miał swoje zdanie. I bał się strzykawki. Zwyczajnie się bał.

112

- Nigdy nawet nie widziałem narkotyku - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Wierzę ci. - Telefon na biurku dzwoni, aż w uszach brzęczy. Milicjantka słucha ze zmarszczonymi brwiami. Odkładając słuchawkę mówi patrząc Pawłowi prosto w oczy: - Nie wspomniałeś, że byłeś już raz zatrzymany.

Paweł wzrusza ramionami.

- Nikt mnie o to nie pytał.

- Zostaniesz tu na razie.

- Jak to? - chłopiec zrywa się z krzesła. - To nie mogę iść do... do domu?

- Nie. Musimy sprawdzić, czy znowu nie uciekłeś. „Do tego nie wolno dopuścić. Znowu sprowadzą babcię.

Nie wymigam się tak łatwo! Przecież zostawiłem kartkę: »Nie szukaj mnie«. A to jest dowód". - Paweł myśli gorączkowo. Milicjantka coś pisze na jakimś blankiecie. Nie patrzy w jego stronę. „Trzeba wiać! Jednym skokiem do drzwi, a potem..."

Chłopiec zrywa się, biegnie. Otwarte! Teraz długim korytarzem, mijając kilkoro drzwi. Dopadł oszklonych wahadłowych skrzydeł. Gwałtownie rozwarte huknęły niczym z armaty. I to był koniec ucieczki. Pod oszkloną dyżurką czekało już na niego dwóch funkcjonariuszy. Złapany wpół wywinął się jakimś nadludzkim wysiłkiem. Zrobił krok i potknął się o dwa stopnie prowadzące w dół. Nie uchwycił równowagi. Długim szczupakiem przeleciał na brzuchu aż pod ścianę.

Teraz go już mieli. I Paweł to zrozumiał. Pocierając guz na głowie wracał pokornie, bez oporu.

113

Salka była niewielka, lecz dość miło urządzona. Regały z książkami, jakieś gry, szachy, warcaby, no i telewizor. Na fotelikach, krzeselkach lub wprost na podłodze pokrytej wytartą miejscami wykładziną siedziała grupa chłopaków i dziewczyn. Niektórzy nieco starsi od Pawła, inni młodszy. Najprzeróżniejsza zbieranina. Wejście Pawła nie zostało skwitowane żadnym gestem. Ot, przyprowadzono jeszcze jednego, któremu się nie udało.

- To jest Paweł - powiedziała milicjantka puszczając chłopca przodem. - Zostanie tu jakiś czas. Zajmijcie się nim. Może ty, Gosiu?

Gosia była szczupłą, pryszczatą trzynastolatką z rozpuszczonymi na ramiona włosami, które chyba dość dawno nie widziały szamponu. Obrzuciła Pawła uważnym spojrzeniem szarych oczu.

- Pierwszy raz?

- Drugi - mruknął Paweł.

- No, to recydywista - uśmiechnął się serdecznie chłopak o twarzy aniołka. Miał regularne rysy i złote kędziory. Takich włosów Paweł nigdy jeszcze nie widział. - Mrówa jestem - przedstawił się wyciągając drobną, delikatną dłoń. - Ty, laluchna, zostaw go. Chłopakowi nie przystoi zadawać się z babami. Co innego, gdyby był tu pierwszy raz...

Paweł nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Właściwie... za pierwszym razem mnie wypuścili... tylko zadzwonili po babcię.

Mrówa roześmiał się. Nawet śmiech w jego ustach brzmiał prawie anielsko.

- Jesteś na gigancie?

Paweł słyszał już raz to słowo. Kiedy? Prawda, gdy chciał

114

sprzedać butelki, a Ganges wyciągnął łapę po połowę zarobku. Tak, to Ganges spytał o „giganta”. Co to ma znaczyć? Cherubinek pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Być na gigancie to znaczy, że zwiąłeś z chaty już dawno, że błąkasz się po kraju, rozumiesz? Taka gigantyczna wyprawa w Polskę. Trwa miesiąc, dwa, trzy...

Paweł uśmiechnął się.

- A ty jesteś... to znaczy byłeś na gigancie?



Gosia zamknęła z trzaskiem obszarpany tom „Ani z Zielonego Wzgórza”.

- On nie z tych, co wędrują. To zwykły złodziejasek bazarowy. Doliniarz. Wyciąga ludziom portfele i portmonetki. Ma już niezłą przeszłość. Pracuje jak... mróweczka.

- Stąd przezwisko Mrówa? - Paweł usiadł na podłodze. -Mnie dali ksywę... Ulizany! - pochwalił się.

- Kto? Kto ci dał? - od stolika z „chińczykiem” odezwał się chudy nastolatek z tatuażem na dłoni. Była to kotwica opleciona liśćmi winogrodu.

- Tacy jedni. Z Pragi. Złotowa i Haczyk. Chudy podrapał się po kolanie.

- Znam. To pracusie. Nigdy tu nie trafią. Legaliści! -wydał pogardliwie usta. - Milicja nie ma do nich żadnych interesów! Zwykli ciułacze złotych!

- A ty? - spytał Paweł.

- Był popersem, ale teraz chce przystąpić do killerów -powiedziała dobrze widać poinformowana Gosia. - Kiedy tu przy... kiedy go tu przywieźli, miał jeszcze żółte policzki i czarne usta.

- Po co? - przeraził się Paweł. - Dlaczego czarne? Chudy skrzywił się. Wyglądał, jakby zjadł kwaśne jabłko.

115

- Trzeba się czymś odróżniać od punków, popersów i faszystów. Jedni mają czuby usztywnione cukrem, inni grzywki. Faszyci noszą swastyki. A my, killerzy, możemy nawet zabić! - odparł znudzonym głosem.

- Dlaczego? Nie boicie się więzienia?

- Killerzy mają to wszystko gdzieś! Ziemia jest pełna zabójców, bomb, rakiet... ty co? Na jakim świecie żyjesz? Nie chodzisz do kina, nie oglądasz telewizji? Ile tam jest dziennie napadów, rabunków, terrorystów? Jak się inaczej bronić? Tylko odwetem! Odwet to jest to!

- zaśmiał się hałaśliwie. Brzmiało to tak, jakby ktoś żyłką skrobał o szybę.

- Jest ten... no, ruch pokoju! - zaprotestował Paweł gorąco. - Na całym świecie!

Chudzielec popukał się palcem po czole.

- I co oni mogą? No, co? Wiesz ty, ile przypada ton trotylu na głowę statystycznego obywatela świata?

Paweł nie wiedział.

- To ci powiem, mięczaku, żebyś miał świadomość. Cztery! Zebrali już tyle tego chlamu, że wypada średnio cztery tony trotylu. Na twoją twarz też. Nie myśl, że nie zostałeś w to wliczony. Zostałeś. I nikt cię nie pytał o zgodę!

Paweł czuł się oszołomiony. W szkole omawiało się podobne sprawy na lekcjach wychowawczych. Ale nigdy tak brutalnie, tak wprost. Owszem, świat z lekka zwariował, wielkie mocarstwa gromadzą arsenał nuklearny. Ale żeby cztery tony na głowę? Nie, o tym usłyszał po raz pierwszy.

- Więc po co chcesz zabijać, skoro i tak masz nad głową te cztery tony? - Paweł miał umysł analityczny. Chciał zrozumieć. Tego z kotwicą w winnicy też.

116

- Będę szybszy. Ot, co! - Chudy wziął ze stołu magazyn z komiksem i usiadł pod ścianą. Więcej się nie odezwał.

- On jest lekko stuknięty - wyszeptał cherubinek wprost do Pawiowego ucha. - Ale zanim tu przyszedł, to mu odebrali kastecik i pierścionelek.

- Nie wolno mieć pierścionków? — zdziwiony Paweł spojrzał na rękę Gosi. Na środkowym palcu dziewczynki lśniła srebrna obrączka z niebieskim serduszkiem.

- Nie o to chodzi! - roześmiał się Mrówa. - Tamten to był obrotowy. Z żyłkami.

- Jak ta... takim przejedzie po po... policzku, to tylko po... pogotowie cię uratuje! — wyjąkał z trudem milczący dotąd dziesięcioletek w żółtej koszulce z wizerunkiem „Bru-ce'a Lee, karate mistrza”.

Paweł miał już dość. „Co by babcia powiedziała na takie towarzyscho?” - uśmiechnął się w duchu.

Killer zdecydowanie mu się nie podobał. Ani to, co mówił. A w złodziejskie zdolności aniołka nie mógł wprost uwierzyć.

- Brent! Jest tu Paweł Brent?

Drzwi otwały się bezszelestnie. W progu stała kapitan Szczucka. Paweł natychmiast poznał przyprószone siwizną włosy i niski, ciepły głos.

- Masz! - szepnął Mrówa wsuwając mu coś do ręki. - To twoje!

Paweł zdumiony wpatrywał się we własną portmonetkę, która powinna tkwić spokojnie w tylnej kieszeni dżinsów. „Kiedy on mi «ją wyciągnął?» - zastanowił się. Ale nie było czasu na pytania. Czy to zresztą ważne? Grunt, że oddał.

117

- Swoim nie podprowadzam - usłyszał jeszcze na odchodnym anielski głosik. - Bywaj.

- Cześć!

\*

Pokój inny, obszerniejszy. Ale w oknach kraty. „Chyba zakratowali cały ten budynek - myśli Paweł apatycznie. Na biurku telefon, kalendarz i nikła warstewka kurzu. -I sprzątają nie najlepiej”.

- Co się stało, Paweł? - Pytanie nijakie. Ale ten łagodny, miły głos... - Myślałam, że już do nas nie trafisz...

- Przypadek - mruczy chłopiec wierząc się na twardym krzeselku. - Z narkomanami nie mam nic wspólnego... a ci, no, killerzy też mnie nie obchodzą. Ani cztery tony trotylu.

Kapitan Szczucka uśmiecha się. Jest chyba jedyną kobietą, której kurze łapki w kącikach oczu dodają uroku.

- Widzę, że zawarłeś już znajomość z Grzegorzem. To trudny przypadek. Ojciec alkoholik, matka ciężko pracuje, by zarobić na pięcioro dzieci.

- Ile? - dziwi się Paweł. W jego bloku nawet wśród dalszych znajomych nikt nie ma pięciorga dzieci.

- Są jeszcze liczniejsze rodziny. Niestety, spora grupa młodzieży w ogóle się nie uczy. I nie pracuje. Ci są najbardziej zagrożeni.

- Czym?

- Demoralizacją, jeśli wiesz, co to znaczy. Paweł miał dość mętne pojęcie o problemie.

- Kradną? - Pomacał tylną kieszeń spodni. Portmonetka była na swoim miejscu.

- Nie tylko. Robią to wszystko, co najbardziej szkodzi ich życiu i zdrowiu: alkohol, narkotyki, samookaleczenie.

A potem już tylko jeden krok do rabunku, napadu i pobici3-Dlaczego znów zwiąłeś?

Paweł nie był jeszcze przygotowany na to pytanie. Siedzi sztywno, z dłońmi splecionymi na kolanie.

- Tak wyszło.

Kapitan Szczucka podparła twarz dłonią. Patrzyła na chłopca uważnie, cierpliwie.

- To nie jest odpowiedź. Nie taka, na jaką cię stać. Jesteś inteligentnym chłopcem, Paweł. Nie udawaj przede mną kogoś innego. Wiem, że przeżywasz trudny okres, ale...

- Też by pani zwiąła, gdyby musiała siedzieć godzinami na schodach!

- wybuchnął chłopiec. - Chciałem sprzedać makulaturę, to ją wyrzuciła! A tak się napracowałem!

Kobieta lekko przygryzła usta.

- To źle, że nie dostałeś kluczy. Właściwie dlaczego?

- Babcia boi się, że zgubię.

- Musisz ją zrozumieć, Paweł. Jest twoją jedyną opie~ kunką. To stara kobieta, której dotychczasowy świat się nagle zawalił.

- A mój? Mój świat też się zawalił! Ale oni wrócą. ^a pewno!

Kapitan Lenkiewicz obiecał dowiedzieć się o wszy51-ko w Madrycie.

- Kim jest ten... kapitan Lenkiewicz?

Paweł milknie. Zdaje sobie sprawę, że powiedział /a du^o

- Taki... tam. Nie powiem!-buntuje się. Kaźdyczłow,>c'< ma prawo do własnych sekretów. Czy też tajemnic.

Milicjantka nie pyta. Rozumie ów bunt.

- Wrócisz do domu?

Paweł chciał wzruszyć ramionami, ale nagle ten gest wy c'a' mu się zbyt dziecinny.

119

- Mogę. Jeśli dostanę klucze od mieszkania. I jak babcia nie będzie się wtrącała do moich spraw.

- Stawiasz warunki?

- Mam prawo. Kobieta uśmiechnęła się.

- Tak. To prawda. Dzieci też mają swoje prawa. Pisał

O tym już dawno Janusz Korczak. Ale i obowiązki. O nich zapomniałeś, łaskawco.

- Przecież chciałem zarobić! - denerwuje się chłopiec. -Butelki, makulatura... nie biorę forsy od babci! Raz czy dwa wziąłem - Paweł jest uczciwy, chce to podkreślić - to zwróciłem.

- Zarobiłeś na butelkach?

- Nie. Na lotnisku. Myłem kufle. - Zanim skończył, już pożałował tego wyznania. „Jeszcze gotowi sprawdzić i pani Luscia będzie miała przeze mnie kłopot" - pomyślał szczerze zmartwiony.

- Interesują cię samoloty?

Paweł kiwa głową. Wcale nie kłamie. Naprawdę interesują go samoloty. Szczególnie te z Madrytu. Ale o tym nie piśnie ani słóweczka. Będzie się pilnował.

- Będę pilotem - mówi, żeby cośkolwiek powiedzieć.

1 zmylić trop.

- Jak kapitan Lenkiewicz?

- No!

Kobieta wstaje. Już ma jasność sprawy.

- Wracaj na razie do świetlicy, Paweł - mówi serdecznie. -Nie chciałabym cię tu zatrzymywać. Ale umawiamy się, że już tu nie wrócisz. Zgoda?

120

Paweł przestępuje z nogi na nogę. Chciałby traktować serio tę kobietę, od której niczego złego nie zaznał.

- Nie wiem, proszę pani. Dziś znalazłem się tu przez przypadek. No, nie?

„Ma rację - myśli milicjantka. - Nie ma sensu traktować go jak niegrzecznego chłopczyka, który podpalił dziadkowi wasy”.

- Więc może inaczej: obiecaj, że nie zrobisz sam nic takiego, co zmusiłoby funkcjonariuszy do przywiezienia cię tutaj.

- Nie mam zamiaru kraść ani pić tego... „kompotu"! A czy wytrzymam w domu? Nie obiecuję!

Kapitan Szczucka milczy. Czeką ją jeszcze trudna rozmowa z babcią chłopca. Staruszka zapewne chce dla wnuka jak najlepiej. Boi się o niego. I z tego strachu popełnia kolejne błędy. Co zrobić, aby spotkali się w pół drogi - ten niegłupi trzynastolatek i siedemdziesięcioletnia kobieta z bogatym życiowym doświadczeniem? Jak trudno wyprostować pokręcone ścieżki. Jak wielkiej do tego potrzeba wiedzy, wiary i cierpliwości.

- Bądź zdrow, chłopcze. Ja też wierzę, że twoi rodzice wrócą do ciebie.

- Lubię panią... nawet - wyznaje Paweł. - Szkoda, że nie mam takiej ciotki. Nie mam żadnej.

„Miłe dziecko. Tak bardzo zagubione, nieszczęśliwe, któremu potrzeba ciepła i spokoju” - myśli Szczucka.

\*

- Kiedy będą pierogi z wiśniami? - pyta Paweł wpatrzony w garnek pełen ziemniaków. - Dawniej robiłaś...

121

- Dawniej było inne życie - wzdycha babcia odlewając wodę. - Mieliśmy dwie pensje i moją emeryturę. Teraz tylko emerytura. Sam wiesz, ile na targu kosztują wiśnie...

- Powiedz-chłopiec cierpliwie kroi koperek. -Czy... czy oni nigdy do nas nie pisali?

Staruszka zastyga z pustym rondlem w dłoni.

- Raz... napisali kartkę... - mówi wolno i niechętnie. -Nie chciałam ci nic mówić... nie wierzyłam, że to zrobią... Potem twoja matka przysłała list przez kobietę, która była z nimi na tej wycieczce.

- Pamiętam. Dlaczego mi nie przeczytałaś tego listu? Babcia grzechocze pokrywkami. Nie lubi takich rozmów.

Chętnie by zbyła wnuka byle czym, ale ta milicj antka prosiła, żeby odpowiadać na jego wszystkie pytania.

- Tylko parę słów... do mnie - mówi, bo coś trzeba powiedzieć. Nie, nie da mu do przeczytania pomiętego świstka w zagranicznej kopercie. Jest jeszcze zbyt mały, nie zrozumie. Ona, choć stara, też nie rozumie. Nigdy się z tym wszystkim nie pogodzi. Wspina się na palce, by zdjąć z półki talerze. „Po co było tę szafkę wieszać tak wysoko? To on, ojciec chłopca. Wszystko robił bezmyślnie, na swój wzrost" - myśli urażona. - Nie nudź, Paweł. Obiad na stole.

Jedzą wspólnie. Od powrotu z Milicyjnej Izby Dziecka znów nastąpiło coś w rodzaju milczącego zawieszenia broni. Paweł dostał własne klucze od mieszkania, babcia obietnicę, że nie będzie znikał na całe noce.



Po posiłku staruszka zmywała, Paweł wyniósł śmieci. Idylla.

Gdyby tylko nie było tak smutno.

122

- Dawno cię nie było - mówi Złotowa z przyganą w głosie. - Już myślałem, że się wycofałeś z interesu.

Siedzą na murku obok starej szopy.

- Złowili mnie - przyznaje się Paweł bez specjalnej skruchy.

- Gliniarze? - Haczyk systematycznie układa gazety w równą stertę.

Paweł kiwa głową.

- Przez taką głupią kompociarę! Wpadłem, a stówki nie zarobiłem, choć obiecała.

Złotowa mierzy go uważnym spojrzeniem.

- Trzymaj się od nich z dala, koleś. To niedobry fach. Może i zarabia się lepiej niż na butelkach i tekturze, ale ja tam wolę się w to nie mieszać. Szybko umierają.

- Kto? Narkomani? Haczyk potakuje skwapliwie.

- Tu, na naszej ulicy dwóch już się przekreśliło. Znaczą... na tamten świat. To parszywa sprawa, narkotyki!

Pewnie, że parszywa. Wystarczy na nich spojrzeć. A zaczyna się tak niewinnie.

Dziela się pieniędzmi sprawiedliwie: ile kto przyniósł, tyle zarobi. Wedle wkładu pracy. Paweł dziś dostał najmniej. Nie ma jeszcze wprawy. I nie lubi wczesnie wstawać, przed śmieciarzami. Ludzie z punktu skupu szanują Złotowe. To widać. Nie ma mowy o żadnej mafii sycylijskiej. Złotowa i Haczyk to solidna firma. Dostarczają towar właściwy, bez zanieczyszczeń. Paweł uczy się rozróżniać

gatunki papieru, tektury. Sortuje stare zapisane zeszyty, książki z oderwanymi okładkami, zaczytane na śmierć przez pokolenia dorosłych i dzieci. Potem jedzą wspólnie obwarzanki z makiem.

123

Z prywatnej piekarni na Targowej. Nigdzie w całej Warszawie nie ma tak smacznych.

- Którego dzisiaj? - pyta Paweł, bo mu się ostatnio pogubiły dni.
- Trzynasty sierpnia - objaśnia Haczyk. - Ale nie piątek, poniedziałek, na szczęście.
- Za dwa tygodnie szkoła! - wzdycha Złotowa. - Jeszcze dwa lata mordęgi, i koniec!
- Jak to: koniec? - dziwi się Paweł. - Nie będziesz się dalej uczył?

Złotowa grzebie patykiem w śmieciach.

- Jak zdam, to pójdę do zawodowej. Mechanika precyzyjna to jest to, koleś. A ty?

Paweł przygryza wargi. Sam jeszcze nie wie. Wcale nie ma ochoty iść we wrześniu do szkoły. Chyba że rodzice wrócą do tego czasu. Bo gdyby nie... boi się nawet myśleć. W klasie znają go wszyscy. Poldzia pierwsza wygada, że został wystawiony do wiatru, będą się z niego śmiać.

- Nie wiem. Najchętniej pojechałbym w Polskę. Gdzieś nad morze... zaciągnąć się do marynarki. Najlepiej wojennej...

Haczyk wybucha gromkim śmiechem. Aż drga mu szyja obsypana złotymi cętkami.

- Naiwny! Do marynarki wojennej przyjmują po maturze! A ty co masz? Szóstą klasę zaliczoną. To nie są czasy Kolumba! Dla dowódców marynarki to ty jesteś zwykły... analfabeta!

Paweł nie obraża się. Nie ma o co. Sam dobrze wie, że to dziecinne mrzonki. Ale chciałby już dorosnąć. I stanowić sam o sobie.

124

- No, to idę - mówi wstając. - Czas na obiad. Jutro nie przyjdę. Ani w czwartek.

- A co to? Dentystka czy rekolekcje? - Złotowa nie lubi dni bez pracy.

- Ani jedno, ani drugie. Powiem wam: muszę być na lotnisku. W każdy wtorek i czwartek.

- Ile ci płacą? - Haczyk kołysze nogą obutą w stary sandał. On nie ma wątpliwości, że chodzi o pieniądze.

Paweł milczy zaskoczony. „I tak nie rozumieją, bo ten wtorek i czwartek to... puste czekanie. Bezproduktywne”.

Odpowiada po chwili:

- Pracuję tam u jednej takiej... bufetowej. Ale nielegalnie.

Złotowa marszczy nos.

- Głupi jesteś! Pewnie cię wykorzystuje. Ale to twoja sprawa. Cześć!

- Cześć!

\* Nie udało się lato tego roku. Jakies takie nietypowe. RaZ upały nie do wytrzymania, to znów ziąb, że i dwa swetry nie wystarczają. Paweł tkwi na wysepce tramwajowej. Chce przejechać tych kilka przystanków. Rano nie wziął wiatrówki i teraz trzęsie się jak galareta. Tramwaj długo nie nadjeżdża. Jezdnią mkną sznury aut. Jedno za drugim, aż w oczach miga. Tłum na wysepce gęstnieje. Ludzie się niecierpliwią. Zapada wczesny wieczór, hula wschodni wiatr. Wreszcie jest\* tramwaj, zatłoczony do niemożliwości. Paweł wkręca

stó jakoś, choć trudno swobodnie odetchnąć. Za to ciepło-Bardzo.  
Chłopiec kiwa się w rytm przyspieszeń i hamowani^

125

Z prywatnej piekarni na Targowej. Nigdzie w całej Warszawie nie ma tak smacznych.

- Którego dzisiaj? - pyta Paweł, bo mu się ostatnio pogubiły dni.
- Trzynasty sierpnia - objaśnia Haczyk. - Ale nie piątek, poniedziałek, na szczęście.
- Za dwa tygodnie szkoła! - wzdycha Złotowa. - Jeszcze dwa lata mordegi, i koniec!
- Jak to: koniec? - dziwi się Paweł. - Nie będziesz się dalej uczył?

Złotowa grzebie patykiem w śmieciach.

- Jak zdam, to pójdę do zawodowej. Mechanika precyzyjna to jest to, koleś. A ty?

Paweł przygryza wargi. Sam jeszcze nie wie. Wcale nie ma ochoty iść we wrześniu do szkoły. Chyba że rodzice wrócą do tego czasu. Bo gdyby nie... boi się nawet myśleć. W klasie znają go wszyscy. Poldzia pierwsza wygada, że został wystawiony do wiatru, będą się z niego śmiać.

- Nie wiem. Najchętniej pojechałbym w Polskę. Gdzieś nad morze... zaciągnąć się do marynarki. Najlepiej wojennej...

Haczyk wybucha gromkim śmiechem. Aż drga mu szyja obsypana złotymi cętkami.

- Naiwny! Do marynarki wojennej przyjmują po maturze! A ty co masz? Szóstą klasę zaliczoną. To nie są czasy Kolumba! Dla dowódców marynarki to ty jesteś zwykły... analfabeta!

Paweł nie obraża się. Nie ma o co. Sam dobrze wie, że to dziecinne mrzonki. Ale chciałby już dorosnąć. I stanowić sam o sobie.

124

- No, to idę - mówi wstając. - Czas na obiad. Jutro nie przyjdę. Ani w czwartek.

- A co to? Dentystka czy rekolekcje? - Złotowa nie lubi dni bez pracy.

- Ani jedno, ani drugie. Powiem wam: muszę być na lotnisku. W każdy wtorek i czwartek.

- Ile ci płacą? - Haczyk kołysze nogą obutą w stary sandał. On nie ma wątpliwości, że chodzi o pieniądze.

Paweł milczy zaskoczony. „I tak nie rozumieją, bo ten wtorek i czwartek to... puste czekanie. Bezproduktywne”.

Odpowiada po chwili:

- Pracuję tam u jednej takiej... bufetowej. Ale nielegalnie.

Złotowa marszczy nos.

- Głupi jesteś! Pewnie cię wykorzystuje. Ale to twoja sprawa. Cześć!

- Cześć!

\*

Nie udało się lato tego roku. Jakieś takie nietypowe. Raz upały nie do wytrzymania, to znów ziąb, że i dwa swetry nie wystarczają. Paweł tkwi na wysepce tramwajowej. Chce przejechać tych kilka przystanków. Rano nie wziął wiatrówki i teraz trzęsie się jak galareta. Tramwaj długo nie nadjeżdża. Jezdnią mkną sznury aut. Jedno za drugim, aż w oczach miga. Tłum na wysepce gęstnieje. Ludzie się niecierpliwią. Zapada wczesny wieczór, hula wschodni wiatr. Wreszcie jest tramwaj, zatłoczony do niemożliwości. Paweł wkręca

się jakoś, choć trudno swobodnie odetchnąć. Za to ciepło. Bardzo. Chłopiec kiwa się w rytm przyspieszeń i hamowania

125

wozu. Ludzie przeciskają się do wyjścia. Mignęła znajoma twarz aniołka. Złote kędziory, błękitne oczka porcelanowej lalki.

- Mrówa?

Zagadnięty kładzie palec na ustach. Poznał Pawła, ale nie zamierza z nim gawędzić. On tu pracuje. W takim tłoku „zarabia” się najlepiej. A złotowłosa Mróweczka lubi pieniądze. Cudze.

Paweł obserwuje go z mieszanymi uczuciami. Przecież nie wrzaśnie: „Złodziej! Ludzie, wołajcie milicję!” Może Mrówa jest takim sobie, zwyczajnym pasażerem? Ale nie... widać, że coś kombinuje. Kręci się koło jakiejś kobiety. Paweł widzi torbę na ramieniu, ładny kształt głowy i włosy... tak, takie włosy miała mama. Piękne, bujne, koloru dojrzewającej pszenicy. Uczesanie też podobne... Nie, nie wolno dopuścić, żeby Mrówa obłowił się kosztem osoby, która mogłaby być jego, Pawła, matką.

Nie spuszczać oka z dyndającej torby Paweł przesuwa się do przodu. Nie jest to takie łatwe. Mrówa jest szybszy, sprawniejszy. No, i jego niezwykła uroda jedna mu przychylna współpasażerów. Nikt nie wrzaśnie oburzony, gdy potrąci go anioł. Ot co.

Kobieta też się przesuwa do przodu. A granatowa torba na pasku za nią. Kto będzie szybszy - Paweł czy Mrówa? Tramwaj zatrzymuje się na przystanku. Paweł dokonuje cudów zręczności: nurkuje pomiędzy nogami, pracuje łokciami, jednego opornego grubasa musiał kopnąć w łydkę, żeby ruszył z miejsca ogromną masę cielską.

Już! Przy granatowej torbie ze srebrnym zapięciem zjawili się równocześnie.

- Zostaw! - mruczy Paweł do ucha cherubinka. - To moja... ciocia!

Aniołek jest wyraźnie wściekły. Błyska tym swoim chabrowym oczkiem i znika nagle, jakby się zapadł pod ziemię. Pawłowi nie pozostaje nic innego, jak tylko wysiąść wraz z panią i jej granatową torbą. Być może Mrówa obserwuje go z okien pojazdu. „Gdyby wiedział, że go oszukałem... no, jego ferajna mogłaby mi nieźle dosolić! - myśli przyspieszając kroku. - Trzeba ją o coś zagadnąć, na wszelki wypadek!”

- Przepraszam... czy pani wie, gdzie tu jest ulica Krótka? Kobieta przystaje.

- Krótka? Nie słyszałam o takiej ulicy.

Tramwaj, jak na złość, ma czerwone światło. Stoi i stoi, a sekundy rozciągają się niczym guma do żucia. Kobieta niecierpliwi się, robi krok do przodu. Paweł zabiega jej drogę.

- Ale... to musi być gdzieś tu blisko! Naprawdę nie wie pani?

Uff! Zmieniło się światło. Tramwaj ostro rusza z przystanku. Czy tylko wydawało się Pawłowi, że dostrzegł buzię aniołka z nosem rozplaszczonym na szybie?

- Przepraszam - mówi wolno. - Zapytam kogo innego. Granatowa torba cała i nienaruszona kołysze się w rytm

kroków nieznajomej. Znika w drzwiach sklepu. „Czy to się nazywa dobry uczynek?” - myśli Paweł biegnąc.

W mieszkaniu ktoś jest. Już za drzwiami słyszy tubalny głos sąsiadki tłumaczącej coś z zapalem. Paweł nie lubi jej. Zbyt jawnie okazuje mu swoją niechęć.

- Stara plotkara! - mruczy, delikatnie manipulując kluczem. Chce nie zauważony przemknąć do swojego pokoiku.

Zdejmując w przedpokoju buty, niechcący słyszy urywek rozmowy.

- To jest szkoła z internatem. Mój siostrzeniec tam chodzi. Też trudny chłopak.

- Czy ja wiem? - zastanawia się babcia. Szczękają filiżanki.

- Przecież pani nie da sobie z nim rady! Chłopiec bez ojca i matki potrzebuje silnej ręki. Jak go pani wychowa? Na chuligana? Dwa razy na milicji, za trzecim włamie się do sklepu albo i do czyjego mieszkania...

Paweł zastyga z tenisówką w dłoni. Czuje pulsowanie krwi nad lewym okiem. Tak zaczyna się uporczywy ból głowy, który nęka go od czasu do czasu. Pamiątka po szpitalu. Przedtem nigdy nie przytrafiało mu się niepodobnego. „Czy ona mówi o mnie? Mnie chce oddać do internatu? Czy to ja mam napaść na czyjeś mieszkanie? Dlaczego?”

- Za dwa tygodnie szkoła - mówi babcia. - Zupełnie siły tracę. Nie mogę jeść ani spać...

- Załatwić trzeba sanatorium. Przez ubezpieczalnię. Odpocznie pani przez miesiąc albo i dłużej.

- Jakże to tak? - martwi się babcia. - A co z Pawłem?

- Przecież mówię, że trzeba go oddać do internatu. Chce pani, pomogę załatwić. Tylko że to już ostatni dzwonek!

Paweł dłużej nie słucha. Przemyka na palcach przez przedpokój, cichutko otwiera, a potem zamyka drzwi swojej samotni. Siada na tapczanie. „Nie dam się! - decyduje szybko. - Nie pójdę do żadnego internatu! Tu jest mój dom, tu wróci mama i tatuś. Będę go dla nich strzegł jak oka w głowie! Tylko że... - myśli są skłębione, szybkie, niejasne. - Ona ma prawo, babcia. Jak mówiła kapitan Szczucka, jest



moją jedyną opiekunką. Może zrobić, co zechce... A figę! -podnieca się chłopiec. - Figę z makiem! - Zrywa się, lecz za chwilę ponownie przysiada. - Byle tylko nie popełnić błędu, nie zdradzić się, że wiem..."

Ostrożnie, w skarpetkach, przekrada się do przedpokoju. Głos sąsiadki i otwarty telewizor zagłuszają trzaski niezbyt dokładnie dopasowanej klepki. Chłopiec delikatnie otwiera wyjściowe drzwi i zaraz głośno je zatrzaskuje. Hałasuje torbą, ciska pod ścianę tenisówki. Słoń by się obudził.

Babcia wygląda z pokoju.

- To ty, Paweł?

- Tak.

- To ja pójde - mówi sąsiadka. - Czekam na odpowiedź do jutra. Po południu będzie u mnie siostra.

- Tak... tak - mruczy babcia ustawiając na tacy brudne filiżanki.

Zostają sami. Paweł jakby nigdy nic zasiada przed telewizorem. Tępo wpatruje się w migający ekran. Nawet nie wie, co to za program. W pewnym momencie uderza go jakaś zmiana. Czegoś chyba tu brak. No tak, na stoliku obok stało w drewnianej ramce zdjęcie rodziców z pobytu w Bułgarii. Dwie wesołe, opalone twarze pod słomkowymi kapeluszami. Bardzo lubili to zdjęcie. A teraz go nie ma.

- Babciu, gdzie ta fotografia?

- Jaka? - staruszka szybko wychodzi do kuchni. Paweł za nią.

- Ta, która stała na stoliku. Schowałaś ją?

Babcia odwraca się gwałtownie. Jej pomarszczona twarz jest zła, drobne dłonie zaciskają się na blacie stołu.

- Wyrzuciłam! Nie chcę go widzieć! Nigdy!

129

Paweł martwieje. Nie czuje złości, tylko tępy ból. Kuchnia zaludnia się wspomnieniami: mama wyciera talerze, ma fartuszek z falbanką w kratkę. Ojciec wyjmuje z lodówki dobrze oziębioną coca-cole, nalewa do szklanek. Szkło pokrywa się srebrzystym nalotem chłodu. Mówią o sprawach codziennego dnia, śmieją się, żartują... Kiedy to było? Wczoraj?

- Z albumu też wyrzuciłaś?

Babcia ociera chustką oczy. Łzy na zamówienie?

- Podarłam. I spaliłam! - szloch wstrząsa jej starczą piersią. Paweł wycofuje się do przedpokoju. Stoi pod wieszakiem, na którym od dawna nie wiszą żadne męskie okrycia. Myśli galopują złe i bezsensowne. Wolno wchodzi do pokoju rodziców. Nie był tu od ich wyjazdu. Nie chciał. A dziś? Dziś jest spokojny. Ale jest to spokój przedsionka do piekła. Cisza przed burzą. Pozorna nieruchomość morza tuż przed sztormem.

Chłopiec otwiera szafę. Wiszą tylko rzeczy mamy: sukienki, płaszcz. Dwie na głucho zamknięte walizki, które stały na pawlaczu, teraz podpierają wystygły kaloryfer. „Więc skreśliła go z naszego domu? Jakim prawem? Dlaczego dorosłym wolno wszystko, nawet wymazać czyjaś obecność? Przecież ja, jego syn, mam też coś do powiedzenia! Moja miłość się nie zmieniła. Kocham go bardziej, niż kiedy tu był, spał, jadł... Nienawidzę jej! Nienawidzę!”

Wraca do swojej dziupli. Włącza adapter. Myśli wolno i precyzyjnie. Plan jest prosty. Można go od razu wprowadzić w czyn.

Ale nie należy się spieszyć. I dobrze, bardzo dokładnie zatrzeć za sobą wszystkie ślady.

\*

Świta. Kwadrat okna wylania się z nocnego mroku. Zegarek wskazuje godzinę piątą dwadzieścia. Blade, prawie jesienne promienie wylazą zza skołtunionego czuba topoli. Drzewo usycha. Z jednej strony gałęzie są nagie, bezlistne. Miejskie drzewo. Nie pierwsze i nie ostatnie. „Dobrze, że nie pada” - myśli Paweł. Jest nerwowy, niespokojny. Dokładnie sprawdza wnętrze przestronnego chlebaka: latarka ze świeżą baterią, zapalki, świeca, dwa swetry, oba grube, ciepłe. Bielizna na zmianę. „Aha, mydło!” Cichutko, na palcach, wchodzi do łazienki. Szczotka, pasta do zębów. To wszystko. Tym razem nie ucieka na parę dni. Odchodzi, ponieważ chciano mu zabrać to, co miał najdroższego: wiarę i miłość do człowieka. Spokój i bezpieczeństwo...

Pieniądze na razie ma. Obrzuca pokój spojrzeniem, w którym jest żal i złość, obawa przed nieznanym i nienawiść. Najgorsze, że nie przestawszy kochać jednych, nauczył się nienawidzić drugich.

Wychodzi ostrożnie i dokładnie zamyka drzwi na klucz. Te klucze to jedyny łącznik z dawnym światem. To możliwość powrotu do matki i ojca, ciepła domowego ogniska. Że tu wróci, nie ma najmniejszych wątpliwości. To ich dom. Rodziców.

Rzut oka na wizytówkę: kawałek złotawego metalu, a na nim nazwisko, które noszą wszyscy troje: ojciec, matka i syn.

\*

Na lotnisku dziwna, niecodzienna atmosfera. Wyczuwa ją siódmym zmysłem.

- Co się dzieje? - pyta Paweł znajomego bagażowego.
- Nie twój interes, chłopie! - odburkuje mało uprzejmie.

Paweł niepokoi się. Czeka na Madryt. Dziś, zgodnie z obietnicą, kapitan Lenkiewicz powinien przywieźć wiadomość z konsulatu.

Wopiści i obsługa szepczą o czymś po kątach. Pasażerowie w niczym się nie orientują. Dla nich jest to zwykła rutynowa odprawa paszportowo-bagażowa.

- Coś z Madrytem nie w porządku? - Paweł zagaduje mechanika z rudawym wąsem.

Ten nerwowo zaciera palce.

- Nie. Tylko Holender ma kłopoty z lądowaniem. Nie może wypuścić podwozia. Nikomu ani słowa na ten temat. Nikt z pasażerów nie ma prawa zorientować się, że na lotnisku dzieje się coś niedobrego.

- W porządku. Nie jestem gadułą. Zacięło się coś?

- No, właśnie. Pełne pogotowie na pasie startowym. Będzie lądował awaryjnie.

Paweł sprawdza czas. Dziesiąta. Do przylotu Madrytu prawie półtorej godziny. Wbiega na półpiętro. U wejścia do restauracji zderza się z panią Lusią.

- Dzień dobry. Nie potrzebuje pani pomocnika? Pozmywam filiżanki, kufle...

- A, to ty, Piotrusiu? Teraz nie mam głowy, wpadnij później. Zośka znów musi wcześniej wyjść.

- Na imię mam Paweł - prostuje cierpliwie.

- Tak, pamiętam! - Pani Lusie zbiega na dół po krętych schodach.

Paweł przez restaurację wychodzi na taras widokowy. Ludzi sporo, ale nikt nic nie wie o wiszącym wciąż w powietrzu Holendrze,

któremu coś tam gdzieś się zablokowało. Czekają na swoich bliskich z Belgradu i Sofii. Tylko że teraz

132

żaden samolot nie może lądować ani startować. Przestrzeń powietrzna jest zarezerwowana wyłącznie dla Holendra. Żeby mu maksymalnie ułatwić zadanie.

Na czystym niebie brzęczy ważka. Małeńki punkt. W ważce około stu osób. Nic nie wiedzą, niczego nie przeczuwają. Stewardesa, uśmiechnięta, ani mrugnie umalowanym okiem. „Za chwilę wylądujemy na lotnisku w Warszawie, ladies and gentlemen, proszę zapiąć pasy i nie palić aż do wyłączenia silników i całkowitego zatrzymania się samolotu. Jesteście państwo zawsze mile widziani na pokładach Królewskich Holenderskich Linii Lotniczych...” Tak to mniej więcej wygląda tam, w górze. A tutaj? Paweł widzi czerwone wozy strażackie. Jadą tak jakoś z boku, ukradkiem, bez syren. Cicho i szybko. Żeby nie robić paniki.

Nie, stąd się niczego nie zobaczy. Awaryjne lądowanie nastąpi zapewne gdzieś z dala od dworca lotniczego.

Paweł zbiega na dół. Kręci się, chciałby coś więcej wiedzieć o Holendrze. Niestety, mechanika z wąsami nigdzie nie ma. Za to przed dworzec zajeżdżają autokary „Orbisu”. Wysiadają Japończycy obwieszeni aparatami fotograficznymi. Z brzucha potężnego autobusu wynosi się kufry, walizy, kraciaste torby.

- Proszę zabrać pasażerów do restauracji - mówi cicho przedstawiciel LOT-u do pilotki. - Odlot czarteru do Londynu opóźniony.

Za chwilę dziewczyna powtarza tę wiadomość po angielsku. Japończycy uśmiechają się grzecznie. Coś tam do siebie mówią w ćwierkającym języku, którego nikt nie rozumie.

Paweł przysiada na murku. Ciężki chlebak daje mu się we znaki. I chętnie by coś zjadł. Liczył trochę na darmowy

133

posiłek u pani Lusi. A czas ucieka. Z sali przylotów odzywa się głos z megafonu. Za daleko, by słyszeć. Chłopiec zrywa się, biegnie.

- Wylądował samolot KLM z Amsterdamu! - śpiewa radośnie kobiecy głos.

„Więc udało się! - cieszy się Paweł w duchu. - Usiadł Holender! Nasi mu pomogli, podprowadzili radiem jak po sznurku, zabezpieczyli teren!”

Wopiści, obsługa, nawet milicjanci mają uśmiechnięte twarze. Wszyscy cieszą się, że Holender cało i zdrowo siedzi na awaryjnym pasie.

Za chwilę ten sam kobiecy głos już wolno i normalnie powtarza:

- Wylądował samolot z Madrytu, rejs trzysta dwa.

Paweł czuje, jak mu ciarki przebiegają po grzbiecie.

Czas dłuży się straszliwie. Odprawa celna trwa w nieskończoność. Jakoś nie wychodzi żaden pilot, żadna stewardesa. Wreszcie są! Trzy dziewczyny w mundurkach i piloci. Blondyn z długimi baczkami i przystojny, starszy szatyn.

- Przepraszam! - Paweł rzuca się im na spotkanie. - Czy nie widzieli panowie kapitana Lenkiewicza?

Stewardesa uśmiecha się do Pawła. On też ją poznaje. To Irena. Często lata na tej linii.

- Robert nie był z nami w Madrycie. Dlaczego pytasz?

- Bo... umówiłem się tu z nim dzisiaj. Powiedział, że przyleci z Hiszpanii.

- U nas dość często bywają zmiany - tłumaczy blondyn z baczkami. - Robert Lenkiewicz poleciał do Montrealu. Tak to bywa, chłopcze.

Irena żegna go uroczym uśmiechem. Zawodowe skrzy-

134

wienie kącików warg czy rzeczywista sympatia? Paweł nie wie. I nic go to w tej chwili nie obchodzi. Wydaje mu się, jakby zawalił się cały świat. Nie przygląda się wychodzącym pasażerom. Nie szuka twarzy, których nie znajdzie nawet na rodzinnych fotografiach. Jest całkiem sam i tęskni.

Zapomniał o bufecie, o pani Lusi, brudnych kuflach. Ma dość Holendrów i Hiszpanów. Niech się cieszą, piją szampana za pomyślnie lądowanie. Ich sprawa.

Paweł sunie noga za nogą środkiem jezdni. Nie reaguje na klakson taksówki. Nie widzi wścieklej twarzy kierowcy. Nic nie widzi i nic nie słyszy.

\*

To był dźwięk, jakiego nie znał. Ktoś najwyraźniej próbował otworzyć furtkę. Ciche głosy za ogrodzeniem. Paweł obudził się zalekniony. Kto w nocy buszuje po działkach? Złodzieje? W nikłym świetle latarki błyszczą żółte oczy Maćka. Kot jest zły, że mu nie dają spać. Maciek od trzech dni nie opuszcza Pawła. Śpi w nogach łóżka, z ogonem w pyszczku.

- Mamy nocnych gości, Maciek - mówi Paweł wciągając spodnie. Wzrokiem szuka siekiery. Jest na miejscu. W kącie. Paweł uważa ją za osobistą broń.

Ktoś przeskoczył furtkę. Ciche kroki stają się głośniejsze. Za przymkniętą okiennicą czai się mrok i strach. Czyjaś niecierpliwa dłoń szarpie klamkę.

- Zamknięte - szepcze jakiś głos tam, na zewnątrz.
- A co? Myślałeś, że cię tu będą oczekiwać z bukietem w ręku? - drugi głos jest śmielszy.

Paweł ściska w jednej ręce zgaszoną latarkę, a w drugiej siekiere.

135

Trzask. Zamek w drzwiach puszcza. Na tle czarnej sylwetki gruszy dwa cienie. Nie, trzy.

Paweł z determinacją rzuca strumień światła wprost w oczy przybyszów.

- Cholera! — wrzeszczy histerycznie jeden z nich. - Tu ktoś jest!

A jest, jest. Jeden przeciwko trzem. Ale tamci jeszcze

o tym nie wiedzą. Złapani w smugę światła odruchowo zasłaniają dłońmi oczy. „Chłopaki! - Paweł denerwuje się. Ręka z latarką drży. - Niewiele ode mnie starsi. A może wcale". Sekundy upływają. Tamci zorientowali się już, że promień światła jest tylko jeden.

- Rzuć latarkę! - woła ostry głos.

Paweł nie odzywa się. Dłoń uzbrojona w siekiere jakby była z kamienia. Przecież nie ma zamiaru nikogo zabić. Najwyżej ogłuszyć. W obronie własnej...

W ciemnościach następują jakieś szepty, przetasowania. Jeszcze kilka sekund, szelest kroków, rozbiegane cienie i...

- Stój spokojnie! — szepce mu do ucha świszczący głos.

1 szyję dusi mocny chwyt. - Mam go! Już ani drgnie! -raportuje pozostałym.

Czyjaś ręka odbiera latarkę. Siekiera sama spada ze stukotem na ziemię. Koniec obrony.



- Puszczaj! - charczy Paweł z trudem łapiąc oddech. Chwył nieco zelżał. - Złodzieju!

Najwyższy z całej trójki śmieje się.

- Twoje łachy nie są nam potrzebne!

- Tylko co? - Bicie serca uspokaja się. Paweł już się nie boi.

136

- Chata, przyjacielu. Musimy tu pomieszkać.

„Tacy sami jak ja?” - zastanawia się oddychając głęboko. Już nikt go nie trzyma. Przestał być groźny.

- Jesteście na gigancie? - pyta w miarę spokojnie.

- Coś w tym rodzaju-odpowiada głos z dna ciemności.-Jest tu jakaś świeca?

- Jest na stoliku. Na prawo...

- Dzięki, przyjacielu.

Słaby ogarek nie rozświetla wnętrza. Dwie głowy pochylają się nad Pawłem.

- Jesteś właścicielem tej budy?

Paweł waha się. „Co powiedzieć? Prawdę? Czy skłamać?”

- Nie całkiem. Ale śpię tu za zgodą właściciela. Pomagam mu.

- Przyjdzie rano? - to ten najwyższy. Z czubem dziwnie nastroszonych włosów.

- Tak - odpowiada Paweł bez zajknięcia - koło dziesiątej.

Przybysze rozlokowują się. Dwóch jest ruchliwych, ciekawych wnętrza. Trzeci wygląda, jakby spał.

- Masz co do żarcia? - pyta przybysz o silnych, zbyt długich ramionach.

Paweł przecząco kręci głową. Nie wierzą mu. Rozbebe-szają chlebak.

- Facet ma dwa swetry, a Długi ani jednego! - cieszy się ten z czubem. -Dasz, przyjacielu, jeden naszemu kumplowi. On jest teraz spokojny, bo rąbnął sobie dawkę. Ale zimno nim trzęsie, widzisz?

Paweł widzi. Trzeci chłopak nie odezwał się dotąd ani

137

słowem. Odziany w coś na kształt płóciennego kombinezonu siedzi na podłodze.

- Narkoman? - Paweł czuje jakiś podświadomy lęk. I jednocześnie obrzydzenie.

- Nie zadawaj głupich pytań! - Czub jest wyraźnie znudzony. Zdaje się przewodzić tej dziwacznej grupie.

- O.K. - Paweł udaje, że go to niewiele obchodzi. Ze spokojem patrzy, jak przykrywają narkomana jego mohero-wym pulowerem. - Rano musicie stąd odejść - mówi

twardo.

- Nie ty będziesz o tym decydował! - długoręki wymierzył szybki, mocny cios.

Pawłowi wydaje się, że widzi dwa księżycy. Dotyka nosa. Ciepło i wilgotno.

Łyka łyka i krew. Ukradkiem ociera puchnącą wargę w róg prześcieradła. „Za co? - myśli, choć nikt mu na to pytanie nie odpowie. - Pewnie sami nie wiedzą. Co może się więcej zdarzyć?”

- Zostaw go, Gacek! - Czub nie lubi widoku krwi. - On już nie będzie się stawiał! Prawda, człowieczku?

Paweł czuje zimną wściekłość. Jednocześnie rozum mówi mu, by się opanował. Jest sam przeciwko trzem. No, prawdę mówiąc, dwóm. Narkoman śpi lub umarł. Raczej śpi.

- Jestem tu za zgodą właściciela - słowa wydobywają się z trudem z opuchniętych ust. - To gliniarz.

Czub zastyga z dłonią na ćwiartce chleba, którą wyjął z własnych zapasów.

- Milicjant? Tutaj?

- Tak. To są działki lotników. Ale na Okęciu pracują też milicjanci. To granica państwa.

138

Mały, zwinny, o pięści ciężkiej jak młot, przyskakuje znów do Pawła.

- Powiedziałem, żebyś go zostawił, Gacek! - Czub jak się zdenerwuje, pieje. Widać przechodzi mutację. - To, co on mówi, jest prawdopodobne. Jadłeś coś?

Przejsie od bicia do karmienia jest zbyt szybkie jak na gust Pawła. Ale chętnie by coś zjadł. O ile spuchnięta warga pozwoli.

- Niewiele. Gliniarz nie trzyma tu zapasów. A mnie się właśnie skończyła forsa.

- Masz! - Czub podaje mu skibkę chleba z jakimiś konserwami rybnymi. - My jeszcze nie głodujemy.

- Ty co? - denerwuje się ruchliwy Gacek. - Będziesz karmił małego gliniarza?

Czub potakuje głową. W nikłym świetle ogarka widać sztywne od lakieru czy cukru pasemka włosów przypominające dorodną trzcinę.

- Też człowiek. Udzielił nam gościny. Z ludźmi trzeba łagodnie, Gacek. Po co zaraz walić w nos? Tyle czasu poświęciłem na twoje wychowanie, a ty wciąż to samo: pięść! Masz kurzy mózdzek, przyjacielu.

- Wystarczy! - denerwuje się Gacek. - Na uniwersytet się nie wybieram.

Paweł wstaje ostrożnie. Chce umoczyć ręcznik w zimnej wodzie.

- Dokąd?

- Twarz obmyć. Nie widzisz, co się dzieje z moim nosem.' - i do Czuba: - A ten twój Gacek zamiast w głowie ma cały rozumek w pięści. Kiedy ją otworzy - rozumek ucieknie! -Paweł czuje ulgę pod wpływem kompresu. „Byle się nie dać

139

przestraszyć tym zbirom -myśli przechylając głowę do tyłu. - Niech nie sądzą, że trafili na tchórza, który trzęsie portkami przed byle jakim prymitywem".

Czub docenił dowcip. Przetykając kęs chleba ze szprotka-mi wyciąga do Pawła rękę.

- Poznajmy się. Jestem Konopacki.

Paweł aż się zakrztusił. „Jak to? Przedstawia się nazwiskiem? To coś nowego w branży punków, popersów, hipisów i całej tej ludzkiej społeczności, o której wie od niedawna.

- Kono...packi?

- Tak. Józef Maria dwojga imion Konopacki. Moja prababcia była z domu Koniecpolska. Mówi ci to coś?

Paweł podaje dłoń. Drugą ze zmoczonym ręcznikiem przyciska do nosa, który podwaja swoją objętość.

- Brent. Paweł. Ale... dlaczego się tak dziwnie zachowujesz? Co robisz w tym... towarzystwie?

Józef Maria ociera usta powalane oliwą.

- Demokracja pozwala dobierać sobie towarzystwo, jakie mi w danej chwili odpowiada - śmieje się. Czub sterczy jak nastroszony jeź. - Ten tam, który śpi, a raczej marzy pod twoim swetrem, jest nieszczęsnym dzieckiem dwudziestego wieku. Wpadł w narkomanię. I myśli tylko o tym, żeby sobie władować nową działkę.

- Akceptujesz to?

Konopacki zanurza kubek w dzbanku. Pije długo i wolno.

- Muszę uważać na gardło. Od dzieciństwa miałem skłonności do angin. Czy akceptuję „kompot”? Nie, ale muszę się zająć narkomanem. Przylepił się, a to zobowiązuje. Więc go niańczę.

140

- A... Gacek? - Paweł ma głos, jakby był zakatarzony. I wargę sztywną, obcą.

- Prymityw. Pożyteczny, wierny i przebiegły. A także silny. Razem tworzymy ciekawy eksperyment..

Paweł chętnie by położył się spać, ale jedyne łóżko zdążył zająć Gacek. Brudne sandały wpakował w sam środek poduszki.

- To nieprawda, co przedtem powiedziałem - Paweł szepcze nachylony nad Czubem - ta działka należy do pewnego emeryta, który czterdzieści lat pracował na lotnisku. Jest ciężko chory. Doglądam tu wszystkiego i... tak się składa, że ukrywam się przed milicją.

- To ładnie - cieszy się Józef Maria Konopacki. - Ale Gackowi ani słowa. My też stronimy od... stróżów prawa. Słuchaj, dałoby się tu pomieszkać parę dni?

Paweł znów przykłada kompres.

- Powiem szczerze: rano będzie tu mnóstwo ludzi, dział-kowiczów, właścicieli sąsiednich ogródków. Zaraz podniosą alarm. Szczególnie jak zobaczą... twoje uczesanie.

Józef Maria dwojga imion przygląda szuwary nad uszami.

- To tylko protest! - mówi. - Taka wojna na włosy. Między punkami, do których ja należę, a popersami. Ale tak naprawdę to jest walka dwóch ideologii: my z założenia jesteśmy biedni, uważamy się za coś gorszego od reszty ludzi. Dla popersów, tych elegancików strzyżonych w grzywkę, najważniejszy jest szmal, forsa. A dla nas wolność. Od pieniędzy też. W Anglii punki żyją wyłącznie z zasiłków dla bezrobotnych. My nie jesteśmy z natury agresywni, ale też i nie pacyfiści jak kiedyś hipisi. Oni, bici, nie bronili się. Punk

141

bije, jeśli mu robią krzywdę. My niczego nie chcemy, sami siebie nazywamy „śmieciami”. Świat jest zły, ale nie chcemy go zmieniać. Zmieni się i bez nas...

- Dlaczego? Ja bym chciał! - Paweł usiłuje zrozumieć czubatego piętnastolatka. - Ja bym wiele rzeczy zmienił, gdybym miał władzę.

- Na przykład co?

- Nakazałbym wszystkim rodzicom, aby nie porzucali... no, żeby opiekowali się swoimi dziećmi aż do dorosłości.

- Bez sensu! - Józef Maria krzywi się. - Te nieszczęsne dzieci nigdy nie zaznałyby poczucia swobody! Zostałyby dziećmi nawet po czterdziestce. Trzeba się hartować, Brent. Świat nie jest nic wart. Napluć na to!

Pawła drażni pochrapywanie dobiegające od strony łóżka.

- Gdyby wszyscy pluli na wszystko, to kto by pracował? Skąd wzięłybyś chleb i konserwy? Kto zrobiłby puszki z blachy? Kto by złowił ryby?

Józef Maria Konopacki pogardliwie macha ręką.

\_ Nieważne!

Paweł ma dość rozmowy, z której nic nie wynika.

~ Mówisz jedno, a postępujesz inaczej. Gdyby ci było naprawdę wszystko jedno, nie tachałbyś ze sobą tego... Czy On na pewno żyje? - pyta wskazując brodą leżącego narkomana.

- Jeszcze tak. Ale zapewne niedługo pociągnie. \_ Nie żal mu rodziców? Matki?

Czub wzrusza ramionami.

- W tym stadium, w jakim się znajduje, człowiek pozbywa się jakichkolwiek uczuć. Wątpię, żeby Długi w ogóle

142

wiedział, co robi teraz jego ojciec czy matka. Obchodzi go tylko strzykawka. I kolorowe sny.

- Próbowaleś tego kiedyś? - Paweł z niepokojem obserwuje leżącego pod drzwiami. Ani drgnie.

- Nie. Mam to gdzieś! Nie zamierzam żyć przy pomocy sztucznych podniet. To tchórzostwo. I dziecinada. Ale nie zostawię go. Tamtego też.

- Zastanawiam się... - Paweł mruży oczy. Ogarek dogasa. - Myślę, że ta polska odmiana punków czy popersów... tych wszystkich killerów, faszystów nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek ideologią. Tak myślę.

Konopacki ziewa, szeroko otwierając usta.

- Jest tu gdzieś jakiś koc? Zimno się zrobiło.

Paweł wskazuje na skołtunione łóżko. Czub podchodzi i siłą ściąga na ziemię chrapiącego Gacka.

- Co? Co jest? - mruczy rozbudzony. - Zwiewamy?

- Pośpisz trochę na podłodze - decyduje Czub łaskawie. - My z Brentem położymy się tu na waleta.

Gacek godzi się potulnie. Narkoman nie ma nic do powiedzenia. Kto wie, czy w ogóle umie jeszcze mówić.

Zasypiają okryci kocem w kratę. Paweł żałuje, że nie ma Maćka, który wyniósł się natychmiast po wkroczeniu do altany nieproszonych gości. Za oknem gęstnieje noc. Płyną zapachy mięty, rezedy i maciejki. Jest cicho, nawet gałązka

nie drgnie.

\*

Słońce wpada przez otwarty lufcik zwisający na jednym zawiasie. Odbija się od zakurzonej szyby, razi w oczy. Pawła budzi suchość opuchniętych ust. Powieki nie chcą się roz-kleić. Trzeba je przetrzeć kułakiem. „Co to? Gdzie Czub,

143

gdzie Gacek? Czyżby to wszystko było tylko snem?" Rozgląda się po wnętrzu altanki i złudzenia pierzchają. Narkoman tkwi tam, gdzie go położono: pod drzwiami. Ktoś wychodząc litościwie odsunął mu nogi, żeby nie podeptać. Po Czubie i Gacku pozostał rozbebeszony worek płócienny. Taki sam, jaki noszą marynarze. Paweł przygląda się leżącemu. Oba przedramiona gęsto pokryte śladami nakłuć. Ciało, białe, ledwie okrywa kości. Twarz spuchnięta, pod oczyma sine obwódki. Wrak człowieka. Chłopiec otrząsa się ze wstrętu i grozy. „Jeśli on tu zostanie, będzie nocował w ogródku!" - postanawia.



Wstaje czując ssanie w żołądku. Wychodząc, ostrożnie omija leżącego, który zbudził się z letargicznego snu i coś bełkoce.

W ogródku jest wspaniałe powietrze. Zakwitły ogromne łososiowe gladiolusy. Różnokolorowe cynie stoją sztywno jak żołnierze na paradzie. W gałęziach starej gruszy pogwizduje ptak. Paweł oddycha głęboko. Świat jest tak piękny, tak mogłoby być wspaniałe, gdyby go nie psuli ci wszyscy... naokoło. Nie, nie myśli o sąsiadach w pocie czoła uprawiających grządki. Raczej o tych, którzy tego nie dostrzegają. Obmacuje nos i wargę. Dobrze, że w altance nie ma lustra. Przestraszyłby się z pewnością widoku własnej twarzy.

W najbardziej zacienionym miejscu ogrodu, pośród kępy fioletowych floksów, leży na leżaku Konopacki. Leżak zawsze tam stał. Stary Ruszczyk lubił tu odpoczywać. A teraz wszystko się zmieniło.

- Salve, Caesar! - Józef Maria unosi dłoń gestem rzymskiego gladiatora.

Pomieszanie z poplątaniem. Paweł parsknąłby głośno, gdyby mu było wesoło. Dopiero w jaskrawym świetle poran-

144

ka widać całą śmieszność prawnika Koniecpolskich. Czub włosów, usztywnionych białkiem lub cukrem, pomalowany jest na różowo.

- Kolorystycznie zgadzam się z tą kępą floksów! - śmieje się Józef Maria.

- Masz poczucie humoru! - złości się Paweł. Chciał tu sobie posiedzieć samotnie, przemyśleć wiele spraw.

- Mam. Jestem myślącą trzcina.

- Powiedz - Paweł wciąż czuje ssanie w żołądku, ale nie ma ochoty na rybne konserwy. - Czy twoi starzy mfeszkają w Warszawie?

- Nie. W Krakowie. W starym domu pamiętającym czasy Jego Wysokości Franciszka Józefa. Po nim otrzymałem imię. Wiesz, kto to był?

Paweł nie wie. Może coś słyszał, ale nie pamięta.

- Nie chcesz z nimi mieszkać? A mama? Twoja mama?

- Mama jest wspaniała. Pracuje w bibliotece.

Paweł stoi ze spuszczoną głową. Nic a nic nie rozumie tego różowego Czuba.

- Zgrywasz się?

Józef Maria dwojga imion przeciąga się na leżaku. Gdyby nie przedziwna fryzura i kurz z polskich dróg, byłby całkiem ładnym chłopcem.

- Odgadłeś. To mi potrzebne dla zdrowia psychicznego. Nie martw się, Brent. Dziś ruszamy dalej w drogę. Tylko poczekamy na Gacka, który załatwia Długiemu to, co mu potrzebne. Długiego nie można wypuścić samego, bo jest nieodpowiedzialny. O, widzisz? Wylazł. Zaraz zacznie wyć.

Paweł ogląda się przestraszony.

- Wyć?

145

- Człowiek w głodzie narkotycznym zachowuje się strasznie.

- Niech lepiej tu nie wyje! Zlecą się sąsiedzi i zawołają milicję.

Konopacki niechętnie unosi się z leżaka.

- Chodź, spróbujemy go czymś zająć.

Długi chwieje się jak trzcina na wietrze. Oczy ma rozszerzone, ciemne, przepastne. Nic nie mówi.

- Chcesz herbaty? - pyta Paweł ze współczuciem. Długi macha ręką. Ruchy ma zwolnione, nieskoordynowane.
- Był uczniem stolarskim. Potem wpadł w nałóg. Koledzy namówili. Spróbował. Teraz jest uzależniony. Koniec. Śmierć. - Konopacki sadza Długoego na progu. - Zaraz wróci Gacek - mówi jak do dziecka.
- Wytrzymaj!
- Niech naprawi okno! - radzi Paweł. - Wypaczyło się i nie można zamknąć. Jakby przyszła burza... - milknie, bo koło furtki coś trzasnęło. Paweł wypada na ścieżkę.
- Myślałem, że ktoś się tu zakradł - mówi sąsiad Rusz-czyka, emeryt.
- Nie! - śmieje się Paweł, choć warga ciągle jeszcze boli. - Nie ma żadnych złodziei.
- A tobie co? Nos ci spuchł...
- Osa mnie użądliła! - Paweł cieszy się, że wymyślił tak sensowne kłamstwo.
- Z osami uważaj. Są ludzie szczególnie uczuleni na ich jad. Co z Leonem? Pogorszyło się?

Paweł czerwieni się. Czuje, jak mu płoną uszy. Od dawna nie ma wieści o Ruszczyku. A przecież mógł zapytać Zuzan-kę, pójść do Lenkiewiczów...

146

- Mam się spotkać z kapitanem Lenkiewiczem - mówi smutno. - Zapytam.
  - Pozdrów go od nas wszystkich.
  - Dobrze. Pozdrowię.
- \* W altance Józef Maria przygotowuje śniadanie: wczorajszy chleb i następna puszka rybek w sosie pomidorowym.

- Tylko te ryby jecie? - dziwi się Paweł.
- Długi nic nie je. Już nie może. A my z Gackiem jemy, co nam w ręce wpadnie. Gacek jest zaopatrzeniowcem. Pewnie kradnie.
- W ogóle nie macie forsy? - Paweł łyka wielkie kęsy. Ryba, nie ryba, a coś trzeba jeść. Sam nie ma już ani okruszyny.
- Pieniądze to straszne świństwo! - mówi z powagą Konopacki. - Nie chcę pieniędzy. Zresztą... to sprawa Gacka.
- Ale jeść chcesz? I nie przeszkadza ci, że kradzione?
- A tobie przeszkadza? Nie zauważyłem.

Paweł delikatnie odkłada kromkę. „Nie będę tego jadł! -myśli. - Nie umrę z głodu, zanim się stąd wyniosą!" Konopacki przygląda mu się z uśmiechem. Paweł kapituluje. Odgryza spory kęs.

- Ja nie kradnę.
- Wiem.

Wraca Gacek. Jest zadowolony. Z daleka kiwa jakąś paczuszką. Długi ożywia się.

- Masz? - pytanie jest retoryczne. Z Gackowi:j mim widać, że załatwił wszystko, co trzeba.
- Zostajemy tu?

147

- Człowiek w głodzie narkotycznym zachowuje się strasznie.
- Niech lepiej tu nie wyje! Zlecą się sąsiedzi i zawołają milicję.

Konopacki niechętnie unosi się z leżaka.

- Chodź, spróbujemy go czymś zająć.

Długi chwieje się jak trzcina na wietrze. Oczy ma rozszerzone, ciemne, przepastne. Nic nie mówi.

- Chcesz herbaty? - pyta Paweł ze współczuciem. Długi macha ręką. Ruchy ma zwolnione, nieskoordynowane.

- Był uczniem stolarskim. Potem wpadł w nałóg. Koledzy namówili. Spróbował. Teraz jest uzależniony. Koniec. Śmierć. - Konopacki sadza Długoego na progu. - Zaraz wróci Gacek - mówi jak do dziecka.  
- Wytrzymaj!

- Niech naprawi okno! - radzi Paweł. - Wypaczyło się i nie można zamknąć. Jakby przyszła burza... - milknie, bo koło furtki coś trzasnęło. Paweł wypada na ścieżkę.

- Myślałem, że ktoś się tu zakradł - mówi sąsiad Rusz-czyka, emeryt.

- Nie! - śmieje się Paweł, choć warga ciągle jeszcze boli. - Nie ma żadnych złodziei.

- A tobie co? Nos ci spuchł...

- Osa mnie użądliła! - Paweł cieszy się, że wymyślił tak sensowne kłamstwo.

- Z osami uważaj. Są ludzie szczególnie uczuleni na ich jad. Co z Leonem? Pogorszyło się?

Paweł czerwieni się. Czuje, jak mu płoną uszy. Od dawna nie ma wieści o Ruszczyku. A przecież mógł zapytać Zuzan-kę, pójść do Lenkiewiczów...

146

- Mam się spotkać z kapitanem Lenkiewiczem - mówi smutno. - Zapytam.

- Pozdrów go od nas wszystkich.

- Dobrze. Pozdrowię.

\*

W altance Józef Maria przygotowuje śniadanie: wczorajszy chleb i następna puszka rybek w sosie pomidorowym.

- Tylko te ryby jecie? - dziwi się Paweł.
- Długi nic nie je. Już nie może. A my z Gackiem jemy, co nam w ręce wpadnie. Gacek jest zaopatrzeniowcem. Pewnie kradnie.
- W ogóle nie macie forsy? - Paweł łyka wielkie kęsy. Ryba, nie ryba, a coś trzeba jeść. Sam nie ma już ani okruszyny.
- Pieniądze to straszne świństwo! - mówi z powagą Konopacki. - Nie chcę pieniędzy. Zresztą... to sprawa Gacka.
- Ale jeść chcesz? I nie przeszkadza ci, że kradzione?
- A tobie przeszkadza? Nie zauważyłem.

Paweł delikatnie odkłada kromkę. „Nie będę tego jadł! -myśli. - Nie umrę z głodu, zanim się stąd wyniosą!" Konopacki przygląda mu się z uśmiechem. Paweł kapituluje. Odgryza spory kęs.

- Ja nie kradnę.
- Wiem.

Wraca Gacek. Jest zadowolony. Z daleka kiwa jakąś paczuszką. Długi ożywia się.

- Masz? - pytanie jest retoryczne. Z Gackowej mim widać, że załatwił wszystko, co trzeba.
- Zostajemy tu?

147

Józef Maria odkłada nóż.

- Jedziemy dalej. To nie jest dobre miejsce dla Długiego.

- Ale... - Gackowi podoba się działka i altana.

- Koniec dyskusji! - mówi ostro Konopacki. - Zmywamy się. Zapomniałeś, że to działka gliniarza? Już tu był...

Gacek w sekundę zwija worek. Robota pali mu się wprost rękach. Paweł patrzy zdziwiony na Józefa Marię. Dlaczego skłamał, że był tu milicjant. Przecież wie, czyja to działka. Czub za plecami Gacka mruga porozumiewawczo. Dziw-^ chłopak! Byłby takim fajnym kumplem, gdyby nie różo-ł sztywne sitowie i niejasny stosunek do świata. Szkoda! Konopacki wstaje.

- Długi, wziąłeś swój „kompot”, to napraw okno. ^ końcu jesteś stolarzem, no nie?

Długi wyraźnie wraca na ten Boży świat. Z bardzo ^lekkiej podróży, ale wraca. Nie na długo wszakże. Zdaży ^lko naprawić okno. Wcale zrećźnie mu to idzie.

- Cześć, Brent! - Józef Maria jak ptak zrywa się do ^łotu. Wolny człowiek, swobodny. Ciężki marynarski wór ■\wiga Gacek. Jego niewolnik i obrońca. Długi mruga

Powiekami. Jemu jest wszystko jedno: tu czy gdzie indziej.

- Do widzenia, panie Konopacki! - Paweł zgina się w staropolskim ukłonie. Nie ma czapki z piórem, żeby nią

omieść piach. Jest szczęśliwy, że pozbył się nieproszonych w^półmieszkańców. Ale jednocześnie żal mu rozstania

7

...

Czubem. - Jak będziesz w Warszawie, odwiedź mnie na ^zegu praskim! Już będą rodzice... Józef Maria uśmiecha się. Bez słowa znika za kępą żółtej n^włoci. Za nim Gacek i Długi.

Nareszcie.

\*

- Znów nawalasz - mówi z przyganą Haczyk, opróżniając wielkie tekturowe pudło.

- Trudno o makulaturę - tłumaczy się Paweł. - W sierpniu połowa warszawiaków na urlopiach, a ci, co zostali, jakoś mniej czytają. Tę kupę zebrałem wśród działkowiczów.

- Chodzisz po działkach? -zainteresował się Złotowa. -Co ci to da?

Paweł jest zmęczony. Przytaszczył te kilogramy z Okęcia na Pragę. Bez sensu.

- Tak się składa, że mieszkam w jednej altance. Pytałem sąsiadów, czy nie mają zbędnych gazet. Mieli całą kupę. Do tego jeszcze worki papierowe po nawozach i nasionach. Działkowicze to ludek zapobiegliwy. Tylko że za daleko. Z Okęcia tutaj... nie dam rady.

- Jasne - przytakuje Haczyk. Jego piegi pociemniały, obsypały też ramiona i nogi. Wygląda jak wspaniałe indyccze jajo. - Ale we wrześniu, jak wrócisz do domu?...

Paweł zaciska usta. Nie wie, co będzie we wrześniu.

- Zobaczymy.

Złotowa nie nalega. Każdy ma swoje interesy. A jego interes kwitnie w najlepsze. Wypłaca Pawłowi udział.

- Dzięki. Teraz znikam. Na Okęciu jest czystsze powietrze niż tu, na Pradze.

Haczyk krzywi się. Już chyba ze dwa lata nie był w lewobrzeżnej Warszawie. Nie ma tam nic do roboty.

Paweł wsiada do autobusu. Byle szybciej się stąd wydostać. Istnieje małe, ale zawsze możliwe prawdopodobieństwo, że go ktoś zobaczy.



Jakaś wścibska sąsiadka lub Pol-dzia. Ta ostatnia przywodzi mu na myśl szkołę. W szóstej

149

Józef Maria odkłada nóż.

- Jedziemy dalej. To nie jest dobre miejsce dla Długiego.
- Ale... - Gackowi podoba się działka i altana.
- Koniec dyskusji! — mówi ostro Konopacki. - Zmywamy się. Zapomniałeś, że to działka gliniarza? Już tu był...

Gacek w sekundę zwija worek. Robota pali mu się wprost w rękach. Paweł patrzy zdziwiony na Józefa Marię. Dlaczego skłamał, że był tu milicjant. Przecież wie, czyja to działka.

Czub za plecami Gacka mruga porozumiewawczo. Dziwny chłopak! Byłby takim fajnym kumplem, gdyby nie różowe sztywne sitowie i niejasny stosunek do świata. Szkoda!

Konopacki wstaje.

- Długi, wzięłeś swój „kompot”, to napraw okno. W końcu jesteś stolarzem, no nie?

Długi wyraźnie wraca na ten Boży świat. Z bardzo dalekiej podróży, ale wraca. Nie na długo wszakże. Zdaży tylko naprawić okno. Wcale zręcznie mu to idzie.

- Cześć, Brent! - Józef Maria jak ptak zrywa się do odlotu. Wolny człowiek, swobodny. Ciężki marynarski wór dźwiga Gacek. Jego niewolnik i obrońca. Długi mruga powiekami. Jemu jest wszystko jedno: tu czy gdzie indziej.

- Do widzenia, panie Konopacki! - Paweł zgina się w staropolskim ukłonie. Nie ma czapki z piórem, żeby nią zamieść piach. Jest szczęśliwy, że pozbył się nieproszonych współmieszkańców. Ale

jednocześnie żal mu rozstania z Czubem. - Jak będziesz w Warszawie, odwiedź mnie na brzegu praskim! Już będą rodzice...

Józef Maria uśmiecha się. Bez słowa znika za kępą żółtej nawłoci. Za nim Gacek i Długi. Nareszcie.

148

\*

- Znow nawalasz - mówi z przyganą Haczyk, opróżniając wielkie tekturowe pudło.

- Trudno o makulaturę - tłumaczy się Paweł. - W sierpniu połowa warszawiaków na urloпах, a ci, co zostali, jakoś mniej czytają. Tę kupę zebrałem wśród działkowiczów.

- Chodzisz po działkach? -zainteresował się Złotowa. -Co ci to da?

Paweł jest zmęczony. Przytaszczył te kilogramy z Okęcia na Pragę. Bez sensu.

- Tak się składa, że mieszkam w jednej altance. Pytałem sąsiadów, czy nie mają zbędnych gazet. Mieli całą kupę. Do tego jeszcze worki papierowe po nawozach i nasionach. Działkowicze to ludek zapobiegliwy. Tylko że za daleko. Z Okęcia tutaj... nie dam rady.

- Jasne - przytakuje Haczyk. Jego piegi pociemniały, obsypały też ramiona i nogi. Wygląda jak wspaniałe indyjskie jajo. - Ale we wrześniu, jak wrócisz do domu?...

Paweł zaciska usta. Nie wie, co będzie we wrześniu.

- Zobaczymy.

Złotowa nie nalega. Każdy ma swoje interesy. A jego interes kwitnie w najlepsze. Wypłaca Pawłowi udział.

- Dzięki. Teraz znikam. Na Okęciu jest czystsze powietrze niż tu, na Pradze.

Haczyk krzywi się. Już chyba ze dwa lata nie był w lewobrzeżnej Warszawie. Nie ma tam nic do roboty.

Paweł wsiada do autobusu. Byle szybciej się stąd wydostać. Istnieje małe, ale zawsze możliwe prawdopodobieństwo, że go ktoś zobaczy. Jakaś wścibska sąsiadka lub Pol-dzia. Ta ostatnia przywodzi mu na myśl szkołę. W szóstej

149

klasie było całkiem niezłe. Nic nie wskazywało na tak ponure jej zakończenie. Nie, nie wróci do tej szkoły, do tych kolegów. Jakże daleko odbiegł od praskiej ulicy, kumpli, figli i beztrudnej zabawy. Czuje się starszy o dziesięć lat, ba, czasem o sto!

Migają ulice wybielone od słońca, prawie puste parkingi, sklepy. Przy pomniku lotnika chłopiec oddycha z ulgą. Jest już u siebie. Wysiada na osiedlu. „Pójść do Lenkiewiczów czy nie? A jeśli nie pozna mnie Duży Królik? No, to co? Przedstawię się. Może będzie Zuzanka?”

Była. Na podwórku. Z dwiema koleżankami bawiła się piłką w czerwone kropki. Paweł przystopował. „Trzy dziewczyny to za dużo” - pomyślał. Czekał za oparciem ogrodowej ławki, którą ktoś bez sensu postawił na środku placu zabaw. Jak na złość dziewczynki grały w najlepsze. „Głupo-le! - denerwował się Paweł. - Po co one tak skaczą? Chyba nigdy stąd nie odejdą”.

Piłka strzeliła prosto w ławkę. Ledwie Paweł zdążył uchylić głowy.

- Co tutaj robisz? - głos Zuzanki nie brzmiał zachęcająco.

- Chciałem się spotkać z twoim ojcem. Obiecał mi coś załatwić w...Madrycie.

Mały Królik marszczy nos.

- Dlaczego tak śmierdzisz? Pfuj!

W pierwszej chwili Paweł nie rozumie. Po sekundzie straszna prawda dociera: śmierdzi, bo nie mył się od tygodnia. Bo nie zmieniał bielizny, skarpetek. Jak z procy wystrzela zza ławki. Nie zważa na wołający głos. Czerwony z upokorzenia i wstydu galopuje na przełaj. Byle dalej od końskiego

150

ogonka uchwyconego gumką i czystej sukienki w niezapominajki.

Do altanki dociera zdyszany. Klucz jest tam, gdzie go zostawił. Ale w środku? Nieopisany bałagan, śmieci, resztki jedzenia, skłębiona brudna pościel. To pozostałość po gościach. Ale i jego własne niedbalstwo. Odzwyczaił się od systematycznego sprzątania i mycia. Rozluźniona dyscyplina - i taki wstyd! Na wspomnienie miny Zuzanki oblewa go pot. Szybko wyrzuca na dwór koc i poduszkę. Trzeba to porządnie wytrzepać, prześcielić łóżko, uprać ręczniki, koszulki, bieliznę. Kiedy to wszystko zrobić, skoro jutro musi być na lotnisku? Ale nie może, u Boga Ojca, więcej śmierdzieć!

Mijają kwadransy i godziny. Altanka przybiera pomału wygląd taki, jakim cieszyła się, gdy przychodził tu jej prawowity właściciel. Pościel wywietrzona, starty kurz. Teraz mycie i pranie. Paweł z poświęceniem nosi wodę w wiadrze. Proszku do prania nie znalazł w zapasach Ruszczyka. Musi wystarczyć zwykłe mydło. Przeciąga sznur od gruszy do śliwy. Jest lekki wietrzyk, pranie powinno szybko wyschnąć. Nie przypuszczał, że to taka ciężka praca. W domu była pralka, drobne przepierki babcia robiła w wannie. Sam nigdy do tego ręki nie przykładął. A teraz? Pot ciurkiem spływa mu po nosie, grubymi kroplami osiada na brwiach. Jeszcze skarpetki: jedne, drugie.

Zmęczony wali się na leżak. Floksy pachną oszałamiająco. Sen morzy. Nic dziwnego, po takim dniu...

Budzą go kroki na żwirowanej ścieżce. Paweł siada przerażony.  
„Wrócili? Konopacki i reszta? Co robić?” Nie. To ktoś starszy. Przez gałęzie widzi wysoką sylwetkę.

151

- Dzień dobry.
- To... pan? — Paweł zrywa się gwałtownie. Niezręcznie popchnięty leżak składa się z suchym trzaskiem.
- Dlaczego się tak przestraszyłeś? Zuzanka wspomniała mi, że byłeś u nas. Czemu nie wstąpiłeś na górę?

Paweł czerwieni się na samo wspomnienie Małego Królika.

- Chciałem... nie wiedziałem -bąka byle co. Prawdy i tak nie powie. - Czekałem na pana na lotnisku, ale stewardesa powiedziała, że pan poleciał do... nie pamiętam gdzie...
- Wypadł mi rejs do Montrealu. Ale o twojej prośbie nie zapomniałem. Poprosiłem kolegę. Telefonowałem do naszego konsulatu...
- I co? - oczy Pawła są samym światłem. - Co powiedzieli?

Kapitan Lenkiewicz rozkłada ręce.

- Nic nie wiedzą. W każdym razie twoi rodzice nie poprosili o azyl...
- O co? - Paweł drży.
- No... jak by ci to wytłumaczyć... mogę usiąść? Chłopiec niezręcznie próbuje rozłożyć leżak. Kapitan

widzi, co dzieje się w duszy trzynastolatka. Pomaga mu uporać się z drewnianymi podpórkami.

- Robiłeś pranie? To się chwali. Ja też sam piorę swoje rzeczy. Ale wracając do sprawy: wielu Polaków zostaje na Zachodzie. Z różnych

powodów. Niektórzy proszą o azyl polityczny. To tak, jakby wyparli się swojej ojczyzny, porzucili na zawsze kraj, w którym się urodzili i wychowali.

- Ale oni...

- Konsul nie słyszał, aby ktoś o nazwisku Brent poprosił

152

w Hiszpanii o azyl. Dlatego przypuszczam, że zaczepili się gdzieś, pracują zachowawszy polskie paszporty. Oni wrócą, Paweł. Na pewno.

- Będę czekał. - Paweł oddycha głęboko.

- Tu? - pytanie jest podchwytliwe, ale zamyślony chłopiec tego nie dostrzega.

- Tak.

- Źle, że nie mieszkasz w domu. Nie pytam dlaczego, bo i tak niczego rozsądnego nie usłyszę...

Paweł milczy. Zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy, że człowiek dorosły rozumuje inaczej. Że oczekuje wyjaśnień po to, by pomóc.

- Nie wrócę do domu. Chyba że... razem z nimi... z tatą.

- Spotkało cię w domu coś nieprzyjemnego? Zrozum, nie pytam przez ciekawość, tylko...

Paweł jest załamany. Już dłużej nie może milczeć. Wypluwa z siebie to wszystko, co go gnębi: babcia, klucze, podarte fotografie, spakowane walizki, szkoła z internatem. No, i Milicyjna Izba Dziecka, ucieczki, makulatura.

Lenkiewicz słucha uważnie i nie przerywa. Wie, że każde zbędne pytanie może ponownie zatrzęsnąć tę tamę, która puściła. Kiedy

chłopiec milknie, słysząc tylko pacnięcia spadających jabłek podziobanych przez ptaki. Pełno ich leży w trawie.

- Postaram się pomóc ci. O ile to tylko będzie w mojej mocy. Widzisz... zbliża się początek roku szkolnego. Musisz wrócić do swojej klasy.

- Żeby się ze mnie śmiali? Już się śmieją. Głupia Poldzia wszystkim rozgadała, że... że rodzice uciekli z kraju!-Paweł płacze. Nie chce, wstydzi się - i płacze.

153

Lenkiewicz nie pociesza go. Czy w ogóle można pocieszyć nieszczęśliwego? Każde słowo będzie tylko namiastką tego, co tamten czuje. Co może zrobić robak, na którego spadł kamień? Co może zdziałać ludzka istota, gdy wali się na nią cały ciężar krzywd? Gdy uładzony świat znika, pozostawiając gruzy i zgliszcza? Los jest jak czarodziej w czerwonym płaszczu: gdy wydaje się, że wszystko jest piękne - nagle ukazuje dziury w podszewce.

- Rozumiem cię. Jakie widzisz inne wyjście? Dobrze wiesz, że tutaj zostać dłużej niepodobna. To,, co dobre w upalne lato, nic nie jest warte podczas jesiennych chłódów. Paweł - kapitan wstaje z leżaka - musisz mieć do mnie zaufanie. Do kogoś trzeba mieć. Porozmawiam z twoją

babcią, dobrze?

- Ona już go skreśliła, proszę pana, mego ojca. Ale...

wierzę panu.

- Pójdę już - Lenkiewicz podnosi jabłko, ociera je rękawem, wacha. - 1 jeszcze jedna wiadomość, przykra. Leon Ruszczyk zmarł wczoraj w szpitalu. Za kilka dni pogrzeb. Zajmę się tym, bo staruszek nie ma tu nikogo bliskiego. .

- A... syn? Mówił, że ma syna! - Paweł jest poruszony.
- Pływa po morzach i oceanach. Nawet, biedak, na pogrzeb nie zdąży. Taki to los.
- Co będzie z działką? Z domkiem? - Pytanie może nie na miejscu, ale trudno się dziwić chłopcu, że je zadał.

Mężczyzna ogarnia wzrokiem drzewa i krzewy.

- Dostanie ją ktoś inny. Ziemia nie może leżeć odłogiem. Nawet taki maleńki skrawek. Do widzenia, chłopcze.
- Proszę pana! - Paweł biegnie po zwirowanej ścieżce. -Czy leci pan do Madrytu?

154

- Czekaj na mnie w czwartek. Zuzanka też po mnie wyjdzie.

Odchodzi wyprostowany, równym, sportowym krokiem.

Paweł bezmyślnie skubie resztki malin. Są suche, bez smaku. Ostatki.

Wieczorem grzeje wodę na gazowej maszynie. Najpierw kolacja i herbata, potem gruntowne szorowanie szyi, uszu, nóg. Zmęczony i senny, pada na łóżko. Szary cień skoczył przez lufcik. Słychać lekkie drapanie pazurków. Nie musi odwracać głowy.

- To ty, Maciek? - Kot sunie cicho na puchatych łapach. Obwąchuje kubek i łyżkę. - Zjadłbyś coś?

Miauknięcie jest odpowiedzią. Paweł wygarnia z dna rondelka resztki kaszanki. Kot je delikatnie, trąca łapą pusty spodek, oblizuje wąsy. Wbijają w Pawła wielkie, niebieskie ślepia. Ogon z przyzwyczajenia trafia do pyszczka.

- Nie ssij ogona, łajdaku! - mruczy chłopiec. - To nieelegancko.



Kot i tak wie lepiej. W końcu ogon jest jego własnością. A człowiek nie ma najmniejszego pojęcia, co może sprawiać prawdziwą przyjemność. Puszczą ogon i zaczyna lizać łapy.

- To ci wolno! - zgadza się łaskawie Paweł. - Ja też się umyłem. Nikt mi więcej nie będzie marszczył nosa!

Maciek ziewa szeroko. Jak świat światem koty zawsze były najczystszyimi ze stworzeń, choć nie cierpią mydła, jak diabeł święconej wody.

Za oknem sierp księżycy lśni w żółtej koszuli. Znak, że idą deszcze.

155

Wilgoć wstrząsa ciałem. Od otwartego lufcika płynie chłód. Krople jedna po drugiej uderzają o dach. Paweł naciąga drugi sweter. Pomimo tego dygocze pod kraciastym pledem. Maciek też zakopuje się głębiej. Jeszcze wcześniej, można pospać.

Budzi ich głośnie uderzenie łopaty. To sąsiad pracuje na działce. Paweł spogląda przez zapłakane okienko. Żeby tak nie musieć wychodzić! Pogoda pod psem, zimno, mokro. Ale coś trzeba jeść. Kaszanka się skończyła. A może by tak gorącej zupy? Ugotować tu, na maszynie? Są garnki, sól. W ogródku marchew, pietruszka, dojrzewa zielony groszek... na obozie harcerskim nieraz miał dyżur w kuchni...

Chłopiec robi lustrację w szafce. Jest kasza w puszcze po kawie, ryż w słoiku po dżemie, makaron, płatki owsiane.

- Biedny pan Leon - wzdycha. - Przyniósł to wszystko, żeby nie tracić czasu na jedzenie w domu... Butla z gazem jest pełna.

Paweł uważa, żeby niczego nie rozsypać, nie naśmiecic. Jak się samemu utrzymuje porządek, człowiek myśli o tym bez przerwy. Maciek też nigdzie nie wyrusza na łowy. Gdy Paweł na niego nie patrzy, pcha ogon między zęby i mruży

ślepia.

Woda na zupę nastawiona. Jarzyny łatwo dają się wyrwać z mokrej ziemi. Skrobanie marchwi to zajęcie żmudne, ale świetne dla zabicia czasu. Groszek, pietruszka... a to co? Chyba seler. Żeby tak jeszcze kawałek mięsa albo kiełbasy! Marzenia nie zawsze się spełniają. W każdym razie nie

wszystkie.

Zupa okazała się nadzwyczajna. Żeby nie zmywać, Paweł zjadł ją wprost z garnka. Do tego chleb pozostawiony przez

156

lokatorów. Maciek wzgardził Pawłową kuchnią. Widać woli polowanie na wróble lub żaby. A może dziś wypadł jakiś koci post? Kto to wie?

Największe zaskoczenie czekało Pawła, gdy już wszystko posprzątał i wymył rondel. Przesuwając na stoliku pusty wazonik zauważył wewnątrz coś białego. Z łatwością wydobyl zwinięty rulonik. Wewnątrz listu nabazgranego kopiowym ołówkiem tkwił pięćsetzłotowy banknot. Zdumienie chłopca nie miało granic, gdy odczytał niezbyt wyraźne kulfony:

„Dzięki za gościnę. To pieniądz dla ciebie. Jak wiesz, mam forszę w nosie. Gacek za dużo kombinuje, muszę nauczyć go pokory i siódmego przykazania. Jeśli się nigdy nie spotkamy, świat się od tego nie zawali.

Józef Maria Konopacki"

- Ale numer! - Paweł nawet nie wiedział, że głośno przemawia sam do siebie. - Czub okazał się dobroczyńcą!

Długo oglądał banknot. Takiego nominału nigdy jeszcze nie miał na własność. Spadł jak manna z nieba, choć podejrzanego pochodzenia.

„Dobra, to wystarczy na długo. Jak znów zarobię na makulaturze albo butelkach, oddam... no, na jakiś cel. Albo innemu chłopakowi w potrzebie -myśli z zadowoleniem. - Tylko nie narkomanowi- postanawia. - Narkomanowi nigdy! Ani Mrowie. Ale na przykład Haczykowi tak!”

Te głębokie roztrząsania natury moralnej przerywa pukanie do drzwi. Paweł łapie siekiere. „Jeśli to ktoś w rodzaju Gacka, to...”

157

- Otwórz, to ja, Zuzanka!

Chłopiec uspokaja się. Wygląda pomięte dzinsy. Są czysto wyprane. Koszulka też.

Zuzanka w nieprzemakalnym płaszczu z kapiszonem wygląda jak Czerwony Kapturek nieco starszy wiekiem. Podobieństwo podkreśla wiklinowy koszyk ze sterczącą szyjką

butelki.

- A gdzie wilk? - pyta Paweł rozśmieszony tym porównaniem.

Zuzanka nie rozumie. Stawia koszyk na stoliku.

- Jaki wilk?

- Ten, co w końcu zje babcię! Przyszłaś tu... z koszykiem...

Dziewczynka śmieje się. Teraz wygląda zupełnie sympatycznie.

- Mama posyła ci placek z poziomkami i sok malinowy do herbaty, bo zimno. Tu jest bułka i ser. Masz to zjeść i w czwartek przyjść do nas na obiad.

- Ale... — Paweł ma skrupuły. Nie chce korzystać z darmowych obiadów w rodzinie Królików. — Nie wiem...

Zuzanka obrzuca go uważnym spojrzeniem małej

kobiety.

- Włosy ci urosły. Ale tak też jest dobrze. Cześć!

- Cześć!

Zapomniał powiedzieć, by podziękowała mamie. Trudno. Nie od razu człowiek opanuje ten cały wersal, w którym kochają się dorośli: „Dziękuję, przepraszam, czy można pani w czymś pomóc? Proszę ucałować ręce małżonki...” I takie tam inne, bez których świat pewnie zawaliłby się z hukiem. „Zerwę trochę kwiatów w czwartek- postanawia.

158

- Dam Dużemu Królikowi. Niech wie, że nie jestem ostatnim poganinem!"

Placek zjadł sam. Chleb i ser do spółki z Maćkiem. Nikt nie może twierdzić, że światem rządzi sprawiedliwość.

\*

Jak to w sierpniu, pogoda zmienna, kapryśna. Raz upały, to znów zimne wiatry i deszcze. Lotnisko zasnute mgłą.

- Nic nie ląduje - mówi znajomy bagażowy, któremu Paweł bezinteresownie pomaga przesuwać ciężkie walizy odlatujące do Frankfurtu.

- Od rana? - Paweł sapie jak miech kowalski. „Co oni tu wożą? Kamienie? Sztaby złota? Nie, bzdura! Celnicy zaraz by takiego capnęli! Ale ciężkie jak lichy!"

- Mgła - informuje bagażowy. Pracuje tu od dwudziestu lat. Sprawy lotniska zna nieomal jak własną kieszeń. -Moskwa dziś lądowała w Poznaniu.

- Jak to: nie w Warszawie?

- Przecież ci tłumaczę jak komu mądrymu! - denerwuje się bagażowy.  
—Jak w Warszawie mgła-samoloty przejmują inne polskie lotniska.  
Nie mamy jeszcze takich maszyn, które mogłyby lądować w każdych warunkach.

- I co potem?-Paweł jest niespokojny. Madryt z kapitanem Lenkiewiczem powinien „siadać” za niecałą godzinę.

- Co robią ci, którym potrzebna Warszawa?

- Przyjeżdżają najbliższym pociągiem. I po problemie! Tak. Łatwo się mówi: po problemie! Zależy dla kogo!

Paweł jest zaproszony na obiad, a pociąg z Poznania pewnie jedzie ze cztery godziny. Bez kapitana do Królików nie pójdzie.

- A piloci? Stewardesy? Też przyjeżdżają pociągiem!'

159

- Różnie. Ktoś musi przyprowadzić samolot. - Bagażo-w\ cierpliwie czeka, aż właściciel bagażu wysupła z portfela polskie złotówki.

Paweł oddala się. Na schodach zamajaczyła okrągła postać pani Lusi.

- O. Piotruś! Dobrze, że jesteś. Pozmywasz, kochanie? Mam urwanie głowy, bo tłum od rana bezskutecznie czeka na odloty. Widzisz, mgła...

- Dobrze. Przeprowadzi mnie pani przez kontrolę?

- Nie trzeba. Dziś pracuję w kawiarni na piętrze. Tam jest wstęp wolny dla wszystkich.

Paweł darował jej nawet tego „Piotrusia”. Widać kobieta ma trudności w zapamiętywaniu imion.

- Wie pani... umarł Ruszczyk... pan Leon. On mnie do pani skierował.

Pani Lusia odwraca się.

- O mój Boże! Kiedy? Taki miły staruszek! Tyle lat pracowaliśmy tutaj razem. Lubił u mnie wypić kieliszeczek czegoś dobrego. Przeważnie likieru miętowego. Szkoda człowieka. Dobry był, serdeczny...

- Odlot samolotu do Budapesztu, rejs numer czterysta siedemdziesiąt jeden, opóźniony jest o godzinę. Następny komunikat podamy za czterdzieści pięć minut. Za opóźnienie serdecznie przepras: amy. Ladies and gentlemen...

- Ale klops! — martwi się Paweł wchodząc na zaplecze. Stos brudnych naczyń piętrzy się na stole. Dwie uczennice zwijają się jak w ukropie, ale jest ich stanowczo za mało.

- Macie pomocnika! - woła pani Lusia. - Nazywa się Piotr.

- Paweł - mruży chłopiec speszony. - Paweł!

160

\*

Mgła, zamiast rozproszyć się, gęstnieje. Napływa z północy szaroburymi pasmami. Kolejno wtapiają się w nią hangary, wieża kontrolna, samoloty. Trudno odróżnić topolę od kasztana. Wreszcie i one giną w białej wacie. Świat staje się nierealny, nienaturalny, bajkowy.

Na lotnisku komunikaty raz po raz odwołują kolejne loty. Nie wystartował Belgrad, Paryż, Antwerpia. Pasażerowie odjechali autokarami do hoteli. Totalne zamieszanie.

- Madryt siedzi w Poznaniu - słyszy Paweł rozmowę dwóch wojskowych ze służby ochrony pogranicza.

- I co będzie? - wtrąca się zatroskany.
- Nic. Przyjadą pociągiem. Na szczęście mgła nie przeszkadza kolejom państwowym.

Paweł skończył już pracę w kawiarni. Przyszła druga zmiana i nie potrzebowali nielegalnych „gastarbeiterów” „Co robić? Jechać na dworzec?”

Do informacji kolejowej dodzwonić się nie sposób. Nikt na lotnisku nie dysponuje aktualnym rozkładem jazdy pociągów. W każdym razie nikt z ludzi Pawłowi przyjaznych.

- Jedź na Dworzec Centralny - radzi mu dziewczyna sprawdzająca bilety za wysokim pulpitem. Już od dłuższego czasu siedzi tam beczynnienie. - Masz stąd bezpośredni autobus. Tam w informacji powiedzą ci, o której przyjeżdża pociąg z Poznania. Albo ekspres.

- Myśli pani, że oni ekspresem?

- Tak. Z miejscówkami. LOT załatwia takie sprawy, jeśli nie może pasażera dostawić na miejsce. Coś mi się wydaje, że ekspres z Poznania odjeżdża po południu...

- Dziękuję. - Tak. To rozsądna propozycja. Paweł wy-

161

biega przed budynek. Z przystanku właśnie rusza autobus.

Zdażył.

\*

„Jaka różnica pomiędzy tymi obydwojoma dworcami! -zastanawia się Paweł w myśli. - Kolejowy i lotniczy”. O wiele bardziej podoba mu się atmosfera Okęcia. Czyściej, ludzie lepiej ubrani, inne bagaże... cóż, przedsiónek wielkiego świata. Granica państwa...

Dworzec Centralny także tonie w kłębach mgły. Znikł Pałac Kultury, ściana wschodnia Marszałkowskiej, szeregi żółknących już lip. Przed ogromną tablicą z godzinami i kierunkami odjazdów pociągów tłok. Kasy też obłożone.

- Koniec sierpnia, a ludzie jeżdżą tam i z powrotem bez opamiętania!
- zrzędzi staruszek z wypchanymi torbami. -Kto to widział...

Paweł próbuje rozeznąć się w sytuacji. Nie, z tej tablicy niczego się nie dowie. Trzeba pójść do informacji. Za oszklonymi drzwiami kolejka wolno się przesuwa.

- Ekspres z Poznania, kiedy? - Paweł nie grzeszy wzrostem. Zza okienka widać mu tylko głowę o przydługich lokach.
- Dwudziesta czterdzieści pięć, peron czwarty - odpowiada bez namysłu dziewczyna z grzywką.

„Ma komputer w mózgu czy jak? - dziwi się Paweł. -Strasznie długo trzeba czekać!" Przysiada na schodku prowadzącym na pięterko. Nie, na działkę wracać nie warto. Zbyt długo tkwi się na przystankach. I szkoda złotych na dodatkowe bilety w obie strony. Choć pieniędzy chwilowo mu nie brakuje, chłopiec uczy się ekonomii i oszczędzania. Kto wie, na ile jeszcze dni musi wystarczyć „manna z nieba”

162

zostawiona przez Konopackiego i dzisiejszy zarobek u pani Lusi.

- Pociąg pośpieszny z Warszawy Wschodniej do Katowic przez Częstochowę odjeżdża z peronu czwartego. Proszę odsunąć się od toru. Powtarzam...

Dworcowa monotonia: Z Warszawy Wschodniej, Zachodniej, tory, perony, ludzie, tłumoki, ścisk. Ruchome schody wypływają setki twarzy. Mrowisko.



Paweł wolno wędruje płataniną podziemnych korytarzy. Tu kawiarenka, tam sklep, kwaciarnia, apteka. Drugie miasto, tyle że piętro niżej. Gdyby jeszcze nie było tak zimno. Mgła wciska się wszędzie. Skrapla wzdłuż szyn, wpada smugami razem z kolejną porcją wagonów. Mgła z Warszawy Zachodniej, mgła ze Wschodniej.

Megafon zapowiada opóźniony pociąg kolonijny z Zakopanego. Zmęczeni oczekiwaniem rodzice ruszają ławą na peron drugi, tor trzeci. Reflektory lokomotywy są jak oczy sowy: bezlitośnie tną mrok i mgłę. Sznur zielonych wagonów nieruchomieje. Z okien, drzwi las wyciągniętych rąk, harcerskie czapki, chusty, sprawności. Wrzask i zamieszanie.

Paweł przygląda się temu z górnej galeryjki. Naprzód zwyczajnie, beznamiętnie, jak widowisku. Potem z żalem, pretensją, zazdrością. „Dlaczego ja nie byłem tam z nimi? Dlaczego na mnie nie czekają stęsknieni rodzice? Tego tam malucha o mało nie uduszą, a w czym on jest lepszy ode mnie? Czy umie pozmywać kufle? Ugotować zupę? Opleć truskawki?... Czy ma w sobie tyle miłości do ojca i matki, by obdzielić nią pół świata? By znosić trudy życia, marznąć po nocach i czekać? Czekać i tęsknić za spojrzeniem szarych oczu, puklem jasnych włosów, za uściskiem jedynek, cie-

163

płych ramion, które utulą, zetrą ślady łez, rozwieją lęki porannych godzin... co ten mały harcerzyk wie o życiu? A co wiedzą o życiu ci, którzy tu po niego przyszli?" Paweł nie życzy mu niczego złego, ale nie może zdusić w sobie zapiekłej zazdrości, która rozdziera serce na strzępy. Dlaczego ślepy los sprawił, że czeka on: Paweł Brent. Że czeka już tak długo. Ile przyleciało samolotów? Osiemnaście czy dwadzieścia? Ile w tym czasie przyjechało pociągów? Nikt nie zliczy, a zresztą i po co.

Hałas, harmider, setki plecaków, opalonych policzków. Normalne życie toczy się ruchomymi schodami jak lawina. Przetoczyło się, zniknęło. Peron opustoszał.

\* W poczekalni jest duszno. W nieruchomym, zatęchłym powietrzu snują się smugi tytoniowego dymu. Wysoko umieszczony telewizor opowiada o wydarzeniach w świecie. Tu wojna, tam wojna. Zboże zwiezione, suszy się w elewatorach, rolnicy przystąpili do podorywek. W Kisielnicy w województwie łomżyńskim dożynki. W Libanie zamieszanie: dwa ugrupowania arabskie biją się o jakąś wioskę w górach Szuf. Amerykańskie okręty patrolują Morze Czerwone. „Gdzie jest to Morze Czerwone?” Paweł przysypia na twardej drewnianej ławce. Budzi się, bo megafon skrzypi i pluje niewyraźnymi słowami:

- Ooociąg z Oooznania wjeżdża na erooo... W jednej chwili jest na nogach. Galopem zbiega ze schodków na poziom peronu. Wtacza się długi sznur wagonów oznakowanych literami alfabetu. Wśród oczekujących poruszenie.

Pawłowi wydaje się, że dostanie oczopląsu. Jak tu w tym

164

ludzkim morzu wyłowić znajome twarze? Są przecież dwa wyjścia, dwie możliwości. Którą wybiorą? Chłopiec biegnie wzdłuż peronu, potrąca ludzi, przeprosza. Ze stopni sączą się wciąż nowi. Nie do opanowania! W głowie huczy, serce bije młotem, w ustach sucho... A może wyjść na górę? W dużej hali łatwiej dostrzec ojca. I kapitana Lenkiewicza. Jego najłatwiej wyłowić z bezbarwnego tłumu. Ma piękny mundur z paskami na rękawach.

Paweł dociska się do rzeki płynącej ruchomymi schodami w górę. Docierają do niego głosy, ale słów odróżnić nie może. Chwilami wydaje mu się, że ogłuchł: dziesiątki ruszających się ust. Nie, to nic złego, to tylko nerwy.

W hali jak w gnieździe szerszeni. Chłopiec miota się jak oszalały od ściany do ściany. Wreszcie pustoszeje ogromna przestrzeń pod ukośną kopułą. Znowu udaje się odróżnić człowieka od człowieka. Na postoju taksówek ogromna kolejka. Paweł przesuwają się wzdłuż, zaglądając ludziom w oczy.

Nikogo.

Nie ma już sił. Nie wie, co robić. Zapomniał, gdzie śpi i gdzie je. Może i jest jakieś lotnisko spowite mgłą, która nie ustępuje. Może i jest altanka w ogrodzie. Ale gdzie? Paweł przestał myśleć. Wyłączył szare komórki, jak wyciąga się sznur z kontaktu. Jest zmęczony. Nie wie, dlaczego ponownie wspina się po schodach. Byle usiąść, choćby na tej samej drewnianej ławce w zadymionym wnętrzu. Niczego więcej od życia nie chce. Mógłby w ogóle nie istnieć. Bo tak naprawdę to po co żyć?

Megafony krztuszą się słowami coraz rzadziej. Coraz mniej ludzi na żółtych ławkach, coraz gęściejsza mgła za

165

czarnymi prostokątami okien. Coś tam mruczy jeszcze w telewizorze, którego nikt nie ogląda. Rzadko smuga światła samochodu rozbłyskuje na szybach. Autobusy i tramwaje zwalniają bieg. Napływa sen o ptaku. Jest błękitny, z czerwonym dziobem. Rozpościera olbrzymie skrzydła, które mieniają się błyskami drogich kamieni. Ptak rozpaczliwie chce oderwać się od brzegu wyspy obrośniętej palmami daktylowymi. Nie może. Szyja wyciągnięta, skrzydła bezradnie biją powietrze. Z gardła ptaka wrywa się długi skrzekliwy ni to krzyk, ni jęk...

- Obudź się, słyszysz?

Paweł słyszy, ale nie widzi. Oczy ma sklezione snem. Ciężką głowę oparł na ławce.

- Potrząśnij nim dobrze, to się ocknie! - głos przy pływa i odpływa.  
Jak fale.

Paweł otwiera oczy. W mdłym świetle żarówek widzi pochylone nad sobą twarze. Czapki z orzełkami. Mundury.

- Co tu robisz w nocy sam na dworcu?

- Na jakim dworcu? - dziwi się Paweł.

- Jesteś chory? - Twarz milicjanta przypomina mu kogoś dawno znanego. I zapomnianego.

- Jeszcze jeden na gigancie! - wzdycha drugi mundurowy. - Zbieraj się, jedziemy!

- Dokąd? - Paweł przytomnieje. „Głupio wpadłem! - przebiega mu przez myśl, ale nie ma o to do siebie żalu. - Trudno. Wytłumaczę im. Wytłumaczę”.

\* Nie wytłumaczył. Nie było komu. Prosto z milicyjnego radiowozu zaprowadzono go do sypialni.

- Myj się i do łóżka! Jutro porozmawiamy!

166

„Niech będzie jutro - дума Paweł. - Do następnego samolotu mam cztery dni. Zdażę. To moja wina, tylko moja. Trzeba było wrócić na działkę. Co za lichy podkusiło mnie, żeby tkwić tam na dworcu! Zachowałem się jak kompletny dureń!”

Sen jakoś odszedł. Z kilkunastu łóżek dobiegają głębokie równomierne oddechy. Znad poduszki unosi się czarna kudłata głowa.

- Ty... - cichy szept wionie wprost do Pawłowego ucha. - Zwinęli cię w nocy?

- Aha. - Pawłowi nie chce się rozmawiać. Spać też nie. Ten ogromny pokój denerwuje, rozprasza. Sto razy lepiej spałoby się w altance. Z Maćkiem w nogach. Drzewa by szumiały, pachniałaby maciejka...

- Ty... - Kudłaty nie daje za wygraną. — Co narozrabiałeś?

Paweł znudzony krzywi usta.

- Ja za niewinność — mruczy w końcu.

Kudłaty chichoce. Wziął to za świetny dowcip. Za drakę.

- Mnie przycisnęli, jak obrabiałem kiosk z fajkami. Ale już dawno wzięli mnie na peleng...

- Co? — Paweł nie rozumie.

- Namiar! Namierzyli mnie, jak radiostację!

Paweł uśmiecha się w ciemności. A jakże! Wie, co to są wozy pelengacyjne. Oglądał taki film: nasi nadawali meldunek przez tajną radiostację, a hitlerowcy szukali jej przy pomocy samochodów pelengacyjnych.

- Długo tu jesteś?

- Dwa tygodnie. - Kudłaty zaszeleścił kołdrą. - Stąd nie można zwać. Pilnują.

167

- A teraz? Nocą? - Paweł nagle się mobilizuje. Chce być w domu, w altance.

- Dziecko jesteś czy co? Przy wyjściu jest dyżurka z gliniarzem. Drzwi mają takie zasuwki, że i Stary Franek nie poradzi.

- Kto to jest: Stary Franek?

- Nie wiesz? Najlepszy fachowiec od zamków typu „skarbiec” na całym Powiślu.

- Jestem z Pragi - tłumaczy Paweł - nie znam nikogo z Powiśla.
- Jego szanuje cała stara Warszawa! -wzdycha Kudłaty w zachwyceniu. - Jak cię nazywają?
- Ulizany - odpowiada Paweł spokojnie. - Byłem tu już dwa razy.
- Toś brat! - śmieje się chłopak z sąsiedniego łóżka.
- Ty, Kucany, nie podsłuchuj! - denerwuje się Kudłaty. — Nie twój zakichany interes, o czym gaworzemy!
- To zamknij dziób i daj człowiekowi spać! - Kucany zakopuje nos w poduszkę.

Milkną. Paweł leży z szeroko otwartymi oczyma. Wzrok przyzwyczał się już do ciemności. Rozróżnia kontury okien, kraty. „Nie, stąd uciec się nie da. Chłopak ma rację! Chyba żeby zaistniały jakieś wyjątkowo sprzyjające okoliczności...”

\*

- Dziękuję, że pan zechciał przyjść, kapitanie. -Twarz milicjantki okrasza smutny uśmiech. - Szczucka jestem.
- Lenkiewicz.
- Proszę spocząć. Może herbaty? Wody mineralnej?
- Dziękuję. Może rzeczywiście... coś zimnego, jeśli nie

168

sprawi to pani kłopotu. Jestem skonany. Wczoraj była mgła i Warszawa nie przyjmowała samolotów. Czekaliśmy w Poznaniu... potem jechałem całą noc...

- Wiem. Pańska żona wspominała mi o tym. Przepraszam jeszcze raz za kłopot, ale widzi pan... on znów jest u nas.
- Kto? - Kapitan Lenkiewicz z trudem odrywa wargi od chłodu szkła.

- Paweł. Paweł Brent.
- Dlaczego? - kapitan jest zaskoczony. - Co zrobił? Milicjantka uśmiecha się. Rozkłada ręce.
- Dał się przyłapać jak zając! Spał na dworcu! Kapitan odstawia pustą szklanę.
- Na Okęciu? Dlaczego?

Kobieta wstaje. Podchodzi do zakratowanego okna. Przygląda się żółknącym liściom akacji.

- Na Dworcu Centralnym. Nie mam pojęcia, co tam robił. Może pan wie? Paweł nie chce mówić. Zaciał się. Ja jeszcze z nim się nie widziałam. Myślałam, że porucznik Kędzierska lepiej sobie z nim da radę. Jest młodą kobietą. Matką dwóch bliźniaków w wieku Pawła.

Kapitan Lenkiewicz ociera czoło. Jest zmęczony. Oczy podkrążone, cera blada.

- Mogę się tylko domyślać. Czekał na mnie. To znaczy na samolot z Madrytu. Pani wie, że jestem pilotem.
- Naturalnie. Wiem o panu mnóstwo rzeczy. I to również, że nieobcy jest panu los Pawła.
- Tak. Przyznaję... - Lenkiewicz gładzi ciemną brodę. -Zaimponował mi. Wiarą. On wierzy, że którymś z tych samolotów przylecą rodzice. Wierzy i czeka.

169

- Jest chory z tęsknoty. - Kapitan Szczucka znów siada za Pustym biurkiem.
- Właśnie. Sądzę, że Paweł nie doczekawszy się Madrytu Przyjechał z Okęcia na Dworzec Centralny do poznańskiego Pociągu. Tym

ekspresem przyjechała część naszych pasażerów. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Czy... mogę go

zobaczyć?

Szczucka przecząco kręci głową.

- Jeszcze nie teraz. Chciałabym najpierw z panem porozmawiać, poradzić się. Jego opiekunka...

- Wiem, że ma babcię - wtrąca szybko Lenkiewicz. - Takoś nie mogą się porozumieć.

- Tak. Była u nas dwa razy. Tłumaczyłam, jak należy postępować z chłopcem, ale nie na wiele się to zdało. Biedna, strapiona staruszka, ogłuszona decyzją córki i zięcia. Płakała tu w pokoju rzewnymi łzami. Zawsze mnie wzrusza rozpacz Starych ludzi.

- A... Paweł?

- Właśnie. Nie potrafią razem żyć. Znienawidziła zięcia, podarła rodzinne fotografie, wyrzuciła jego rzeczy. Obwinia go o wszystko. A Paweł bardzo kocha ojca. I stąd konflikt.

- Tyle że zaczyna się rok szkolny. Chłopiec nie może

Stracić nauki!

- Oczywiście.

- Co pani proponuje?

Lenkiewicz chętnie by się jeszcze napił. Milicjantka jakby czytała w jego myślach. Nalewa. Szklanka pokrywa się nalotem chłodu.

- Nie powinien tu zostać zbyt długo.

170

- Będzie próbował uciec! - Kapitan kręci głową. - To rogata dusza.



- Tak. Więc w konsekwencji kłopoty. Szkoda mi Pawła.
- Co mogę dla niego zrobić? - Kapitan sięga po papierosy. - Czy wolno zapalić?

Milicjantka podsuwa popielniczkę.

- Gdyby Paweł zgodził się dobrowolnie mieszkać nadal z babcią, gdyby ktoś, komu ufa, mógł sprawować nad nim dyskretną opiekę...

Kapitan wypuszcza smugę dymu.

- To propozycja dla mnie?

Oczy w siateczce zmarszczek badają twarz rozmówcy. Kapitan Szczucka jest wytrawnym pedagogiem. I psychologiem.

- To luźna rozmowa. Do niczego nie zobowiązuje... Kapitan uśmiecha się. Potem poważnieje.
- Myślałem, naprawdę myślałem, żeby Pawła wziąć na jakiś czas do nas. Mam córkę w jego wieku. Ale moja żona... Ona nie zaakceptuje chłopaka. Nie mogę... nie chcę - poprawił się - zrobić czegokolwiek wbrew jej woli.
- To nie byłby dobry pomysł, panie kapitanie. - Milicjantka przesuwa dłonią po skroniach. - Paweł ma swój dom. Tam jest jego miejsce. Ja też wierzę, że rodzice wrócą. Mam podstawy do tego. Biuro paszportowe sygnalizuje dziesiątki powrotów ludzi, którzy sądzili, że zostaną na Zachodzie na zawsze. Los Polaka na obczyźnie nie jest łatwy. Wracają. Chciałam po prostu poznać pańskie stanowisko w sprawie Pawła.

171

~ Ja bardzo chętnie mu pomogę, porozmawiam...

~ Mamy na to czas. Ja tylko szukam ludzi dobrej woli, którym los dziecka nie jest obojętny. To wszystko.

Lenkiewicz gasi papierosa.

~ Co z nim będzie dziś? Jutro?

~~ Zostanie u nas. Na razie.

Kapitan pochyla się nad biurkiem. Ma minę ucznia, który dopiero co spłatał nauczycielowi figla. Oczy mu błyszczą.

~ Nie może go pani wypuścić? No... tak zwyczajnie.

Milicjantka uśmiecha się. Oczy jej łagodnieją, znika bruzda na czole.

~ Przepisy nie pozwalają. Mogę go tylko oddać w ręce babki. mt> przekazać do Domu Dziecka.

\_ Do babki nie pójdzie... A gdyby uciekł?

~ Stąd? - milicjantka uważnie przygląda się rozmówcy. -WyklUczone -mówi miękko.

~ Nikt stąd nigdy nie zwiął?

Kobieta milczy. Długo ogląda własne dłonie.

r Nawet gdyby... to taka ucieczka nie rozwiąże problemu.

~~ Nie byłbym tego taki pewny. - Lenkiewicz ma pomysł. Trochę ryzykowny, ale dający satysfakcję chłopcu. Mniej Milicyjnej Izbie Dziecka. Ale nie o nią tu chodzi. Urząd sobie poradzi, a jednostka? - Paweł jest ambitny. Ceni

samodzielność.

~ Wiem. I to, co chłopcy w jego wieku nazywają wolnością.

~~ Właśnie. Nie powinno się go traktować jak... pakunek, rzecz przekazywaną z urzędową pieczęcią. Wtedy się zbuntuje.

172

- Jeśli zaryzykuje, a on „pójdzie w Polskę”, będą kłopoty.

- Nie pójdzie. Zaszyje się na działce. A ja natychmiast tam do niego trafię. Proszę... bardzo proszę...-
- Co potem? — w głosie kobiety brzmi nieco przekory.
- Spróbuję go przekonać, żeby poszedł do szkoły. Do innej, tam gdzie uczy się Zuzanka. Niech całkowicie zmieni otoczenie, kolegów.
- Taaak - kobieta ujmując słuchawkę telefonu. Rozmawia z kimś długo. - No, dobrze. Choć to ogromne ryzyko.

Kapitan Lenkiewicz wstaje z krzesła. Czuje się tak, jakby dał losowi szcztka w nos.

- Jeśli się nie uda, jeśli odmówi... sam go tu do pani przyprowadzę. Słowo.

Z mroku wyłania się drzewo. Potem drugie. Tuż przed świtem wszystko jest złotoróżowe. Długie, wiotkie pasma żółknących traw obsypane kroplami rosy. Błyszcząca jak naszyjnik delikatna pajęczyna o misternie splecionych nitkach pogrubiłych przez wilgoć chwieje się pomiędzy czerwonymi gałązkami berberysu. Obudzone wróble tupią po eternitowych płytkach dachu. Wstaje kolejny dzień.

Paweł niespokojnie przewracał się z boku na bok. Zrywał się w środku nocy nasłuchując, czy ktoś po niego nie idzie żwirowaną ścieżką. Spał jak zając pod miedzą. Jak zwierzę, które boi się człowieka, a jednocześnie garnie do ludzkich siedzib. Poprzez cienie starej gruszy wsiąkało w ziemię zimne światło księżyca w pełni. Takie noce są dobrym tłem

173

do filmów grozy. Mniej do ukrywania się. „Jak to się właściwie stało, że zwałem? Więcej szczęścia niż rozumu! Ale się zdziwi Kudłaty, gdy pójdzie wieść, że znalazł się taki, co uciekł z Milicyjnej Izby Dziecka! Pomimo krat, »skarbców« i strażnika”.

Paweł jest zbyt nerwowy i zmęczony, by znaleźć należyłą satysfakcję w wyczynie godnym hrabiego Monte Christo. To jednak nie więzienie na wyspie If czy Alcatraz. I on, Paweł, nie był więźniem w ciemnicy. Ale taka ucieczka podnosi na duchu.

Ranek jest chłodny i pełen światła. Jesienny sierpień w kwiatkach kolorowych astrów i georginii.

Maciek obudził się i wyciąga przednie łapy, zabawnie ukazując przy tym koniuszek różowego języka. Teraz tylne, z grzbietem wklęsłym i wyprężonym jak struna ogonem. Codzienna gimnastyka, którą chłopiec lubi podglądać. Usiadł. Ziewa rozdziawiając pyszczek pełen ostrych jak szpileczki zębów. Lizanie łap i futerka. Szary puch gładko przylega do skóry. Kot przechyla głowę i szybko chwyta zębami koniec ogona.

Paweł tylko na to czekał.

- Jak będziesz ssał ogon, to... - nie zdążył dokończyć. Obrażony Maciek odwraca się tyłem i lekko zeskakuje na podłogę.

- Miauuu! - To nie brzmi jak prośba. Raczej rozkaz. Paweł Wygrzebuje się spod koca. Zimno wstrząsa nim od

stóp do głów. Nie ma czasu na wylegiwanie się. Trzeba dokładnie przemyśleć dalsze kroki. Najgorsze jest to, że nie ma pomysłu. Może nie tak: pomysłów ma sto na minutę. Ale żaden z nich nie grzeszy rozsądkiem.

174

- Dziś jest sobota - mruży przyglądając się z bezbrzeżnym zdumieniem resztkom swoich tenisówek. Duże palce swobodnie wyłażą przebiwszy wątle płótno. - Zacerować? Ale czym? Kupić nowe? Szkoda pieniędzy. Będą teraz bardzo potrzebne! Przede wszystkim należy coś zjeść. I kupić rybę dla Maćka - postanawia.

Każde postanowienie jest dobre, jeśli jest realne. A szklanka mleka i bułka z serem są z gatunku tych dostępnych. Ryba też. Błękitka nie lubią ludzie, ale uwielbiają koty. „I co dalej? - medytuje wkładając czyste skarpetki. - Gdybym miał rower... no, to co? - myśl znika zastąpiona inną. - Do Gdyni nie pojedę, do marynarki nie przyjmę, bo jestem »analfabeta«, jak słusznie stwierdził Haczyk, pracy nie dadzą, bo dzieci zatrudniać nie wolno, takie przepisy. Szkoła nie jest najgorsza, ale...”

Coś zgrzyta przy furtce. Paweł w jednej chwili wślacza się pod stolik. Drzwi altanki są zamknięte od wewnątrz. Z okienka nikt go nie dostrzeże. Trzeba przeczekać. Serce wali jak oszalałe.

- Paweł, hej, Paweł! - głos kapitana Lenkiewicza dobiega zza szpaleru dzikiej róży.

Uff! Paweł uspokaja się momentalnie. W jednej tenisówce skacze do drzwi.

- Tu jestem!

Kapitan w jasnoszarych spodniach i koszulce polo wygląda zupełnie zwyczajnie. Świeżo przystrzyżona broda miękko okala podbródek. Na twarzy radosny uśmiech.

- Marzyłem, żeby cię tu zastać.

Paweł szybko postanawia: „Nic mu nie powiem, że wczoraj zwałem. Nie ma się czym chwalić!”

175

- No... przecież pan wie, że tu sobie mieszkam. I nawet wyplewiłem truskawki.

Kapitan siada na ławeczce, z której dawno już oblaźła zielona farba.

- Musimy się naradzić, chłopcze. Już czas.

Paweł patrzy na czerwone plamy skarpetek wyłażące z podartych tenisówek. Sam dobrze wie, że już czas. Ale na co?

- Muszę kupić bułkę - marudzi, by jakoś odwlec rozmowę, o której tylko tyle wie, że będzie poważna. To się czuje.

- Nic nie jadłeś? To się świetnie składa. Zbieraj się. Jedziemy. Ja też chętnie coś wrzucę na ząb.

- Całkiem fajny bar mleczny jest na Krakowskim... -Paweł waha się, czy wziąć chlebak z rzeczami. Decyduje, by zostawić. Chyba nikt nie ukradnie.

- Ja cię zapraszam. I to nie do żadnego baru! Chodź! Gęste krzaki porzeczek urosły tak, że wyłażą gałęziami na

ścieżkę. Trzeba się przeciskać. W milczeniu maszerują alejką do głównej bramy. Tuż za ogrodzeniem niespodzianka: elegancka dacia w kolorze brzozonej kory. Kapitan pobrzękuje kluczykami.

- Pańska? - cieszy się Paweł.

- Niestety. Kolegi. Ale jak mu się znudzi, to ją odkupię. Za pół ceny. Wsiadaj.

Paweł mości się na pokrowcu w czerwonej kratkę. Fotel jest głęboki, wygodny. Warszawa z okien samochodu jest nieco inna niż zza brudnych szyb autobusu. Ulice jakby szersze, jezdnia poszatkowana białymi liniami. Jest wcześniej. Ludzie jeszcze nie wylegli na chodniki, nie okupują zamkniętych na głucho sklepów.

176

- Chciałbym tak jechać i jechać! - wzdycha chłopiec.

- Dokąd? - Kapitan prowadzi pewnie i spokojnie.

- Nie wiem - przyznaje Paweł. - Sam nie wiem. Myślałem i myślałem, ale...

- Pomyślimy razem. - Stoją pod czerwonym światłem. Obok zielony „maluch”. Za szybą psi łeb.

- I chciałbym mieć psa. A jeszcze lepiej kota. Takiego jak Maciek.

- Jaki Maciek?

Zielone, można ruszać dalej.

- Dachowiec. Mieszka ze mną w altance. Kupuję mu rybę, ale on ssie ogon! Głupi jakiś czy co... Nie lubi, jak się go głaszcze. Raz go schwytałem i musiałem szybko głaszczyć, bo się wyrywał. Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz. Chyba... masz czas?

„Czy mam czas? - myśli Paweł nieco rozbawiony. - Wyłącznie! To jedyna rzecz - o ile tak można powiedzieć o czasie - którą posiadam w nadmiarze!”

- Oczywiście. Burczy mi w brzuchu...

- Trudno. Pocierp jeszcze trochę. Nie będziemy jedli byle gdzie! Dwaj mężczyźni o tej porze albo wracają z wódki, albo...

- Będziemy pić wódkę? - dziwi się Paweł. Stoją przed skrzyżowaniem. Przed nimi i za nimi sznury aut.

Kapitan śmieje się głośno.

- Ważne sprawy Polacy na ogół opierają o bufet - mówi skręcając w prawo. - A to będzie ważna sprawa. Ale nie bój się! Mleczna kawa też nam wystarczy.

Wyskakują na trasę wylotową. Za szybami miga Warszawa peryferyjna: odrapane stare szopy, jakieś szklarnie czy

folie, rząd warsztatów samochodowych, budy pokryte obla-żącą papą, wysypiska i śmieci, śmieci...

- Jedziemy na Alaskę? - pyta Paweł zerkając na szybkościomierz.

- Trochę bliżej. Ale niewiele. Wiesz, kto to był Napoleon Bonaparte?

Paweł zdziwiony odwraca wzrok od szyby.

- No... wódz Francuzów... cesarz.

- I bardzo dobrze! Kiedy ten cesarz bawił w Polsce,

odpoczywał wraz z oficerami w takiej jednej knajpie

podwarszawskiej. Dziś zwie się ona „Zajazdem Napoleońskim”.

- Napoleon był tu naprawdę?

- W Polsce tak. Ale czy był w zajędzie? Kto go tam wie! Bieleje

ładny budynek. Wjeżdżają na parking. Wnętrze

stylowo urządzone.

- Siądźmy tu, pod oknem - decyduje kapitan. - Mam nadzieję, że nie umarłeś jeszcze z głodu?

- Nie wiem - szczerze wyznaje Paweł.

Za chwilę w milczeniu pałaszują jajecznicę na boczku, chleb i suchą krakowską z ogórkiem.

- Mam dla ciebie pewną propozycję - mówi Lenkiewicz zapalając papierosa. - Nie chciałem jej omawiać u nas w domu. Tam są kobiety: moja żona i Zuzanka. A temat jest męski. I męska będzie decyzja.

Paweł podnosi na niego smutne oczy.

- Te, jak pan mówi, „męską decyzję” mam podjąć ja?

- Właśnie.



Paweł zastanawia się. Odłożył widelec. Herbata paruje w cienkiej porcelanowej filiżance z cesarskim znakiem.

178

- Mam trzynaście lat. Skończyłem w kwietniu. Wtedy jeszcze był tort ze świecami. I byli oni -przerywa, by upić łyk i zastopować łaskotanie w gardle. - Dlaczego mam podejmować „męską decyzję” właśnie dziś, skoro do wczoraj byłem tylko zwykłym gówniarzem? Dlaczego?

Lenkiewicz wypuszcza kółko z dymu. „Jest mądry, bardzo wrażliwy. I nie należy traktować go jak dziecko. -Zapatrzył się w wazon pełen ciemnoczerwonych gladiolusów. — Myśli logicznie, precyzyjnie. I chyba zdaje sobie z tego sprawę”.

- Dobrze. Zrozumiałem. Chcesz, żebyśmy rozmawiali jak równy z równym, bez podchodów i odwoływania się do twojej dorosłości. Akceptuję. To dla mnie również wygodniejsze.

Paweł kiwnął głową.

- Pójdiesz do szkoły, do której chodzi moja córka. Nikt cię tam nie zna, nikt nie będzie się interesował twoimi rodzicami, nie sprawi ci przykrości...

- Do czasu - szeptem Paweł patrząc wprost w błyszczące oczy rozmówcy.

Lenkiewicz spuszcza wzrok. Przeciwnik jest wyjątkowo trudny. Nie sposób nie przyznać mu racji.

- Tak. Chyba tak. Być może, w końcu koledzy zaczną cię wypytywać o dom... ale, Paweł, zyskujesz na czasie.

- I tracę na odległości - mruży chłopiec bawiąc się niklowaną zapalniczką - z Pragi na Okęcie! Pół miasta!

Lenkiewicz przymyka powieki. Nie tak wyobrażał sobie tę rozmowę. Miał przekonywać, doradzać, zachwalać. A ten chudy trzynastolatek

już dawno postanowił. Sam. Bez pomocy jego, babci i całej milicji obywatelskiej stołecznego miasta.

179

Paweł popatruje na brzeg filiżanki. Boi się podnieść wzrok. Nie chce kłamać: przecież jadąc tu nie miał żadnego pomysłu na życie. Niczego nie postanowił. To, co mówi, wynikało dopiero z tej dyskusji, z atmosfery, miejsca, w którym się znajdują, może nawet z resztek bekonu, który przylgnął do patelni. „To nie fair! - myśli. - Nie wolno oszukiwać człowieka, który w tej chwili jest dla mnie najważniejszy!”

- Wymyśliłem to teraz - Paweł mówi wolno i wyraźnie. -Wrócę do domu. I do starej szkoły, bo... człowiek nie może wciąż uciekać, bać się. Tam już wszystko wiedzą. Pośmieją się... wytrzymam.

- Więc wrócisz?

- Tak. Ale... pod pewnymi warunkami.

„No cóż? - zastanawia się Lenkiewicz ponownie zapalając papierosa. - Pomówmy o warunkach. Możliwe, że będą do przyjęcia”.

- Jakimi?

Paweł pociera dłonią czoło, odrzuca w tył grzywę opadającą na oczy.

- Własne klucze już mam. Będę babci pomagał jak dawniej. Za to rzeczy ojca wrócą na miejsce. I nigdy -chłopiec pochyła się nad stołem, by ukryć łzy - nigdy w życiu nic złego nie powie na jego temat.

- To wszystko?

- Nie.

Paweł dzielnie walczy ze słabością. To taka kluska, która jeździ od żołądka do gardła i z powrotem. W każdym razie człowiek ma wrażenie, że to kluska.

- Nie zgadzam się na szkołę z internatem. Jeśli babcia

180

pojedzie do sanatorium, ja zostanę w domu. Sam. Nic złego mi się nie stanie. Umieję sprzątać, gotować i pracować.

- To wszystko?

- Tak.

Milczą obaj. Dorosły uważnie roztrząsa każde słowo, które padło. Nie znajduje w nich nic, czego by nie mógł zaakceptować. Ale czy zrobią to inni? Pedagodzy, socjolodzy, psychologowie i Bóg wie kto jeszcze z Milicyjnej Izby Dziecka?

- Byłeś szczery, za to dziękuję - odzywa się obrywając jakiś uschnięty liść z wazonu - ale ja nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego.

Paweł patrzy na brodacza szeroko otwartymi oczyma. „Czym chcesz mnie zaskoczyć?”

- Rozmawiałem już z twoją babcią. Wczoraj. Paweł oddycha z ulgą. Mogło być gorzej.

- I co?

- Martwi się o ciebie. Jest jej przykro, że podarła te fotografie. Jedną sklepiła, biedaczka. Stoi w ramce, tam gdzie stała. Starzy ludzie czasem postępują nieodpowiedzialnie, jak dzieci. Dlatego tak mi żal jednych i drugich.

- Stało się. - Paweł przelżyka ślinę. - Nie kocham jej już tak jak dawniej.

Lenkiewicz sięga po filiżankę z wystygłą herbatą. Zamawia następne dwie: mocne i gorące, z kroplą rumu. Podobno taką pijał Mały Cesarz wielkich Francuzów.

- Jest pewien niezawodny klej, co skleja stare fotografie i więzy międzyludzkie - mówi patrząc Pawłowi prosto w oczy - to czas. On czyni cuda.

- Więc dlaczego nie przestałem kochać ICH, a znenawi-

181

dziłem JA? - Paweł żałuje, że padło słowo „znenawidziłem”. To już historia. Opadły emocje. Nienawiść? Słowo, tylko słowo...

- To zrozumiałe - stara się wytłumaczyć Lenkiewicz. - Zapamiętałeś z ICH strony wszystko, co najlepsze. Natomiast ONA wydaje ci się niesprawiedliwa. Ale to nie jest prawdziwa nienawiść, Paweł. Wiem, bo sam kiedyś nienawidziłem pewnego człowieka tylko dlatego, że był ode mnie lepszy...

- Był lepszy jako pilot?

- Tak. Szybowcowy. Chciałem mu dorównać, nie dawałem rady. Ambicja poniosła. Wołałem, że miał lepszy sprzęt, warunki, mechaników. A to nieprawda.

- I co było potem?

- Zginął w wypadku samolotowym. Razem z całą załogą i pasażerami. Nie było w tym cienia jego winy. Ślepy los. Do dziś nie mogę sobie z tym dać rady. A upłynęło już wiele lat.

- Więc czas nie zawsze jest klejem uniwersalnym? Lenkiewicz śmieje się cicho. Pochyla się przez stolik, dotykając ramienia chłopca.

- Jesteś wspaniałym kumplem, Paweł! Bardzo się cieszę, że cię poznałem. I chciałbym częściej się z tobą spotykać tak jak dziś: tylko we dwóch.

- A co na to Królik?

- Jaki królik?

Paweł zachichotał. Upił łyk gorzkawego płynu.

- Zuzanna. Tak ją przezwałem.

Lenkiewicz pogładził brodę. Z bliska widać w niej było kilka siwych włosów.

- Kobiety są szalenie potrzebne. I kocham je obie. Ale

182

naprawdę pogadać może tylko mężczyzna z mężczyzną. Wracając do naszej rozmowy - ciągnął ustawiając precyzyjnie na środku spodka kruchą porcelanową filiżankę. - Jeśli o mnie chodzi, mógłbym zaakceptować wszystkie twoje warunki...

- Jest jeszcze jeden, o którym zapomniałem! - Paweł zagryzł wargi.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Mnożenie żądań nigdy nie przyniosło niczego dobrego. Chyba sam to rozumiesz.

- Tak, ale... to sprawa przyjaźni! Zabieram ze sobą Maćka.

- Tego kota?

- Aha. Nie mogę go zostawić samego na działce. Zginie marnie.

- Babcia... - zaczął Lenkiewicz, ale machnął dłonią. -W porządku. Spróbuję ją przekonać do Maćka. Paweł -powiedział poważniejąc - ale to już koniec?

- Koniec.
- No, to wypijmy za nasze zdrowie! Do dna!

Obaj wysączyli resztki złotawego płynu, w którym topiła się gdzieś na dnie kropla kubańskiego rumu.

- Za nich też, dobrze? Żeby wrócili. Najlepiej z panem! Lenkiewicz przetarł oko. Coś mu przeszkadzało pod

powieką.

- I żeby nie było niedomówień... kapitan Szczucką też znam.

Paweł zagryzł usta. „Wie wszystko? O ucieczce też?”

- Pana nigdy, no... choćby w dzieciństwie, nie capnęli gliniarze?

183

Lenkiewicz wybuchnął śmiechem.

- Nie mów tak brzydsko! Chociaż... w każdym kraju świata milicja czy też policja ma swoje specjalne, żargonowe określenia. We Francji są to „fliki”, w Londynie nazywają ich „bobby”, a w Ameryce „caps”.

Ale bez żartów. Szczucka to dobra i rozumna kobieta. Kiedyś się przekonasz.

- Nie zamierzam jej odwiedzać!

- Wprost przeciwnie, Paweł! - powiedział kapitan twardo. - Złożymy jej razem wizytę. I to dziś!

- Koniecznie? - chłopiec wzdrygnął się na wspomnienie zakratowanych okien. - Może za parę dni?

- Jutro jest pogrzeb Leona. We wtorek lecę do Madrytu. Sam rozumiesz.

Rozumiał. Ale bał się. Każdy by się bał.

\*

- Jesteś cały i zdrowy, panie Brent?

Paweł spuścił głowę. Co ma odpowiedzieć? Tłumaczyć się czy, wprost przeciwnie, uznać sprawę za niebyłą? Jakby nic się nie wydarzyło?

- Wolałem nocować tam, na działce pana Ruszczyka. Poszedłem sobie. Po prostu.

- Po prostu. - Kapitan Szczucka bardzo chce ukryć uśmiech. - Przyjmuję do wiadomości. A co teraz?

Paweł odwraca się w stronę Lenkiewicza.

- On wie.

Kobieta przesuwa dłonie po skroniach. Miała już dziś trzy takie rozmowy. I wszystkie trzy skończyły się fiaskiem. Trudne dzieci, wykolejone i bardzo nieszczęśliwe.

- Ale ja nie wiem. A chyba jesteś mi winien wyjaśnienie....

184

- Zostaję z babcią. I pójdę do starej szkoły. Jak mnie który zdenerwuje, to najwyżej mu przyleję. To wszystko.

- Zgoda - Szczucka wypełnia jakiś druczek ładnym, równym pismem.

- Na to przyłanie też? Też się pani zgadza?

- W ostateczności. Jeśli perswazja nie pomoże... jeśli ci będą dokuczać... oczywiście, dziewczynek nie...

Paweł wydyma usta.

- Poldzi przyłożę. To straszna zgaga!

Lenkiewicz wierci się na krześle. Nie chce wtrącać się do rozmowy. Ale boi się, że milicjantka potraktuje te Pawiowe przekomarzania zbyt serio.

- On nie miał nic złego na myśli - mówi patrząc ze strachem na biały kartonik. „Kto wie, co oni tam odnotowują!”

- Jest pan niezłym adwokatem Pawła - Szczucka odkłada długopis. - To bardzo dobrze! Niesłusznie nas pan posądza o brak poczucia humoru, zrozumienia. Wiem, że Brent nie nadużyje naszego zaufania. A ta... jak mówisz, „zgaga” też da się wychować. Tylko trzeba do niej trafić. I zawsze, to ważne, uważać, by nie utracić twarzy.

- I ocalić głowę! - śmieje się Lenkiewicz.

Chłopiec milczy. Chce już stąd iść. Kraty w oknach działają deprymująco.

- To już chodźmy. Muszę zabrać rzeczy z działki pana Ruszczyka. I - zwraca się do Lenkiewicza - chciałbym pójść z panem na jego pogrzeb. Mogę?

- Naturalnie. Razem z całą moją rodziną.

- To wszystko, Paweł - mówi Szczucka spokojnie. -Rzyliśmy twoje warunki. Ty obiecałeś zastosować się do

185

naszych: szkoła, dom, bez ucieczek, dobra nauka, pomoc i zrozumienie dla babci.

Paweł czuje, że mu się robi gorąco. „Jak mogłem zapomnieć o najważniejszym? Jak im to teraz powiedzieć? A może nic nie mówić? Zataić? Przecież nie będą mnie śledzili, to nonsens! Tylko że... to nie fair w stosunku do kapitana... i do niej. Więc może od razu: jest jeszcze jeden warunek...”

- Jest jeszcze jeden warunek...



Lenkiewicz zrywa się z krzesła. Jest wściekły. Paweł po raz pierwszy widzi ostro zarysowaną zmarszczkę przecinającą gładkie czoło.

- Dość tego, Paweł! Umówiliśmy się, a to zobowiązuje! Jeśli nie znasz miary, nie ma o czym mówić! Wycofuję się!

Szczucka patrzy na chłopca. Widzi, że pobladł, przestraszył się. Czyżby zawalić się miał cały ten tak misternie ułożony plan?

Milczy. Czeka. I tak ona ma tu ostatnie słowo. Który z nich straci głowę, a który twarz?

- Ja... zapomniałem... a to bardzo ważne - bąka Paweł. Bóg jeden wie, ile kosztuje go to wyznanie. - Jeśli nawet pan nie zechce mnie więcej znać, to i tak muszę! Trudno.

- Słucham cię - głos Szczuckiej ma najnormalniejsze pod słońcem brzmienie. Jakby do tej pory prowadzili kawiarnianą rozmowę przy herbatce z rumem.

Paweł podnosi głowę. Jest zdecydowany na wszystko.

- Będę w każdy wtorek i czwartek czekał na samolot. Ten z Madrytu. Choć to koliduje ze szkołą. Ja... - głos mu się załamuje, walczy z tym bez skutku - będę na nich czekał. Zawsze.

186

Lenkiewicz głęboko oddycha. Bardzo mu wstyd wybuchu. Patrzy spod oka na milicjantkę, której nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy. „Co za opanowana kobieta! - myśli. - Cóż, rutyna!”

- Przepraszam - mówi cicho. - Przepraszam, że się uniosłem.

- Co zatem zrobimy z ostatnim warunkiem Pawła? - pyta Szczucka zaplatając dłonie. - Jak z tego wybrnąć, skoro w tym samym czasie w szkole odbywają się lekcje?

- Może... - zastanawia się Paweł - niektóre klasy będą miały lekcje po południu. Pani wie, dzieci uczą się na trzy zmiany. To chodzi tylko o dwa dni w tygodniu.

Lenkiewicz zastanawia się.

- Od października rozkład lotów zmienia się na zimowy. I samoloty z Madrytu będą przylatywać po południu. Jeśli mnie pamięć nie myli, o szesnastej czterdzieści pięć.

Szczucka z uporem wpatruje się w Pawła.

- Nie zrezygnujesz z tego? To straszliwe obciążenie, Paweł...

Chłopiec przygryza usta.

- Nie. A poza wszystkim... poznałem tam masę ciekawych ludzi. To są... moi przyjaciele: mechanicy, bagażowi, stewardesy... pani Lusia, no... całe lotnisko.

Dorośli milczą. Oczywiście, mogliby tłumaczyć chłopcu, że to wszystko nie ma sensu, że jazdy na lotnisko tylko pogłębią jego tęsknotę i wewnętrzną szarpaninę. Ale nic nie mówią. Podświadomie czują, że jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek słowa. Może kiedyś... za miesiąc, dwa. Jest też dosyć prawdopodobne, że sam Paweł, kiedy już wejdzie na dobre w szkolny nurt, zaprzestanie podróży na lotnisko.

187

będzie je odwiedzał coraz rzadziej... bo czas jednak robi swoje. Nieubłagany czas.

\*

Są ładne i brzydkie cmentarze. Ten był brzydki. Ogromna pusta przestrzeń pełna grobów. Tu i ówdzie rzadkie brzoźki, rachityczne krzaki. Na kamiennych płytach uschnięte wiązki kwiatów, pęki nieśmiertelników. Cisza.

Na pogrzeb starego emeryta przyszła masa ludzi. Chyba sam nie wiedział, ilu miał przyjaciół. Starzy i młodzi w galowych lotniczych mundurach, z żonami, dziećmi. Nad otwartą mogiłą lśniło słońce.

Paweł nie słuchał, co mówiono. Stał z boku martwiąc się że wędnie pęk floksów zerwanych na działce. Te same floksy, których kwiaty zmarły tak lubił. Więc tak wygląda śmierć? Wzgórek ziemi szczelnie okrywający coś, co niegdyś było człowiekiem? Znika się nagle i cicho. Ludzie rozejdą się, zostanie żal, a później i żal rozwieje się wymazany z pamięci przez tych, co żyją. I tak w kółko. Odchodzą jedni, pojawiają się drudzy. Czy on, Paweł, też tak... kiedyś?

- Połóż kwiaty - szepcze Zuzanka.

Kępa floksów pali się jasnym fioletem. To chyba najładniejszy bukiet na całym cmentarzu. I Paweł dumny jest z tego, że to on go przyniósł.

— Pójdiesz z nami na obiad? - pyta pani Lenkiewiczowa, gdy już dotarli do cmentarnej bramy.

Paweł przecząco kręci głową.

— Dziękuję. Muszę jechać na działkę. Po Maćka.

- Możesz to zrobić później - nalega kapitan.

Ale Paweł jest uparty. Co mu tam po pomidorowej z ryżem! Sam sobie ugotuje, ostatni raz. Tak się umówił

188

z babcią: żeby na niego nie czekała. Wróci wieczorem, po zachodzie słońca. Trzeba się pożegnać z altanką, wolnością i dzieciństwem.

Nie płakała. Nie powiedziała ani słowa.

\*

Lato odchodziło. Tu i ówdzie mieniło się jeszcze kolorami róż, bukietem georginii, mocnym zapachem mięty. Ale liście gruzłowatej

gruszy pożółkły, pociemniały, skrzyły się tak jakoś z pragnienia po letniej suszy. Na ścieżkę sypały się drobne strużyny żółtej nawłoci, czerwieniły owoce dzikiej róży. Jesień zbliżała się wielkimi krokami. Tu, na działce, widać to było najwyraźniej. Gdzieś tam, het, za lotniskiem, podobno zbierały się bociany. Sejmikowały przed odlotem do ciepłych krajów. Jak co roku.

Paweł zdjął klucz z gwoźdźca pod okapem, tuż przy rynnie. Wszedł do środka. Uderzyło go gorące, martwe powietrze. Otworzył okno. Wolno zbierał swoje rzeczy do chlebaka, inne ustawiał tak, jakby stary Ruszczyk miał tu za chwilę przyjść.

Obrzucił wzrokiem wewnątrz. „I co, panie Brent? Wracamy do cywilizacji? Do kamiennej pustyni nowego osiedla na praskim brzegu? Szkoda. To było bardzo smutne i piękne lato. Co porabia Józef Maria dwojga imion Konopacki? Inni?”

Paweł po raz ostatni siada pod gruszą. Mógłby otworzyć puszkę wołowiny z groszkiem, podgrzać ją na resztkę gazu i zjeść. Ale jakoś mu się nie chce. Pogryza słone paluszki zapatrzony w ścianę gasnącej zieleni, spoza której wyłania się brzeg morza i palmy.

- Mamo! - szepcze i łyzy jak groch spływają mu po

189

3

II 3

7°Γ O

co

-JW

\* Xi II- oΓ 43.

— ° 3 < rП

~ Я 3

— «^ ?:

51 w ^Г

£ SrcS Ж

•^ 3 =3

VJ &9 "8 94

& -o 3- g

3 ?i" ж

ЯГ" 3

Iffll

S. O

4

policzkach. Nie stara się nad nimi zapanować. Jest sam. Nikt go nie widzi. - Dlaczego mi to zrobiliście?

Cienkie gałązki czerwonego berberysu drżą. Coś czai się w południowym cieniu. Szary pyszczek, miękkie łapy i długi ogon. „Prawda! Maciek. Trzeba go złapać i wtłoczyć do chlebaka, tak żeby mu łeb wystawał. Inaczej mógłby zwiać w czasie jazdy autobusem”.

Maciek podchodzi bliżej. Ociera się o nogi chłopca. Ogon śmiesznie zadarty w górę zdaje się oznaczać pełnię szczęścia.

- Chodź! Spakuję i ciebie.

Kot nie protestuje. Może sądzi, że to forma pieszczoty, na którą zgadza się rzadko. I tylko wtedy, gdy sam ma na nią ochotę. Paweł niesie go pod pachą do altanki. W chlebaku zostawił specjalne miejsce wymoszczone swetrami. Zwierzę jeszcze nie wie, co je czeka. Łagodnie mruczy patrząc niebieskimi oczami.

- Właż!

Maciek rzuca się do kąta. Z podniesionym w górę ogonem i zjeżoną sierścią podobny jest do rzeźby swego egipskiego przodka. Oczy zmieniły barwę: rzucają żółte błyski.

Paweł zasmucony siada na stołeczku. Patrzą sobie głęboko w oczy: chłopiec i kot.

„Zdaje się, że nie był to najlepszy z moich pomysłów! -wzdycha Paweł w duchu. - Źle się będzie czuł w kamiennej pustyni, zamknięty w czterech ścianach mieszkania. To nie jest kot kanapowy, to wolny obywatel zielonego świata! Zwierzę przyzwyczajone do swobody”.

- A zimą? - mruczy Paweł do Maćka, który ostrożnie przycupnął w najdalszym kącie. - Co zrobisz zimą, kiedy zamarzną ryby i żaby?

190

Maciek nie wydaje się zbyt przejęty tą żalną perspektywą. Instynkt podpowie mu, co zrobić. Zamieszka w jakiejś piwnicy, może litościwa ludzka ręka wystawi miseczkę mleka, rzuci kęs.

Paweł podnosi się. Kot także. Żółte oczy mówią wyraźnie: „Jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie wepchnąć do tego worka, użyję broni ukrytej w puszystym futerku: ostrych pazurów. Tu jest mój świat. I tu zostanę!”

Chłopiec rozkłada ręce.

- W porządku, stary. Odchodzę sam. Ale wyłaż z kąta, bo muszę zamknąć altanę.

Kot wychodzi posłusznie, jakby rozumiał każde słowo.

- I pamiętaj, nie ssij ogona!

Oczy Maćka są błękitne jak niezapominajki. Żegnają się na skraju trawnika. Na tle przekwitającego krzaka róży. Paweł odwraca się raz jeszcze.

- Bądź zdrow!

Ale zwierzę zniknęło. Tylko lekkie poruszenia długich suchych traw zdradzają kierunek i cel: na niskiej gałęzi

ćwierka wróbel.

Chłopiec przerzuca chlebak przez ramię. Idzie ścieżką wolno, rozgniatając z suchym szelestem drobiny żwiru. Zamknął się pewien odcinek życia. Jak każdemu człowiekowi. Trzeba pójść dalej, na spotkanie nieznanego. I zachować to, co najważniejsze: nadzieję na lepszy los.

XI\*»»»0

Zam. 7 Skład Podpi OddaArk. - Wyda Instyl  
PRI

nr 1130/87 otowalnia i y wykonano do dr no do prod\*yd. 8,2.

A nie pierwsz ut Wydawni NTED

c B B a

ci- Ж\* r o

ru k \* N J2. CL ?3 Z

1 N . akł. Gr 'e wrześ w styczni uk.12,0 kład 50  
,N'asza POL

ładz Gra af. RSW niu 1987 niu 1986 0£ + 000  
Księgarń AND

ficzni 'y Γ1 Γ1 o EŚJ

2 'Ś5 "

; w Gdar emplarzy

03 Ż